

ANTONI  
ESSEN-  
OWSKI



LESIE







C U D A  
P O L S K I

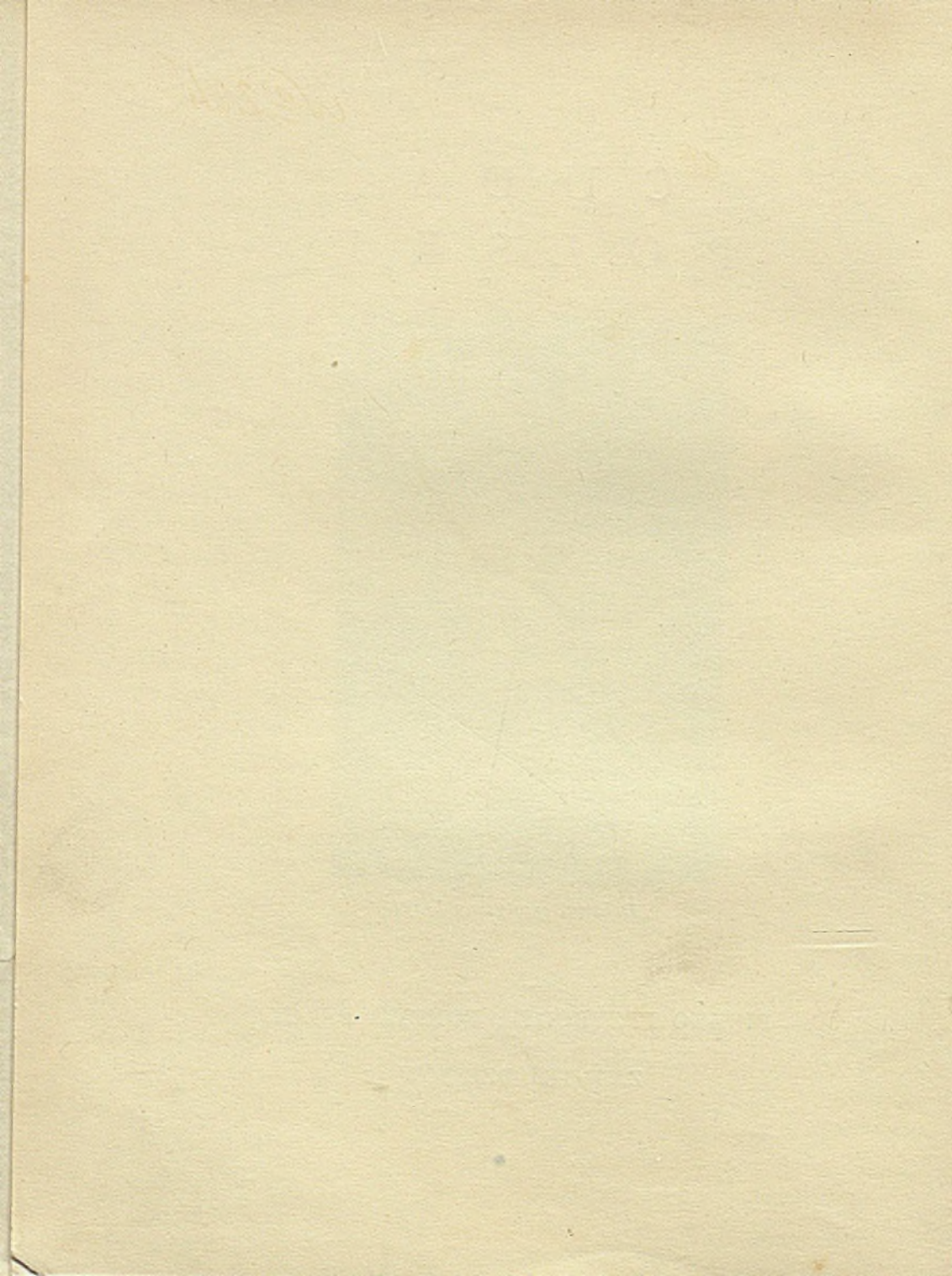


*„Dziwny, egzotyczny kraj“*

PIĘKNO PRZYRODY / POMNIKI PRACY

ZABYTKI DZIEJÓW







~~№ 284~~

F. ANTONI OSSENDOWSKI

# POLESIE



*Ostatni jesienny rapsod Polesia*

WYDAWNICTWO POLSKIE  
<R. WEGNER>

POZNAŃ  
BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH

~~№ 284~~





13409

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

\*

Druk rotograwurowy wykonały Zakłady Graficzne  
BIBLIOTEKI POLSKIEJ W BYDGOSZCZY

\*

Okladka wielobarwna według obrazu  
LEONA WYCZÓLKOWSKIEGO

\*

Printed in Poland



908(438)

SN 18758

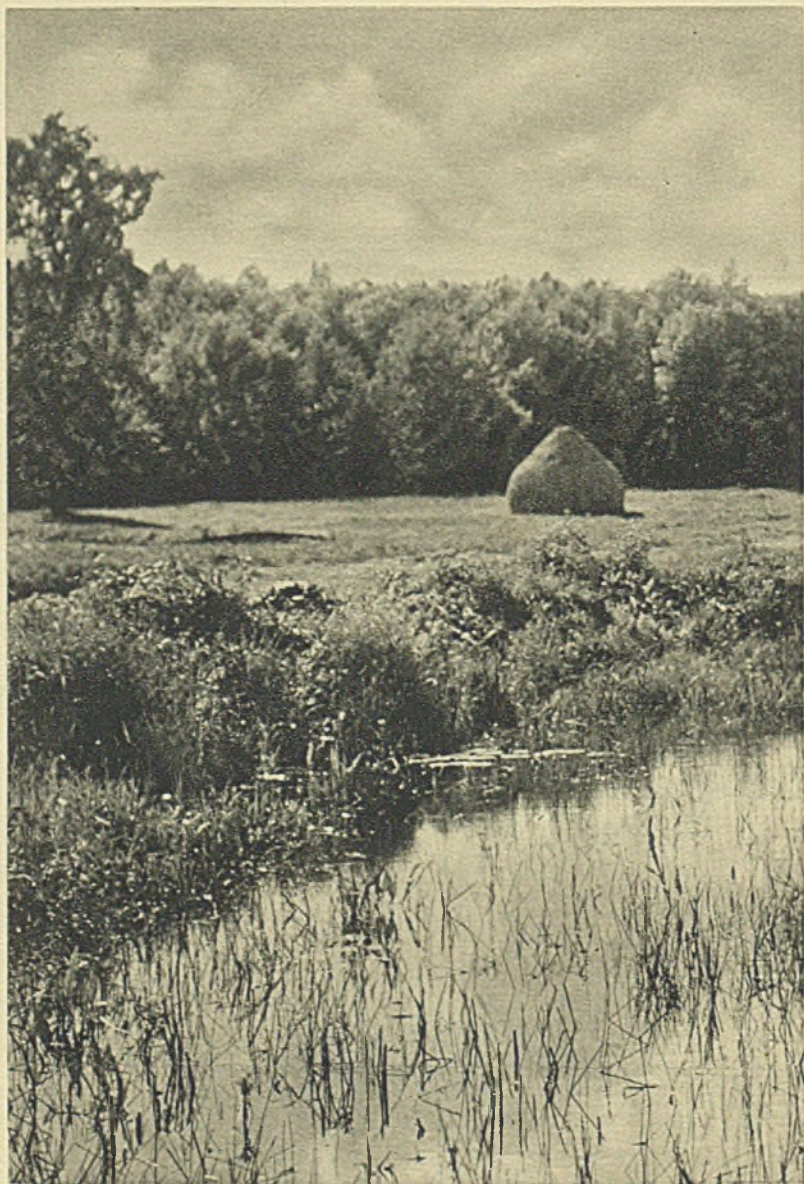


„To Polska —  
to ojczyzna nasza“

ALEKSANDER FREDRO







*„Lasy ciemne i gęste, jakgdyby jaskinie;  
Rzeka, co między łożą a sitowiem płynie“*





*Wiosną w kniei poleskiej*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### NIEZNANY KRAJ



*Przy barci*

W środku Europy, w dwudziestym wieku — tak bardzo dziwny, egzotyczny kraj! Uчені badacze i chciwi poznania naszej planety podróżnicy przeniknęli wszędzie niemal. Himalaje i ponura „równina tysiąca dymów“; odgradzony od świata, tajemniczy Tybet; dżungla nad Amazonką i Nigrem; mroźna pustynia pobrzeża północnego oceanu Lodowatego i Antarktyda; Nowa Gwinea i rozrzucone na południowym Pacyfiku pojedyncze lub zgrupowane wyspy, — wszędzie dotarł już zwalczający wszystko biały człowiek, zbadał i opisał szczegółowo.



I rzecz dziwna — we własnej siedzibie jego pozostał kraj mało-  
znany, pod wielu względami zagadkowy, trudno dostępny i w znacz-  
nej swej części — prawie niezaludniony!

Jest to — Polesie.

Pełna uroczych tajemnic kraina, opisana przez naszego poetę, Wła-  
dyśława Syrokomłę:

Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary,  
Snują mi się niekiedy, jakby senne mary.  
Lasy ciemne i gęste, jakgdyby jaskinie;  
Rzeka, co między łożą, a sitowiem płynie;  
Uprzykrzonych owadów drużyna skrzydlata  
I zielony motylek, co nad wodą lata;  
I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana  
Oстрыm krzykiem żórawia, klekotem bociana,  
Albo pluskaniem czółna po spokojnej fali,  
Kiedy rybak z wężyczem przemknie się w oddali.  
Tajemny jakiś urok w mych oczach obwiewa  
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa,  
Czarne, podarte chatki na piasku lub mszarze,  
Słomą kryte cerkiewki i wiejskie cmentarze,  
Ozdobione jedliną lub sosną pochyłą,  
Gdzie sterczy mała chatka nad każdą mogiłą.

Sama nazwa Polesia wzbudza spory. Jedni twierdzą, że oznacza  
ona kraj lasów, drudzy — połać bagienno-leśną, za pasmem praw-



„...Kiedy rybak z wężyczem przemknie się w oddali“





*„Kraj mało dostępny, prawie niezaludniony“*

dziwych borów się rozpościerającą; inni znów dowodzą, iż nazwę tę nadano ziemi, gdy człowiek w walce o byt wytrzebił wysokopiennie olbrzymy niedostępnych, błotnistych puszczy i na „po-lesiu“ się osadził. Toczy się jednocześnie spór o ściśle określenie geograficznych granic Polesia, wchodzącego w skład Rzeczypospolitej Polskiej i Rosji Sowieckiej. Podobna też rozbieżność poglądów istnieje co do etnograficznych i językowych odrębności Polesia, a wszystko razem wytwarza urok tajemniczości tego kraju, pomiędzy Polską niegdyś Litwą i Rosją zachodnią. Wschodni odcinek polskiej krainy Wielkich Dolin nigdy prawie nie miał ściśle wytkniętych granic państwowych, chociaż geograficzne granice te sama natura wyrzeźbiła dość wyraźnie. Kotlina poleska zniża się ku wschodowi, w stronę Dniepru, odcinając się od pozostałej części krainy Wielkich Dolin, czyli pochyłej ku zachodowi Bródki Środkowej, — nieznacznym wzniesieniem podlaskim, na północy odgradzając się od pojezierza Litewskiego i pogórza Mińskiego granicami swych błot i odmiennych gleb, na południu zaś — pasmem moren czołowych i progiem płyty czarnomorskiej, gdzie niegdyś zatrzymał się lodowiec.



Polesie więc wbija się klinem pomiędzy jeziorną krainę Litwy i wyżynę Białoruską — od północy; od południa — graniczy z płytą podolską i wyżyną Wołynia, na wschodzie zaś, zrzadka przekraczając Dniepr, — dociera do koryta jego — od Mohilewa niemal aż po daleki Kijów. Kraj ten po wojnie polsko-rosyjskiej r. 1920-go został prawie w połowie przecięty nową granicą państwową. Polska posiadała trójkąt, równy powierzchni Belgji, z wierzchołkiem w Brześciu nad Bugiem a podstawą, opartą o linię graniczną; trójkąt po-



*„Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary...*

leski ma jako swoją oś — dolinę rzeki Prypeć, głównej arterji Polesia, — matki, do której się garną wpadające z lewej i prawej strony — Jasiołda, Pina, Stochód, Styr, Horyń, Słucz i setki innych — drobniejszych, na mapach nieraz nieoznaczonych rzeczulek, potoków, strumieni. Na nieprzenikalnym dla wody podłożu rozparł się ten kraj. Na pierwotnej bowiem płycie granitowej, tworzącej się w zaraniu życia naszej planety, i na osadach kredy zaległo Polesie, pełne bagien, moczarów, grząskich łąk i żalonych już resztek puszczy. Skały różowego i szarego granitu, wulkanicznych porfiryków i „gabbro“ występują tam i sam na powierzchnię kraju. Jakie twórcze lub burzące kataklizmy przewalały się nad Polesiem —



tego dokładnie nie wiemy, bo brakuje nam jeszcze szczegółowych badań geologicznych; przeprowadza je obecnie polska nauka. Zdaje się jednak, że poleska płyta na początku okresu paleozoicznego podniosła się ponad fale morza młodszych er i tem się zapewne tłumaczy, że nie pozostało tu osadów epok wcześniejszych, bo zmyła je woda, uniosły i przekształczyły inne potęgi żywiołów. W tych to okresach część granitowego podłoża Polesia została przerwana i zburzona — znikła, a wtedy właśnie wytworzyła się kotlina, — owa „niecka“ poleska, wszystkimi właściwościami swemi przeznaczona dla wypeł-



*...Snują mi się niekiedy jakby senne mary“*

nienia jej utworami młodszych okresów. Lodowce, sunące od północy, uformowały w najważniejszych zarysach oblicze współczesnego Polesia. Lodowiec wyrównywał, niwelował powierzchnię kraju, zasypywał doliny niesionym w swem lodowym łonie materiałem skalnym, a, topniejąc, gromadził moreny denne, piaski i gliny, pozostawiając na miejscu swej śmierci — równinę, a na niej — niby kurhany mogilne — zwały głazów i piargów. Zryte potworną mocą skały podłoża kiedyś utworzą tysiące jezior — odcieki wodne żłobią szerokie koryta prazek.

W granicach całego Polesia najniżej leżące płaszczyzny ustalone zostały w okolicach kanału Królewskiego, nad dolnym biegiem





*„Żółte Polesia piaski i ponure drzewa“*

Ptycza i w pobliżu ujścia Berezyny, wpadającej do Dniepru. Jednakże Polesie posiada w znacznej swej części teren dość falisty. Rzecz wiadoma, że im dana okolica odznacza się większymi różnicami wysokości, tem gęściej bywa zaludniona. Człowiek oddawna, zapewne, szukał takich miejsc o łatwiejszym spadku wód i stopniowem naturalnem wysychaniu bagien. Lecz znaczniejszych wyniosłości terenu kraj ten nie otrzymał od natury-macochy. W obwodach Łohiczyńskim, Owruckim i Mozyrskim, nad Szczarą, Horyniem i Słuczą wzniesienie terenu wzrasta miejscami od pięćdziesięciu metrów do stu kilkudziesięciu, a dokoła rozpięta się bagnista płaszczyna, haszcze i lasy, sieć rzeczna, smętne, umierające jeziora i — topiel. Topniejący lodowiec wytwarzał tu niegdyś olbrzymią ilość wody, co żłobiła szerokie nieraz pradoliny. Niezmierną bezkresność ich możemy podziwiać przy wiosennem wód wezbraniu, rozlewie Prypeci i jej dopływów. Woda polodowcowa niosła miał mineralny, osadzała go, zasypywała nim wszelkie wgłębienia terenu, tworzyła ogromne jeziora, lub, być może, jedno — cały niemal kraj ogarniające słodkowodne „morze poleskie“, łączące pra-Prypec z pra-Wisłą, czego po tysiącach wieków i milionach zmian dokonał znów człowiek, zrozumiawszy całą doniosłość drogi wodnej od Morza Czarnego do Bałtyku.



Jakie tu płynęło życie w dawnych epokach? Czy wynurzały się tu z głębokich mórz potworne gady i płazy? Czy pasły się tu stada ogromnych ssaków? Na te pytania nie dają odpowiedzi milczące tajemnicze moczary, błotniste „olasy” i trzęsawiska poleskie, porośnięte grąźelami, sitowiem i tatarakiem lub okryte rdzawą „niecieczą”. Być może że czasem drągi i ekskawatory odsłonią przed nami zagadkę minionych epok, a wtedy naszym oczom przedstawią się szczątki nie tylko dotąd najstarszych trylobitów, lecz i mezozoicznych potworów, jak ichtiozaur, pterodaktyl, dimorfodon, iguanodon i brontozaur, największy mocarny gad



ładowy, przypominający ruchomy pagórek lub olbrzymi głaz, toczący się po ziemi! Z pod torfowisk, piachów i glin wynurzą się zapewne kości olbrzymów słoniowatych — współczesnych już człowiekowi pierwot-

nemu. Kiedy zjawił się tu ten przedstawiciel rodzaju ludzkiego? Musiał przybyć w zaraniu życia ludzkości, gdy na ziemi wrzała surowa, nielitościwa walka o byt z siłami natury, z potężnymi zwierzętami, no — i pomiędzy ludźmi, gdyż wschodząca jutrzienka przyszłej świetności człowieka podszepnęła mu okrucieństwo, bezwzględność i egoizm — to źródło wojny i szybko dążącego naprzód rozwoju rodziny, szczepu, narodu i społeczności.





*„Czarne, podarte chatki na piasku lub mszarze”*

Musiwały pociągnąć go tu oddawna — łatwość ukrycia się i obrony przed wrogiem, obfitość ryb, zwierza i ptactwa wszelakiego, możliwość przerzucania się z miejsca na miejsce drogą wodną na małej, zwinnej tratwie, a później w łodzi, prawdopodobnie zupełnie podobnej do współczesnych „szuhalej” i „objaników” poleskich, drążonych lub wypalanych z jednego pnia. Czy człowiek mieszkał wyłącznie w sadybach, pobudowanych na palach, czy też szukał, jak to czyni i teraz, „ostrowów”, wydm piaszczystych i innych miejsc, panujących nad niziną rozległych wokół bagien, „pustaci” i „mszarników?” — Milczy i o tem Polesie.

Wykryją to przyszłe badania; one też opowiedzą ludziom czy owa długa „truba” drewniana, używana przez pastuchów na „hałach” poleskich, nie pochodzi z tych czasów, gdy pierwotny człowiek taką surmą zwoływał do swej siedziby rozpierzchłych po moczarach i puszczy członków rodziny, przestrzegał sąsiadów przed niebezpieczeństwem, albo posyłał w mgłę, wiszącą nad bagnami, i w mroźną ciszę oszronionych lasów ponury zew i błaganie o pomoc — „S. O. S.” mieszkańca bagienno-leśnego pra-Polesia, rybaka i myśliwca? Potwierdzą one też domysł, że mierzenie przestrzeni „kilkowiszczem”, t. j. odległością, z której dobiega głos ludzki, jest



pozostałością zamierzchłych czasów, o tysiąclecia całe starszych od dziejów Mendogowego syna, Wojsiełła, który, kryjąc się przed postrzyżniami, — w bagnach poleskich szukał schronienia, ponuremi tonami „truby“ i dobiegającym z ostrowów krzykiem uprzedzany o pościgu surowego a ciemnego, jak noc listopadowa, „kłobuczego“ ihumena-Greczyna. Sto tysięcy kilometrów kwadratowych ogarnęło sobą Polesie a połowę tego zawarła w granicach swoich Polska! Kraj ten, dotychczas jeszcze ostatecznie niezbadany, znany był już w starożytności, — coprawda nieściśle, najczęściej ze słuchów, nieraz nawet zgoła bałamutnych. Herodot, naprzykład, przekazał potomności wieść o morzu poleskiem, które prawdopodobnie było zborowiskiem istniejących tu jeszcze wielkich prajezior; tenże historyk, geograf i podróżnik wspominał o trzech ludach, zamieszkujących obszary teraźniejszego Polesia; mieli to być Budynowie, Getonowie i Neurowie, przyczem tych ostatnich, osiadłych nad zachodnim Bugiem i zachodniem dorzeczem Prypeci, niektórzy współcześni uczeni zaliczyli w poczet Słowian, pochodzących z serca kolebki prasłowiańskiej. W trzysta lat po Herodocie wielki Ptolomeusz wykreślił mapę Polesia ze stolicą jego i handlowym ośrodkiem Leinum, które miało być grodem identycznym z Pińskiem. Staro-



„— gdzie sterczy mała chatka nad każdą mogiłą“



żytny uczyony rozmieścił na tej mapie różne szczepy Słowian-Wenetów, Kostoboków i Stawanów, czyli Snowenów a obok nich — Gilionów, którzy od fińskiego, podobno, pochodzili trzonu.

Plinjusz i Tacyt, zarówno jak już w II-im w. Ptolomeusz, wspominając o tych szczepach, pierwsi ustalili kolebkę Słowiańszczyzny w szerokich granicach Polesia. Potwierdzają to też anonimowi



*Dżungla*

dziejopisowie wczesnego średniowiecza, a prawdziwości tego dowiedli współcześni uczeni, umieszczając najstarszą siedzibę szczepów słowiańskich pomiędzy Wisłą a środkowym Dnieprem. Stąd powędrowali Słowianie na północ, wschód i zachód po nowe losy, jak to uczynili Kostobocy, wkraczając do Dacji i walcząc obok Germanów przeciwko Rzymowi, poto tylko, aby w ciągu niespełna stulecia zniknąć na zawsze z widowni dziejowej. Stawanowie zetknęli się z gockim wodzem i królem Hermanarychem i ulegli mu. Wtłoczeni w obręb jego ogromnego, luźnie scementowanego państwa, rozpościerającego się od Odry do Oceanu Lodowatego i Pontu, zostali podbici przez Atyllę, który jednak nie mógł ich wytepić, gdyż nie zdołał przebrnąć gęstej sieci rzek i niedostępnych bagien Polesia. Ogniem i mieczem nawiedzili pewne połacie jego Awarów, podbijając słowiański lud Dulców i z niezwykłym okrucieństwem znęcając się nad tym nieszczęsnym szczepem.

Z tej samej kolebki przed w. VII-ym naszej ery, wyłoniły się trzy rozgałęzienia Słowiańszczyzny — Wenetowie na zachodzie, Słowianie — na południu i Antowie — na wschodzie. Z tych ostatnich





*„I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana“*

3





na obszarach Polesia osiedlili się Krywiczanie a także Drewlanie, których potomkami są Poleszacy — mieszkańcy Polesia, gdzie znaleźć można byłoby niejeden kurhan drewniański, a wśród zabobonów, obyczajów i gadek ludowych dotrwał do czasów radja i samolotów nieufny, mroczny, przerażony brzemieniem życia duch Drewlan — podstępnych, milczących zacięcie, chciwych ludzi puszcz, moczarów i labiryntu im tylko znanych szlaków wodnych. O nich to napisał w swej kronice dziejopis Rusi kijowskiej: „żyją jak zwierzęta, zabijają jeden drugiego, jedzą wszystko w nieczystości, nie znają małżeństw, tylko porywają dziewczyny przy wodzie“.

Od czasów Drewlan, których podbili Igor i Olga, krocie przybyszów przechodziło i osiadało na Prypeci, Horyniu, Słuczy i Teterewie, wikłając coraz bardziej zagadnienia pierwotnych przodków ludu leśno-bagiennego. Dwa miliony Poleszuków oczekuje zatem ostatecznego wyroku o swem pochodzeniu ciemnym i tajemniczym dotychczas nierozwikłanem. Mozolą się nad rozwiązaniem tej zagadki uczeni, kroczący po żmudnych drogach badania do niebieskiego jeszcze ostatecznego celu.

Jedni uważają ich za Białorusinów, inni odnoszą ich do grupy małoruskiej. Prawdopodobnie — jest to mieszany typ etniczny,



*Łodzia na Polesiu wszędzie i wszystko —*





— i zwózka siana łodzią się odbywa

a w żyłach jego płynie krew prasłowiańska z domieszką sarmackiej, litewskiej i, być może, poczęści — skandynawskiej. Jakkolwiek — Poleszuc stanowi osobliwy, zupełnie odrębny typ, jest — Poleszukiem. Nic dziwnego! W okresach, gdy od wschodu sunęła na Europę fala wielkiej wędrówki narodów, któryż z nieznanymi ludów nie zaglądał nad Prypeć i albo podbijał i tępił tubylców, albo pozostawiał wśród nich swoich synów?

Czyż później nie zaglądały tutaj w w. XIII-ym luźne watahy Tatarów Batoryjowych, o czym bają zapożyczone z nad Dniepru pogwarki ludowe z pod Mozyrza i Turowa? Szczególnie zaś zarubieżna Ruś Nowogrodzka, Kijowska i Moskiewska, Litwa ościenna i Polska, jaśniejąca duchowemi zdobyczami kultury zachodniej, wywierały przez wieki całe wpływ moralno-polityczny i etniczny. Wpływ ten wyraził się najwidoczniej w mowie poleskiej, złożonej z gwary Rusi północnej i południowej z domieszką słów polskich.

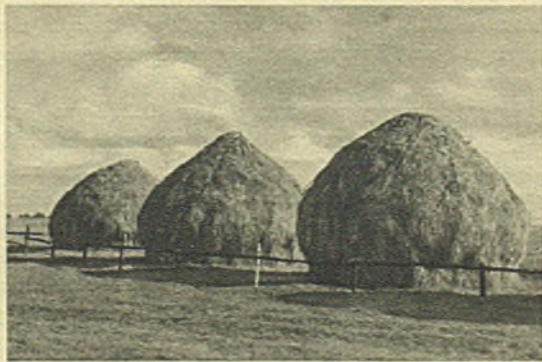
Czyż nie dowodzi tego każda niemal pieśń obrzędowa lub obyczajowa, chociażby ta — znana powszechnie na Polesiu a śpiewana po Wielkiej Nocy:

Cerez pole szyrókieje,  
Cerez more hłybókieje,  
Stojąc stouby zołotyje,  
Mościac mosty srebranyje.



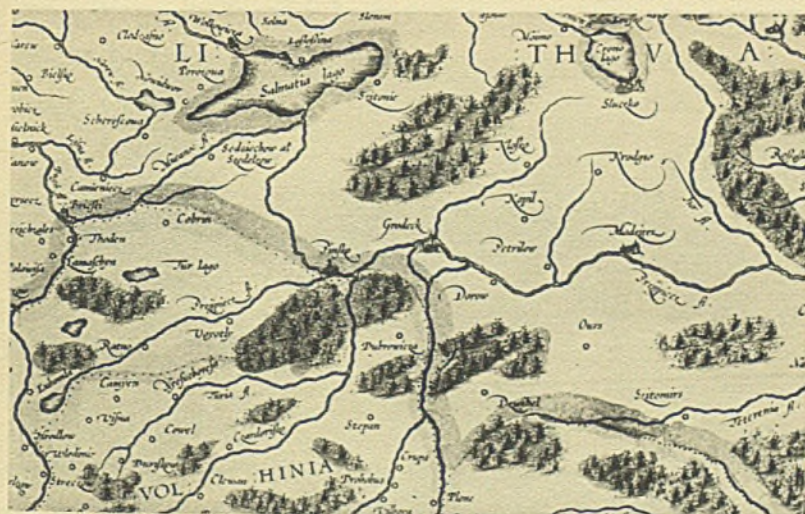
Na tajemniczej ziemi poleskiej, przeciętej setkami rzek, obwarowanej trzęsawiskami i mokradłami, porosłej sitowiem, wonnym „ajerem“, gąszczem wiklin i wierzb, nad którymi tam i sam, na miejscach wyżynnych podnoszą swe korony bory iglaste i lasy, z dębów, olch i brzoź złożone — te smętne niedobitki słowiańskiej prapuszczы — opiekunki, o której gwarzy współczesna puszcza Szereszewska, pędzi ciężkie i ciemne życie mieszkańców tej krainy — Poleszuk. Niepomny swych przodków, z nieświadomym, a tragicznym uporem przechowuje on ich dawne wierzenia, obyczaje, zabobony, czary, charakter i sposoby walki o twarde, żałosny byt.

Zrozumiałem staję się duchowe oblicze Poleszuka, gdy się ogarnia wzrokiem całe życie jego w przeszłości dalszej i bliższej. Jego to surowy, chwilami burzliwy lub tragiczny los wytworzył tak osobliwy typ człowieka bagien i puszczy, pełnej zdradzieckich trzęsawisk. On też — ów los nieprzychylny zmusił Poleszuka do nieufności, co stała się drugą jego naturą, i — do nawyków drapieżcy, bo one zabezpieczały mu dzień jutrzejszy i rozpraszały blade widmo głodu, chorób i śmierci, które, niby mgły nad „bielami“, snują się nieprzerwanie wokoło ostrowów, chutorów i słomą krytych poleskich chat.



*Z roku na rok — od wieków*





*Polesie na karcie z wieku XVI*

## ROZDZIAŁ DRUGI

### DAWNE ECHA



**Z**apadłych bagien i ciemnych lasów z nad Prypeci, Cny, Łani, Stochodu i Moroczy dopiero w w. XI-ym wylaniają się Poleszucy-Słowianie polescy. Wywiódł ich z kniei i topielisk, wydobył na widownię życiową dziejopis Rusi — mnich Nestor. Stało się to wtedy, gdy kneź Mścisław Świętopętkowicz powołał ich wraz z Brześcianami na obronę Włodzimierza przed zakusami księcia-wygnañca Dawida z dynastji włodzimiersko-wołyńskiej. Tu w dobie zaburzeń na Litwie odegrał rolę

*Karta Polesia zmieniała się —  
Poleszuc trwa nieodmienny*





„Poddki” — stóg na palach, relikw budownictwa palowego

Pińsk, gdzie ukrywali się zabójcy litewskiego księcia Towciwiła. Zjawiają się w tymże okresie monasterzy greckie, a jeden z uczonych czerńców, Mitrofanos w celi pińskiego klasztoru rzuca na pergamin zarysy dziejów Rusi Waregów. Możliwym jest, że w końcu już w. XIII-go, a w każdym zaś razie — w połowie XIV-go, Pińsk staje się stolicą udzielnego księstwa, złożonego z Mozyrza, Pińszczyzny i Polesia Wołyńskiego; ze stolca książęcego Narymunt Gedyminowicz broni swych włości przed Tatarami.

Inny książę — Narymunt II Olgierdowicz, brat Jagielly, pisał się „dux de Pińsko”, lecz to nie pomogło mu w utrzymaniu swej ojcowizny, którą wcielono do ziem wołyńskich, a wkrótce — do województwa Brzeskiego. Później działy się tu rzeczy zwykłe i małe, aż w r. 1527-ym znowu wypłynęło imię Pińska i posłyszano o Polesiu, gdy to Konstancy Ostrogski do nogi wyciął pod tem miastem dwudziestotysięczny czambuł Tatarów. W r. 1648-ym grasowały tu watahy buntowniczych kozaków bat’ki-hetmana Chmiela, a że Pińsk sprzeniewierzył się haniebnie, został przeto spalony, ludność zaś jego surowo pokarana.

Starowolski, opisując Polesie w w. XVII-ym, maluje je „lasami okrytem, błotami zalaniem,” wysławia jego, „bogactwo w drzewie, miódach, zwierzu” i rozwodzi się nad handlem targowego Pińska ze



Śląskiem i Gdańskiem, wspominając nawet o greckich kupcach przemysłnych, odbywających dalekie i niebezpieczne wyprawy do Moskwy i Niemiec. Polska przedrozbiorowa naogół zbyt małą uwagę zwracała na Polesie, szczególnie zaś na jego wschodnią połać.

Na Polesiu zachodniem i wołyńskiem rozsiadły się natomiast królewęża potężne i wysoko urodzone i tu zakładały swe zamki obronne, chciwem okiem spoglądając ku Dzikim Polom, chociaż poza niemi nie potrafiły dojrzeć najważniejszego celu, którym powinno było być — Morze Czarne. Na wschodnich zaś kresach, jak za czasów Dulebów i Drewlan, krył się w swych uroczyszczach, na ostrowach, po „hałach“, „popławach“, i po haszczach „olosów“, szczep poleski, pędząc życie odrębne, od świata odcięte i odgrozdzone, a w nieufności, nędzy, ciemnocie i lęku płynące.

Zjawiali się tu nieraz pojedynczy zbiegowie, ścigani przez swych panów, nieprzyjaciół mściwych lub przez prawo Rzeczypospolitej i Moskwy. Czasami wpadały tu całe watahy banitów, infamisów i wszelkich złoczyńców, skazanych na gardło. Na Polesiu znajdowali oni najpewniejszy, niewykryty schron przed katem, lecz inne groziło im tu niebezpieczeństwo: ciężkie, wymagające nieustannej pracy życie, zła „zimnica“, „gnilec“, grząskie bagna i głębiny rzeczne, pełne mułu, jam „bez dna“, wodnic-rusałek, topielic, wodzianików i innych złych duchów, na duszę ludzką i życie człowiecze łakomych. Najstraszniejszym jednak wrogiem był małomówny, tajemniczy i zawsze nieufny mieszkaniec tego kraju — Poleszuk.



*W czas żniw jawi się zawsze jeszcze żywy namiot*



Nie chciał on, obawiał się sąsiedztwa ludzi, skądś i pociąg tu przybyłych, a nieznanym mu, więc tępił ich, jak i czem mógł. Po nocy napadał z siekierą na śpiących w skleconych naprędcie szałasach-kurenkach i „szatrach“, wprowadzał do zasadzki i zniecka wtrącał do topieli, wypuszczał strzałę, dla pewności zatrutą „czmierem“ lub „blokotem“, godząc oszczepem łowieckim albo ością rybacką.

To też przybysze nie utrzymywali się długo na ziemiach poleskich. Szli dalej, przekradając się na Sicz i Wołoszę, lub wchodzili do rodziny poleszuckiej, wnosząc do niej nową, nieraz bujną i gorącą krew. Być może, że ta to domieszka awanturniczej krwi uczyniła z Poleszuka miłośnika włóczęgi, co nie może długo usiedzieć na jednym miejscu — czy to wędrownego handlarza czy nawet ochocze-

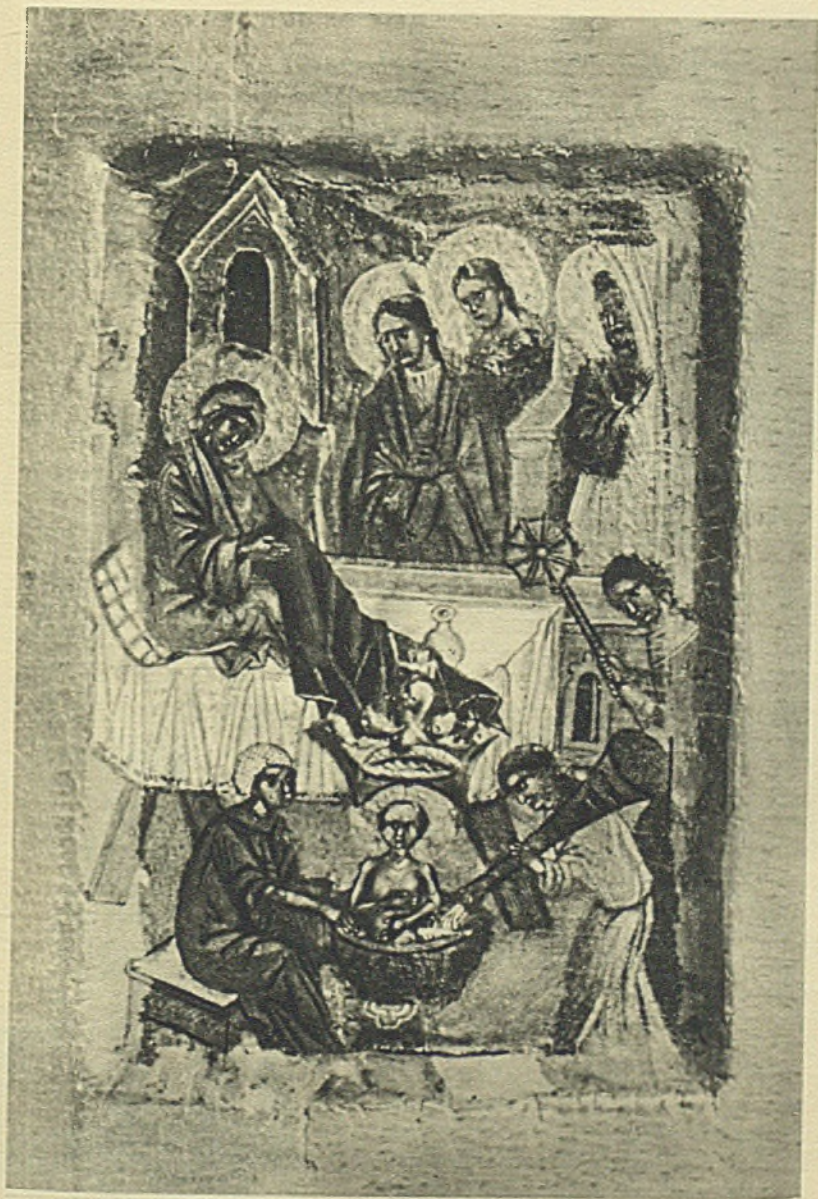


*Ziemia trwa wszędzie w pierwotnej postaci —*

go do emigracji robotnika? Kryli się też na Polesiu uciekający z Rusi i Rosji czerńcy niepokorni, wolnomyślni lub protestujący przeciwko upaństwowieniu cerkwi i nowatorstwu kanonów.

W niedostępnych orocyszczach i na zapadłych w kniei „ihryszczach“ czaili się sekciarze, przybywający z Kamy i Ilmenia, zwolennicy „starej wiary“, zbiegowie z mroźnych wysp Sołowieckich i ze skalnego Walaamu, gdzie w podziemiach, za grubymi murami klasztorów przesiąknięty zasadami cezaro-papizmu kler rosyjski uśmiercał potajemnie popów i mnichów, żądających surowych reguł klasztornych i wolności cerkwi; znajdowali tu przytułek i opiekę,





— *duśa wyrasta w skrzyętych formach wschođu*  
(odwieczny cerkiewny obraz Drucekich-Lubecekich w Poroczońsku)





*Snuje się jednako nie —*

wykształcony, płomienny mnich Heljodor. Jakies zaczajone skupienie, myśl utajona, czy też rzewne a dręczące wspomnienia wyczuwają się tu na każdym kroku, budzą niepokój, lęk, a nawet zgrozę. Rybak i flisak — na rzece, gajowy w borze, chutornik — na samotnym „ostrowiu“, obrzeżonym mokradłami „hał“; starucha, zbierająca zielska na łące, — wszyscy oni noszą w sobie jakieś echa przeszłości namacalnej i ziejącej trwogą. Wśród lasów i mokradel tam i sam wznoszą się ponad błotnistą równiną poleską okrągłe pagórki lesiste. Pierwszy już rzut oka podszeptuje myśl o dziele rąk ludzkich. Tak też jest istotnie! Są to „poboiszcza“ — miejsca, gdzie toczyły się bitwy, a nad poległymi sypano te kurhany, zniszczone już zębem czasu, zalesione, zarosłe doszczętnie trawą i krzakami. Nad Jasiołdą pod Stoszanami „poboiszcze“ wiąże się z bitwą roku 1160-go, gdy książęta litewscy rugowali stąd Mściława i przyłączali te strony do Litwy. Są też inne liczne, mniej znane i przez historyków nie rozświetlone. Tam poległy krocie





ludu poleskiego i najeźdźców Tatarów, tam — wojny kozackie pozostawiły po sobie widome znaki wicherzających się tu krwawych zapasów, gdzieindziej jeszcze starsze „poboiszcza“, prawie już znikające z powierzchni ziemi. Jakież to drużyny i jakie ludy ścierały się tu ze sobą i oddawały tej ziemi moczarnej krew swych towarzyszy i synów? Być może, leżą tam jeszcze kości prasłowiańskich mieszkańców tej krainy, zmieszane z prochami krwawych najeźdźców — Gotów, Hunnów i Awarów, a kto wie — może jeszcze wcześniejszych bojowników, naprzykład Litwinów, gdy wędrowali z Indyj Wschodnich i sunęli wzdłuż Prypeci ku brzegom Niemna i Bałtyku?



*...dola przekazywana z pokolenia na pokolenie*

Poleszacy mogliby pokazać przyjezdnym inne zabytki sławnej niegdyś przeszłości — wały obronne nieistniejących już zamków i fortec. Uroczyszcza takie nie mają swej historii — może są tak stare, że pamiętają czasy Olgierdowe, może — znacznie młodsze — naprzykład lata „potopu“ szwedzkiego, a może są rówieśnikami zabiegliwej królowej Bony, jak to lud miejscowy opowiada o wałach, pomiędzy Ladcem a Dawidgródkiem przeciągniętych?

Są też jeszcze inne uroczyszcza nie z wojną, lecz z szarem życiem tego ludu i ziemi ściśle związane. Nadawano im dziwne nieraz nazwy — Dziewka, Swacha, Witusz — Hora, Moroczna, Peredól.



Różne legendy — a zawsze obce, z Rusi kijowskiej i moskiewskiej tu zanesione — wiążą się z niemi, a nawet takie, co przebąkują o miejscu śmierci lub pobytu Owidjusza Naso, wygnańca rzymskiego; pokryjomu, w strachu przed popem mruczą Poleszacy o Wicie, słowiańskim bogu wojny, i o siostrzycy jego — bogini Lado; brzmia tu jeszcze gadki o normandzkich Wikingach, założycielach Turowa na Prypeci, wielkim kneziu kijowskim Włodzimierzu Monomachu i o władcy Litwy — groźnym Gedyminie.

Echa to są dawnych, najdawniejszych dziejów.. zamierzchłych, siwych, ni to stare wierzby rosochate, ni to mchem przeżarte głązy granitowe, — daleki pomruk zbutwiałych i zmurszałych czasów.

Ileż to podświadomych, we krwi pozostałych wspomnień działa tu nieprzerwanie, to słabnąc, to znów wybuchając z nową siłą i popychając do czynów rozpaczliwych lub szalonych. Na każdym tu kroku czają się cienie pradziadów, których śmierć spotkała z ręki najeźdźców. Te to cienie jęczą i wzdychają po nocach, one to majaczą w oparach leśnych, szepcą o gwałcie strasznym i zemsty żądają od prawnuków.



*Nowe życie idzie między krzyże*





*Wieś w zaspy utulona*

## ROZDZIAŁ TRZECI

### W ZIMOWEJ SZACIE



*Doczekało się  
wilczyśko*

Panował tu niegdyś lodowiec. Jakgdyby zwartą ciżbę wojowników, jakgdyby jednolitą drużynę, stłoczoną i zbitą w hufiec opancerzony, — daleka skandynawska macierz lodu i mrozu rzucała swe zagony ku południowi. Sunęły one nieprzerwanym potokiem, leniwe pozorze, a przez długi łańcuch wieków niezwalczone w swym ruchu i uporze. Zmieniały one oblicze tej ziemi, burząc wszelkie przeszkody i tamy, druzgocąc i niszcząc wszystko,



co ponad zamarzlą pustynię, skutą już nielitościwym podmuchaem północy, śmiało podnieść czoło, — czy była to skała granitowa, czy nadmuch żyznego „loessu“, czy też jałowe wydmy piaszczyste. Unoszonymi w swem cielsku złomami granitu wygładzały lodowce powierzchnię ziemi, a piachem i miałem, tysiące razy przetartym, wypełniały i przysypywały wąwozy, łożyska rzek, kotliny jeziorne i — całe doliny. Trudnoż się dzisiaj przebić przez te zasypiska.

Setki tysięcy wieków panował tu martwość ziejący lodowiec. Kraj, usidlony teraz w gęstej sieci Prypeci i jej dopływów, nawiął był do swego lodowatego pancerza, a gdy ożywiający wszystko



*„Zima wyzwala z władzy trzęsawisk, topieli wodnej“*

słońce roztopiło go na piersi ziemi, — choć zwolniony, tęsknił snadź za ciszą lodowego grobu. Tęsknił, bo ciszę przechował w naturze swej, w powolnym biegu rzek, w obumarłej duszy swego ludu, co tu przywędrował, gdy od lodowca nic nie pozostało, oprócz głazów, lecz ciszę wziął z natury samej i umiłował ją na zawsze.

Tęsknił, bo do dziś dnia całą pierśią, wilgotną nieustannie od nadmiaru wyziewów bagiennych i własnego potu, oddycha wtedy tylko, gdy rzeki, „rieczyszczka“, jeziora i „kałuhy“, „płosa“ i błota zetnie srogi mróz, powlecze je lodem i narzuci na cały świat niezmierną i jednostajną grubą, białą płachtę śniegów wysokich.





*„Jedna bezkresna i bezpieczna droga“*

Zima bowiem wyzwala mieszkańców Polesia z przepotężnej władzy trzęsawisk, topieli wodnej i nieustannej, mozolnej pracy.

Jak okiem sięgnąć, rozpiera się tam na cztery — pięć miesięcy biała równina — jedna wielka, bezkresna i bezpieczna droga!

Od „chwozdka“ do „chwozdka“, od „rozświetli“ do „rozświetli“, od chutoru do wsi i dalej — do miasteczka i miasta sanie poleskie na płozach jesionowych przetną niebawem zimowy szlak. Pobiegnie on czarnem pasmem poprzez zamarzłe jeziora, niedostępne mokradła, koryta rzek i to zniknie w mroku borów i puszczy, to znów wypadnie na zaśnieżone „hała“ i podstępne, zdradne „biele“.

Nawet poprzez ciemny las i gęste zarośla łóz, „tałników“, wiklin i zwarzonych mrozem szuwarów rozbiegną się wkrąg i pokrzyżują ze sobą wąskie ścieżyny. Wydepcą je kopyta końskie, postoiły — łapcie łykowe i krótkie, bieżne płozy nart — i na długo ustalą.

Zdóbne w puszystą sadź szronu, nieruchome, ośnieżone tkwią krzaki, jakgdyby podsłuchując, o czym szemrzą i szeleszczą obumarłe sitowia i uschłe tataraki na pobliskich „nietrach“.

Tam i sam coś się kurzy nad popławami, mszarnikiem i bagnami... To nigdy nie zamarzające „wyżary“, wykroty na oparzeliskach, gdzie się srożyły niewidzialne pożary torfowe; one to odgradzają się



*Na zimowym szlaku...*





*...sanie w krowim zaprzęgu...*

żarom ścieżki wąskie, zawile, kluczące. To — „tropy” zwierzęce — wilcze, lisie, kunie, a tuż — tuż nad dymiącą wodą — ślady wydry, co się tu osiedliła dla łowów karasi i wijunów — mieszkańców niezamaryłych oparzelisk. Na hałach, pławach i łęgach tkwią stogi siana — tego największego bogactwa poleskiego chłopca.

Lubuje się on w swem niepokąźnym, szczeciniastem i brudnem zawsze bydle, bo stanowi ono najcenniejszy jego „towar”, toteż Poleszuc troszczy się najwięcej o siano, szuka go wszędzie, nie szczędząc swej pracy, narażając nawet życie, gdy z kosą i grabiami wdziera się do rozwidlin rzecznych, nad brzegi w haszczach zatajonych jezior bezimiennych, gdzie czyha na życie kosiarza „bezdenne okno”,



*...i chuda szkapą wlokąca roztrzęsiony wóz*



ukryte wśród mchów, traw i sita, a w pobliżu — przepaścista topiel trzęsawiska. Po nocach, po śnieżnej pokrywie, śmigają, szukając żeru, zające — północny bielak i nasz szarak pospolity. Za nimi, ni to cień złowieszczy, pęta się lis rudy, na załomach zaś i skrzyżowaniach tropów czai się gdzieśgdzie, coprawda bardzo rzadko — gronostaj, znacząc się na bieli śnieżnej czarnym końcem drgającego chciwie ogonka. W zaroślach łóz i w oczeretach odzywa się ponure wycie, zapalają się i gasną gorące ogniki. To „lampy“ wilcze — płonące ich ślepia, jakgdyby wici napadu rychłego i niespodziewanego.



*Zimowe łowy na Polesiu — wg. obrazu J. Fałata*

Wraża to siła dla pasterzy poleskich — wróg to odwieczny!

Żadne uroczyszcze, żadna najbardziej zapadła tajnia w szuwarach lub w ołosach, — żadna pustać, broniona przez bagna, nie ochroni zszerszeniałej, łaciastej krowy przed zuchwałym drapieżką.

Wszystko wywęszy; wszędzie się prześlizgnie; wszędzie coś urwie.

Toteż w życiu Poleszuka wojna z wilkiem stanowi nieodzowny jego kanon. Tępi drapieżnego rabusia, jak może i jak umie, szczególnie zaś, gdy pierwsze mrozy wytkną już drogi twarde do niedostępnych gniazd wilczych po matecznikach bagiennych.

Puszczają tedy „pał“. Ogniem nawiedzają wilcze łęgi, w łożach ukryte, zatajone w szuwarach, w sitowiacach i wiszaczach, szczecinią ciemną okrywających biel ustyni i rdzawiska bagnistych zapaści. Po nocach niby rozwiewne płachty — krwawe i złote, niby szkar-





*ponieśli i wilka*

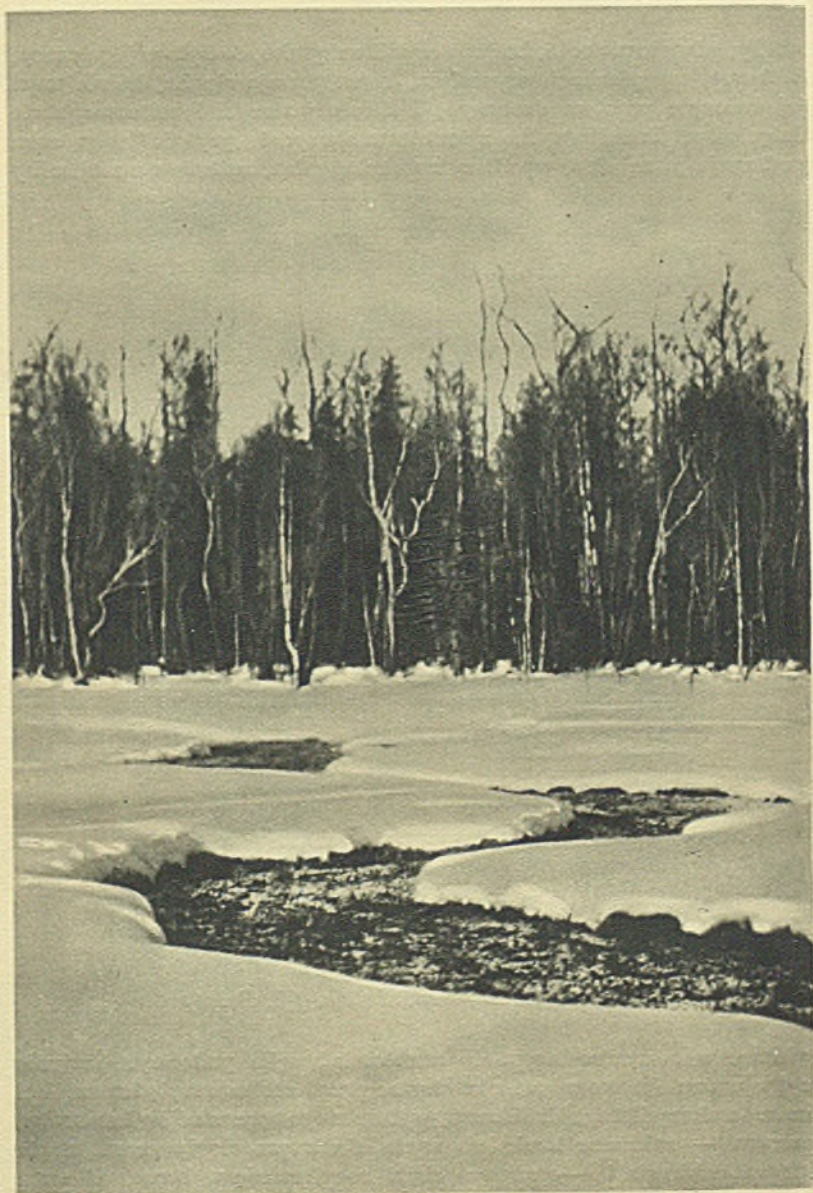
łatne sztandary, biegną te ognie i miotają się po zarzecznych „nie-trach” i grzęzawiskach przepastnych. Chwilami wdzierają się w gąszcz suchych trzcin i w radości rozszalałej płomieniem buchają popod czarny pułap nawisłych dymów, ścinając, rwąc i zgarniając zmarniałą na mrozie czerń roślinną, ciskając wokół gorejące żagwie i sypiąc w mrok snopy skier czerwonych.

Tam znów, pożarłszy łup bogaty, przypadają te ognie dzikie do ziemi i płaszcą się na niej, pełznąć powoli ognistemi strumykami, cienkimi, jak rozżarzony do czerwieni drut stalowy; żywią się tu wystającymi ponad śnieg kępami mchu, rzadkimi źdźbłami kamienicy i dziatłowiny, narzutami szarych, martwych „zabr” i suchemi pędami wierzby, aż dociekną do dalekiej ściany bajorów, do jakiegoś matecznika martwej porośli, aby znów rozszać w rozradowaniu złem, albo, dobiegłszy kresu, — przywrzeć do ziemi i szczeznąć...

Szlaki na śniegu, przerzniętym płozami, i przeprawy przez lód rzeczny czernieją coraz bardziej, czernieją i wcinają się głębiej, niemal do samego torfowiska, do ziemi, do piachów, do lodu nawierzchni.

Coraz więcej sani przebywa te drogi zimowe. Chłopi wiozą żyto do młynów, pędzą bydło na targ, zwożą na pobliski tartak lub do chutoru pnie zwalonych w puszczy drzew, a ogień, siekiera i dłóto wyżłobią czółno z dębu — tę jedyną więź głuchych zapadłych „ostrowów” ze światem, gdzie słuchy tylko krążą o tym bagnisto-leśnym kraju i jego ludzie, nieufnym, milczącym, ciągle stroskanym, nawet





*„wyżary niehcą ulec mrozom najtęższym“*



wtedy, gdy nic nie robi, bo już uczynił wszystko, co było w jego mocy. W borze, na piachach wyrosłym, cisza panuje głucha, bo nie ma jej świergot ptactwa drobnego, kwilenie jastrzębi i miarowe kucie dzięciołów. Zrzadka tylko z furkotem skrzydeł „pryśnie” w gąszczu podszycia jarząbek i, wpadłszy na suchą gałąź, zniknie na niej, niby



*Z oszczepem na niedźwiedzia (J. Fałat)*

widmo, w bezruchu swym do narości lub sęka podobny. Śmignie z drzewa na drzewo wiewiórka chyża; przed zachodem słońca nadleci czereda skrzydlatego drobiazgu, spłoszonego przez sójkę lub srokę, czasem — zakracze kruk lub wyda skwir przeciągły czemś nagle strwożona kania i — znowu cisza rozpiera się w borze, od serca



do skraju, gdzie już sosnę wypierają brzozy, osiki, olszyny i dęby. Po nocach na zaśnierzonych hałach i pustaciach zimne strugi promieni księżyca oświetlają swym zwodniczym blaskiem stogi, krzaki, rzadka mały gaik, wyższe drzewo i wysterczającą ponad zamarłą biel szczecinę suchych „czorotów”. Blżej brzegów rzek — w świetle mie-



„Lampart naszych lasów — rys”

siąca, niby widmo nieruchome, zaczerni się porzucony „kureń”, na łąkach — nędzny szałas kosiarzy. Tu, a też — i w głębinie boru, gdzie przeciągnęły swe macki bagna okoliczne, kolumny sosen strzeliły głowicami z gęstej płataniny wysokich zarośli krzaczastych, z grubej pokrywy traw i mchów. Tam to zapadają królewskie rody głuszców wspaniałych, czujnych i samotnych; tam też wiodą z niemi spory ich mniejsi, pospolitsi pobratymcy — „ciecieruki” czerwonobrewie, zdobne w pięknie wygięte, białe pióra ogonowe, stanowiące ozdobę cietrzewiego „wachlarza”. Pociąga je tu obfitość jagód, słodkich od mrozu przysypanych śniegiem czernic, zórawin, borówek.

Nieraz odwiedza te ostępy plamisty lampart naszych lasów — rys. Wdrapie się na omszały wywrot i zalegnie na nim — baczny, żądny zdobyczy, zniechęcony przez wszystkie żywe istoty, okrutny władca kniei. Spada, jak piorun, na czarnopiórego głuszcza, porywa kluczącego w borze zającą, umie runąć, jak burza, na sarnę, skradającą się ku ostrowom, skąd wiatr zanoszą woń najlepszego siana „murożnego”, a, gdy głód dokuczy nieznośnie i rozzuchwali drapieżcę, czając się i prychając, sunie on tropem dzików, czujnie i płochliwie węsząc wilki — gotów w chwili każdej zarówno do napadu jak i do





ucieczki. Zda się, żywej tu niema istoty. Pozorna jednak jest ta pustynność okolicy i jej cisza gnębiąco martwa! W krzakach polyskują trwożnymi skrami żrenice wilcze. Wypatrują one zdobyczy nieostrożnego bielaka, psa zbląkanego, wreszcie samotnego wędrowca. W mrocznych ostępach boru i olosów — do niedawna jeszcze często, teraz rzadko — i to zaledwie na wschodnich połaciach, nad Łanią, Cną, Mostwą i Stwigą, mrużąc i sapiąc, natrząsa sobie suchych gałęzi i pniaków niedźwiedź, wykrot dogodny i tajemny obrawszy na barłóg zimowy. Zapada tu, uśpiony na długo, ufny w opiekę rodzimej knici i w niedostępność uroczyścza. Nie dba o to, że nad zwałonym w nieładzie chróstem i „łomem“ unosi się zdradliwa struga pary, a na zwisających nad barłogiem łapach świerkowych coraz obfitsza i cięższa narasta śnieżna sadź.

Dziwne się dzieją rzeczy w głębiach leśnych, po nocach ciemnych, gdy na nagich kujawach — „ihryszczach“ baraszkuje i płasają korowody duchów nieznanych — lasowików, rusałek, biesów i wiedźm!

Rozlega się tam często krótki, zduszony krzyk, przeszywa ciszę ostrzem przerażenia, urywa się i przechodzi nagle w rozpaczliwy, bezładny, a coraz powolniejszy i słabszy łopot skrzydeł.

Staruchy, posłyszawszy przypadkiem te odgłosy nieznanych istot i wypadków, szepcą zaklęcia przeciw mocy Belzebuba, bo on to — księżę mroku zleciał na ziemię na skrzydłach czarnych:



*Łoś w Radziwillowskich lasach znalazł schron*





*Zamknąć wilka w miocie najlepiej sznurem czerwieni*

— Żelaznym zamkiem zamykaj, żelaznym zamiatom zakidaj u noczy i u dzień, — nas rabow Twoich, Hospodzi Boże, spasi i, święty Juryj, zasieczy. Amiń!

Ale stary „strielec“, doświadczony gajowy, inaczej na tę sprawę spojrz i, nad słuchując, długo będzie trząsł głową, aż szepnie z przejęciem:

— Panoczku, to „kunica“ (kuna) skradła się do śpiącego głuszca i, skoczywszy, wpiła mu się zębami w szyję. Po głuszcu już! Nie będzie on więcej tokował na wiosnę!

Stęknie i westchnie leśny człowiek — odwieczny łowiec, niepoprawny kłusownik, zawistny o zdobycz innego rabusia i drapieżcy.

Nieraz rozlega się w kniei skrzywienie stwardniałego śniegu i miękki tupot mknących racic. To sarny, zwęszywszy wilki, pomknęły w mroku, naoslep miotając się w haszczach.

Niedawne to jeszcze czasy, gdy inne słyszano tu stąpanie — powłóczysty, rozgłośny, losiowy chód. Lecz teraz nie roztrąca on łopatami swemi obciążonych śniegiem gałęzi, nie strzyże czujnymi „łyżkami“ i nie wciąga mroźnego powietrza rozdętymi chrapami. Wytępiłi go Moskale i Niemcy w dobie toczących się nad Styrem, Stochodem i Prypecią bojów, a tych, co pozostały, wytropił i wykończył Poleszuk. Uchronili je tylko Radziwiłłowie w swoich roz-



ległych włościach i z nich szcasiem, być może, rozpierzchną się rozmnożone łosie po dawnych stojankach wśród ołosów, na skraju hałów i na najdalszych ostrowach.

Zima, gdy śniegiem przyprószy i okryje cały kraj, zdradza leśnych mieszkańców puszczy i borów. Największy i najmniejszy zwierz wychodzą po nocy na żer, szukając go na hałach, a nawet w pobliżu osiedli ludzkich. Toteż Poleszuk-łowiec w ciemne noce opuszcza chatę i stanąwszy koło „tynu” — ogrodzenia z zastrzonych palów, słucha i chwyta każdy dźwięk, dobiegający od czarnej ściany lasu, aby wiedzieć, dokąd ma pójść o świcie na tropienie zdobyczy. Trwa ta noc zimowa, tajemnicza aż do godziny, gdy glucho i krótko zakracze kruk, krzykną nagle obudzone wrony, skrzeknie sroka i sójka wrzaśnie bezmyślnie.

Na wschodzie tuż nad białą, kulistą powłoką ziemi brzeszczęć zaczyna szkarłatna kreska, cienka niby nić starannej prządki. Już pies zaszczekał na chutorze... Zaryczał wół w zagrodzie i zarżał koń...

Wreszcie dobiega głuchy głos człowieka — modli się mrukliwie lub przeklina...

Świta...



*Poleskie trofeum*





*„nawet na krawędzie, na skrzydła borów wdziara się woda“*

## ROZDZIAŁ CZWARTY W ROZLEWIE WÓD



*„Oj wiosna krasnal“*

**Z**a dawnych, może drewniańskich jeszcze czasów, gdy poczucie budzących się potęg natury było ostrzejsze, — wiosnę przepowiadały dziewczyny wiejskie od prababek zapożyczonem „klikaniem“. Zbierały się dziewczyny całą gromadą koło parkanów, nad brzegiem rzeki i, patrząc na siniejący, coraz bardziej pęczniejący lód na przeprawach i na porowatą powierzchnię śniegu, śpiewały głosami o przeraźliwych tonach zawodzeń





*„woda zawiadnęła uliczkami wsi“*

żałosnych; niosła się pieśń z wezbranej tęsknotą dziewczęcej piersi:

„Oj, wiosna krasna!  
 Da sztoż ty nam uniosła?  
 Oj, uniosła, uniosła  
 Try korzyści u radości:  
 Pierwaja korzyść — bortniczkom,  
 a druhaja i oratajom  
 a treciaja — pastuszkom!

Wiosna rychło odpowiadała dziewczęcemu „klikaniu“.

Posyłała wiatry ciepłe i deszcze nagłe, co przesiąkały śnieg, i nic



go już obronić nie mogło, ani podmuchy srogie od północy, ani śnieżyce wściekłe, ani nawet ostre przymrozki poranne. Wkrótce też spod grubego pokładu śniegu, ściemniałego i zleżalego, sączyć się zaczę-

*Wóz zalewy przebywa łodzią...*



nały najpierw małe, jak gdyby wylekłe strumyki, a potem większe, z pluskiem spływające na lodową powłokę rzeki i żłobiące w jej brzegach spadziste rozłogi, a gdzie, jak na Horyniu, środkowej Prypeci i Słuczy, ku prądowi się kłonią strome a spadziste spychy nadbrzeżne,



*...lub przy pomocy lichej tratwy,...*

strumienie wiosenne ryły jary głębokie. Nic się od pradawnych czasów nie zmieniło! Woda topniejących śniegów tak samo wpada do rzek i jezior, wypełnia je ponad miarę, aż zaczynają podnosić krępującą lodową pokrywę i łamią ją. Nie jest to jednak groźna walka żywiołu, gdy prąd z rykiem, pluskiem i zgiełkiem zrywa i kruszy lód, olbrzymie tafle kry ciskając na spychy i łachy.

Rzeki poleskie — duże dopływy Prypeci, tak samo jak małe, powolne są, nieufne w swych przejawach, niby się wahające w zamierzeniach. Zdać się może, że same nie wiedzą, dokąd mają skie-



*...po zalanych kłodach człowiek w daleką drogę idzie*



rować obfitość wody, czy nieść ją ku żółtym wybrzeżom słowiańskiego Bałtyku, czy ku ciemnym, ciepłym falom turecko-tatarskiego Czarnego Morza? To też mimo, że wypełnione już po brzegi, — wzbierają powolnie, nie wiedzieć gdzie i jak ujmując całą powódź, i bez pośpiechu, bez syku wirów i warkotu fal, płyną leniwe a groźne — przyjinie je granitem słane koryto Dniepru.

Jednak wiosna, „naklikana” przez dziewczuchy chutorowe i wiejskie, nie śpi — raz zbudzona jąta się wielkich prac.

Roztopia ona coraz to nowe zaspy, połacie i wydmy śnieżne, zgarnia białe czapy z łapiastych świerków i szron z nagich gałęzi dębów, sokorów, brzoź, grabów, jesionów i wierzb z nad Mozyrza, Łani, Jasiodły i Bobryka, wyciska wodę z zamarznętych bagien, trzęsawisk i nietr Zarzecza, Czortowa, Lutycy, Wargany, Moroczna, błot Hryczyńskich, Kaczańskich, Petrykowskich, z każdego hała, bieli i błonia, aż przesiąknie je i okryje zimna jeszcze, obfita „nieciecz”. Budzą się, zbierają, ruszają długo zastygłe wody.

Wtedy wzbierać zaczyna, ni to zdyszana, ni to spiesząca się Prypeć, a z nią razem — najmniejsze jej odnogi i każde rieczyszcze. Unoszą one kry przeogromne, przepasane czarnymi drogami, żelazem kół pocięte i nawozem końskim powalane; porywają szałas i kurenie nadbrzeżne, czasem dach z podmytej chaty, smętne krzyże „pohostów”-cmentarzy, drzewa zdarte z brzegów i z łach.



*Wszędzie woda — jednakim sprzętem wóz...*



Woda przybywa coraz szybciej i wyżej — piętrzy się groźna.

Prypeć, Jasiołda i Szczara wylałyby ją do Dniepru, Bugu i Niemna, lecz na drodze tej natura i ludzie nagromadzili przeszkód bez liku, a szczególnie — Dniepr. Przegroził się on mocarnymi porohami z twardego granitu i wsparł wodę, mknącą z błot poleskich.

Wtedy zrozpaczona, ciężarna nadmiarem wody, mułu i łu Prypeć z bolesnym westchnieniem występuje z brzegów i zalewać zaczyna nizkie torfowiska, mszarniki, hała i kotlinne olosy, aż hen! — na dziesiątki mil wkrąg rozeprze się wszechwładnie przegromne jezioro — wspomnienie tego, co tu przelewało się falami, być może wtedy, gdy człowiek stopą swoją nie dotknął jeszcze tej niegościnniej ziemi.

Znikają pod wodą łęgi i co wyżej położone błonia przybrzeżne, najniższe ostrowy, grzędy pełne jałowców i wrzosowisk, zarośla łóz, szuwarów suchych i

łamliwych; płyną wyrwane z korzeniami drzewa i pogmatwana „namięć“ krzaków, których się czepiają szare „żabry“ oczeretów i sitowia, gnijące już i spróchniałe; tam i sam nad rozlewiskiem przeży nagie konary dąb, dzika grusza lub pokraczna rozmierzwiona wierzba.

Zalane wodą do półpionów stoją skrawki, niedobitki dawnej puszczy; czernieją posępne olszyńce, a nawet na krawędzie, na skrzydła borów wdziera się woda, zaganiając tam ciżbę zwierzęcą.

Lis nie skrada się teraz do szaraka, tchórz i kuna zapominają o krwawych napadach; ryś wdrapuje się na gałąź rosochatej sosny dziuplastej i, rozplaszczony na niej, nic już nie widzi poza bezkresem rozpętanego potopu; wilki zalegają lękliwie w najgęstszych kępach podszycia leśnego i ostrożnie poruszają chrapami, węsząc wodę i wystraszone dziki, które w haszczach kołują w pobliżu.



...i łódź — „duszehubka“





*„Sieć rzeczna i jeziorna, połączywszy swe skrzydła...*

Ptactwo też zlatuje się tu gromadnie, szukając ratunku na najwyższych gałęziach sosen strzelistych, wiekowych. Zapada tu głuszcę z ciężkim łopotem skrzydeł, nadlatuje stadko cietrzewi, furkają jarząbki beztroskie i przelatuje z drzewa na drzewo mnogi drobiazg pierzasty. Na ostrowach pustych roi się od bielaków, kuropatw, wylękłych śmiertelnie, oszalałych z przerażenia myszy i węzów, pełzających dalej i dalej od wody, liżącej chciwie grząski brzeg i wdzierającej się na jego wąski, błotnisty strąd.

Sieć rzeczna i jeziorna, połączywszy swe skrzydła, otoczyła już ostrowy zaludnione, woda zawiadnęła uliczkami wsi i miasteczek, gdzie ludzie w „duszehubkach“ i „obijanikach“, popychanych drągami, pływają od domu do domu, łapią porwane przez prąd, niewiedzieć skąd zniesione sprzęty, czółna, całe strzechy, kryte czarną od starości trzcina, i inny dobytek. Rzeki i strumienie uniosły z „hałów“ tkwiące tam stogi siana, rozrzuciły je po brzegach ostrowów i zawieruszyły w pogmatwanym gąszczu wystających z wody łóz.

Sędziwi starcy, pykając fajki, siedzą dnie przewróconych „szuhalej“ i „dubów“, w skupieniu patrzą na żółtą, rdzawą lub czarną nawet wodę, badają niebo i słońce, myślą uporczywie i troskają się bezwiednie.



Wieszczby, wróżby czynią — takie, jakie zapewne sprawowali niegdyś pogańscy kapłani i starcy po osiedlach dawnych przodków drewlańskich. — Stosunek człowieka do przyrody nie uległ zmianie.

Słońce przypieka coraz goręcej, coraz żywiej.

Z parnej, ogrzanej ziemi, głęboko rozmięklej, wyrzała już pierwsza ruń traw i niepokaźne, wstydlive „kraski“. Z niemi razem wyfrunęły białe i żółte motylki — najzwyczajsze „babki“ poleskie, te same, które spotkać można od Szpicbergu do Przylądka Dobrej Nadziei i Hornu, od Azorów i Labradoru — do Tasmanji.

Starcy wiedzą dokładnie, że gdy pofrunie wpierw biała „babka“ — młeczny będzie rok, jeżeli żółta — miodowego spodziewać się należy.

Tam znów szczupak długo miota się na jednym miejscu, mącąc i rozrzucając wodę, — żegna się wtedy pobożnie stary rybak o ziemistej, pooranej zmarszczkami twarzy i mrużycy do sąsiada:

— Szczuka swaryćsa — ryby nie iduć od moria...

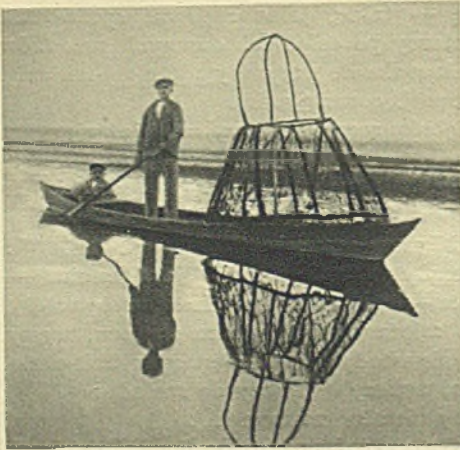
Ale gdy drapieżnik nie ciska się już w przybrzeżnych zielskach i sitach, lecz pruje wodę grzbietem, śmigając z prądem, — Poleszuki wiedzą, że „ryby iduć“, a z ruchów szczupaka w mig poznają „chód“ okoni, sandaczy, jerszy, ścierni, miętusów, jazi, leszczy i karpi. — Przyszedł pożądaný czas.

— Świętyj Martyn, pomohaj w imię Boże! — szepcą rybacy i zabierają się do smolenia łodzi, naprawy sieci, robienia splawików z kory brzozonej i topolowej, cięcia prętów i palów na zbrodnicze, podstępne jazy, przegradzające bieg rzeki, aby zatrzymać ryby, a potem schwytać je w więcierze i kosze, ustawione za zdradliwym przejściem w „hatach“. Młodzież sporządza już wędy, ostrzy haki i szuka narybku dla przynęty; kobiety się krzątają, oporządzając



*...otoczyła już ostrowy zaludnione'*





*W wodzie przeziera się sieć...*

i zaopatrując rybaków w żywność przed wyprawą. Razem z pierwszą trawą i skromnymi „kraskami” ożywa roślinność wodna. „Ajer” ku radości czeredy dziecięcej wypuszcza już zielone brzeczoty swych liści wonnych. Młode trzony jego pędów uważane są tu za przysmak — „sołodkij koreń”. To samo się dzieje z innymi roślinami, Korzenie białych nenufarów i żółtych grążeli stanowią łakomy dodatek do jednostajnej kuchni poleszuckiej, opartej na ziemniakach,

kaszy jaglanej i rybach. Szerokie, potyskliwe, jakgdyby z zielonej blachy wycięte liście białych lilij wodnych wypływają już na mętną powierzchnię powodzi i ciągną, przęzą swe węzowe pędy, aby nadażyć za jej rozlewem, aby coraz chciwiej chłonać ciekłe złoto słońca, którego odbłaski drgają na zmarszczonych wodach.

Wychudłe i oszeszeniałe bydło stoi nad wodą i porykuje smętnie i rzewnie. Jak okiem sięgnąć, wszędzie jedno wielkie, bure i mętne, niosące il i muł morze. Wokół ni skrawka zielonych hałów, ani śladu łęgów i błoni trawiastych. Na krętych załomach i zygzakach łożysk rzecznych — burzące się wiry, jakiś niespokojny,



*...podmyte stogi siana na „hałach”...*



obcy odwiecznej ciszy tej ziemi plusk wartu, unoszącego drzewa, krzaki, słomę i żabry zeszlenczonych czorotów i sitów. A jednak słońce praży i z ziemi wypiera różny „wisz” — chwasty i trawy — świeże, młode i wonne; huczą w powietrzu pszczoły, trzmiele, bąki i muchy, a żółte i białe „babki” fruują już całymi chmarami.

Poleszycy spoglądają na niebo.

— Nie leciać białonosy... — pomrukują w zadumie.

Ale przyleciały wreszcie pierwsze zasięgi gawronów i obsiadły drzewa okoliczne, wrzeszcząc i swarząc się zaciekle, — znużone lotem i wynędzniałe na tej pustyni wodnej.

— Wiesna, wiesna krasna! — klaszcząc w dłonie, pokrzykuje



...i las zatopiony

dziatwa, baraszkując po zaplaciach, gramoląc się na zręby chat i „kleci”, jakby wyglądając dalszych cudów tej „wiesny”.

Ostateczne przyjsie jej otrąbią wreszcie klucze żorawi, łabędzi, lecących ku brzegom Oceanu Północnego, i sznury gęsi, wiszących wysoko pod obłokami; rozniosą skwapliwie wieść o niej ruchliwe, rwące się na strzępy stada dzikich kaczek.

Posłyszawszy te opowieści, nadlecą bociany i czaple, bąki, kuliki wszelkie i jęklive czajki, ale przed nimi nadażą, o kilka dni wcześniej rybitwy — duże, szaro-białe, krzykliwe, i — małe, czarniawe, milczące... Powietrze napelnia się życiem.



Z ich przybyciem Prypeć zgarnie nadmiar wód poleskich, wtłoczy je w koryto Dniepru i przekaże mu, aby wypłusnął ciemny wart swój do głębokiego lazuru dalekiego morza.

Obnażają się wtedy niskie ostrowy, wydmy poszarpane i rozmyte, hała zamulone i łęgi, wynurzają się zatopione zarośle łóz, wiklin i rokit, a na moczarach, mszarnikach i w olosach świeci się i połyskuje już tylko „nieciecz“, która nie znika prawie nigdy; lśnią się szerokie smugi wody, stojącej na bagnach, chociaż ktoś nieświadom Polesia przyjmie je niekiedy za strumień, rzekę lub jezioro, — pod takim zwierciadłem wody toń groźniejsza od wodnej.

Z piachów i próchnicy ostrowów i borów, z grzęzawisk na hałach, bielach i łąkach dobywają się z ziemi trawy, trzciny i pędy drzew. Miodowe pariło, wełnianka, osoka, szczaw, borodacznik, krwawnica, wszelkie najędzniejsze ziele zrywa się do życia, rozrostu, rozkwitu.

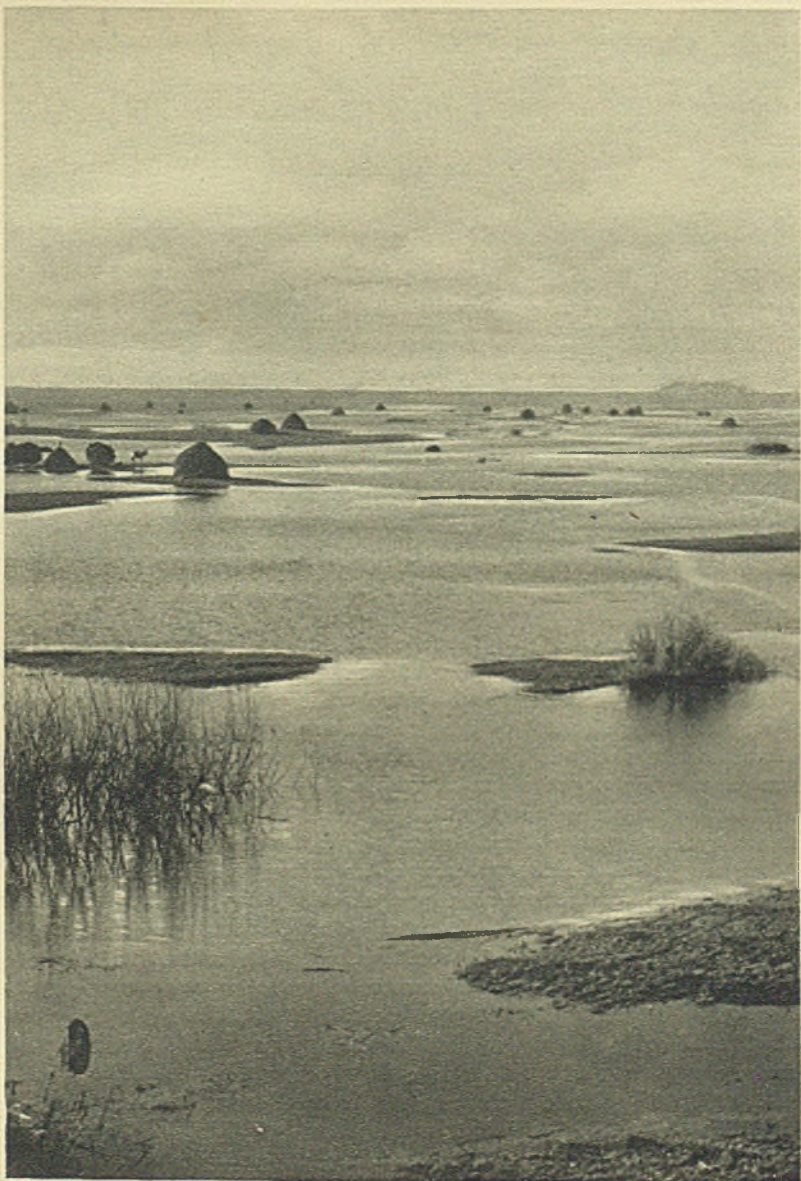
Czoroły, ajery, sity i grzybienie opasują brzegi jezior i ślepych roztok rzecznych, wyrastając nietylko na mule dennym, lecz nawet na zatopionej warstwie roślin zeszłorocznych. Szerzy się niepowstrzymanie ta opaska zielona, przerastają ją łozy, rokity i wierzby i tak — z roku na rok, aż kiedyś zniknie w ich uścisku ciemne zwierciadło lub połyskliwa wstęga wody, resztki jej zasłonią szerokie liście lilij, a rzęsa i mchy narzucą swój pokrowiec zielony i wypiją.

Tak znikają i znikają jeziora i ślepe „płosa“, pozostawiając po sobie grząski, ruchomy pokład torfu z wyzierającymi tu i ówdzie błyszczącymi w słońcu „oknami“; ni to oczy, jeszcze mgłą śmierci nie zasnute, rzucają te głębie zdradliwc ostatnie spojrzenie na świat, spojrzenie rozpaczliwe, przerażone, a w rozpaczy swej i w przera-



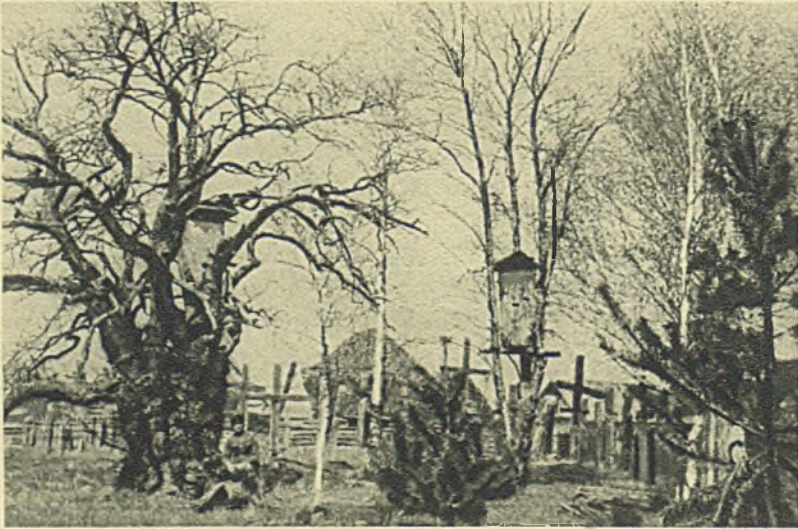
*Rozliczny jest kształt i światło na rozlewiskach...*





*...sięgających swą równią dalekiego kresu horyzontu*





*W ramionach cmentarnego dębu barcie miodu pełne...*

zeniu mściwe i złe. Lecz naprzekór temu ponuremu obrazowi śmierci nad prądem rzek odbywa się istna orgja zielonych zjaw.

Sokory, graby, wierzby i różny krzew drobniejszy dopadają brzegów, rozrastają się szybko i bujnie, tworzą wąskie przejścia, zwodniczą, zawiłą sieć rozstajnych labiryntów, wypełnionych mrokiem, przerzucają się poprzez prąd, tworząc fantastyczne arkady, bramy i mosty wiszące, ze szmaragdów, malachitu, chryzoprazów, wznoszone ręką nieznanego budowniczego, opętanego milczącym szalem potęg ziemi, płomieniem twórczym i władną żądzą piękna.

Wśród zielonych szpalerów, pod zwisającymi gałęziami zrzadka burzy się wstęgą rzeki, pluska falą i wiruje, spotkawszy przeszkodę niewidzialną. To — kłoda skamieniała, odwieczna, przegrodziła koryto, wsparta na kilku konarach, głęboko w mule ugrzęzłych. Na dziwacznych, pokracznych cielskach starodawnych „wywrotów“ usadowiły się już grązele i kępki sitowia, a wśród nich, gdzie rzeka złożyła namuł i odłamki, „żabry“ czorotów i „pyreju“, kulik udeptał sobie gniazdo i piszczy, stęskniony do miłości.

Białe, blade listki wiosenne na dębach, wiązach, klonach i krużynach ciemnieją; już nie odcinają się na czarnych łapach świer



kowych młode, jasnozielone świeczki żywiczne; już zapadły do gąszczu oczeretów i sitowia dzikie kaczkę; na hałach, w pobliżu jeziorzki kałuż zagnieździły się czajki jęklawe i chybotliwe w locie; wszelki zwierz i ptak, zaznawszy porywów miłosnych, poczuł ukonowanie i troskę o potomstwo; już rzeki powróciły do dawnego łożyska, a ponad wszystkim, na skrzydłach, rozpartych szeroko i drapieźnie, zawisły pod jasnym niebem orły, sokoły i jastrzębie

W cichych „zawodziach“ rzecznych, przy łachach piaszczystych i porośniętych zielenią „płosach“ wyskakują z toni ryby, wyrzucając bryzgi, kreśląc rozbiegające się koła na wodzie, błyskają srebrną łuską i łukiem jasnym wpadają w chłodną toń.

Przez rzekę ku przeciwnym łąkom płynie stado krów, a konie, stojąc po szyję w wodzie, parskają radośnie. Pluska wiosło rybaka.

Dobiegają z wioski głośne rozmowy oraczy, gotowych już wyruszyć w pole; klócą się z siewcą baby, wydając mu len i rajcując po swojemu swarliwie i bezładnie. Niosą się dziecięce pokrzyki.



*...woda i pólko, sieć i młyn rybę i chleb dają*

Bartnicy, milczący i tajemniczy, pełni guseł i pogańskich obrządków, usiłują odgadnąć — gdzie i jakie „pczoły zawieść paszniu“, w jakim borze „bohato“ roić się będą i kiedy je najlepiej do nowych barci wabić; ostrzą piesznie i sprawdzają stare „leziwa“, czy aby zdzierzą „czołowika“, kiedy po gładkim pionie sosny ku pszczołom po owoc ich pracy wdrapywać się zaczną.



A gdy o świcie dnia tylko najsędziwszym starcom znanego — drewniana, straszliwie długa „truba“ (trąba) pastucha wiejskiego, siwego, kołtuniastego i dziobatego dziada, rozbrzmi rozgłośnie po raz pierwszy, bo nastał czas wypasać bydło po hałach, gdy bocian, stojący w gnieździe, zarzuci głowę na grzbiet z klekotem i sykiem radosnego upojenia, — wszyscy wiedzą już, że „wiesna krasna“, co radość życia na ziemię sprowadziła — minęła.

Przyszło lato, czas Jariły — słońca.

Szepcą przeto stare Poleszuki prasłowiańskie zaklęcie:

— Jariło, zrij na trawu, na żyto, na proso, na babij lon!

Tak z nawyku modlą się do bożka pogańskiego polescy „orataje“ — rolnicy i kosiarze.

Inni — rybacy, łowcy, bartnicy, pasterze i baby, o len stroskane nieustannie, mają własne tajemne modły, zaklęcia i wieszczby, a jakie — tego nikt nie zbadał, nikt nie podsłuchał i nie podpatrzył.

Znają je staruchy stuletnie, zgrzybiałe, mądre mądrością ziemi bagiennej i uczą tej sztuki tajemnej młoduchy i dziewczyny, aby nie umarły, nie zniknęły sędziwe zabobony i gusła, bo, jak święcie w to wierzą, wraz z nimi zapadnie się nazawsze kraj Swaróżyca.



*Na nowy chleb*





*Lato poleskie i...*

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### LATO POLESKIE



**K**tóż mógłby nazwać je pięknem? Niepewne jest i zmienne lato poleskie, deszczami nasiąkłe, mgłami o świcie i po zorzy wieczornej spowite. Nad krajem tym rozpościera się szara, pochmurna płachta bodaj przez połowę dni w roku; w okresie letnim słońce nie często przegląda się w wodach rzek i jezior, a lazurowa, złotemi nićmi przetkana kopuła nieba jeszcze rzadziej cieszy wzrok wszystkiego, co

*...jego plon*



żyje. Lato tu — dżdżyste, szczególnie w lipcu. Na Polesiu ulewy są chyba wyłącznie ojczystego pochodzenia, bo woda, parująca z błot, rzek i dwustu jezior polskiego Polesia, a trzech tysięcy — na całym obszarze tego bagienno-leśnego kraju, — stanowi źródło obfitych opadów, wciąż na nowo zasilających te wody.

Było tam więcej niegdyś tych prajeziór. Pozostało po nich rozległe jeziorzysko, ciągnące się od Pińska aż do Łunińca, gdzie teraz rozparły się tylko moczary z jeziorkiem pod Horodyszczem. Koło



*W ogromie skwarne go powietrza chłód dębowych olbrzymów*

Kobrynia też znikło już pod torfami prajezioro, a na jego miejscu zaległy błota Dubowoje, obfitujące w małe, bezimienne „kaluhy“ z każdym rokiem zarastające, coraz bardziej zanikające.

Największe z jezior Polesia — „Kniaże“, albo „Kniaź“, o prawie 50-kilometrowej powierzchni, zostało odcięte od Polski, lecz i na naszych obszarach mamy duże baseny wodne — Świtez poleską, Wygonowskie, Pulmo, Nobel, Czarne, Sporowskie, Tur, Bobrowickie, posiadające zwierciadła od trzydziestu do dziesięciu kilometrów kwadratowych zwierciadła czyste, niezarośnięte.

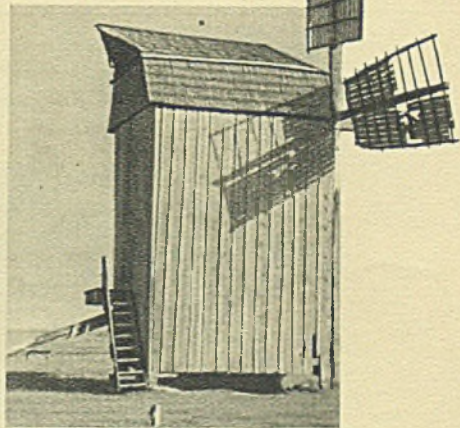


Parująca woda z nawierzchni tego kraju wzmaga obfitość deszczów i powoduje zachmurzenie i mglistość.

Polesie — to nasza dżungla, parna, wilgotna, nieruchoma, bo nawet północno-zachodnie wiatry, dmące w lecie, nie rozpraszają chmur i mgieł. W umiarkowanie ciepłym i wilgotnym powietrzu wybuja niezmiernie wszelaka roślina a nawet czoroty chybkie dosięgają tu grubości młodych bambusów, nawet drzewa, na moczarach rosnące, mają nieraz potężne piony. Rozlana tu niedawno powódź wodna zmienia się szybko w powódź zieloną. Rozrastają się trawy, zdobne w barwne plamy kwiatów; gęste krzaki i wysokie trzciny rosną dostrzegalnie niemal; potężnieją szybko drzewa w borach, w puszczech i olosach, gdzie chyba z siekierą tylko przebiję się człowiek przez zarośliska, haszcze i sieć gęstego podszycia leśnego.

Obrzeżone ramą zieloną leniwie płyną rzeki i śpią jeziora, nikomu nieznane płosa i smugi czarnej, zamulonej wody, stojącej po moczarach. — Napozór tylko zda się to być bezduszną pustką.

Po łąkach żerują gromady bocianów, a w miejscach, dalekich od oka ludzkiego, czujne, szare czaple wyglądają zdobyczy.



*Cisza słonecznego żaru*



*Kontrasty bieli obłoków i czerni olszyńców*



Nad trzcinami latają kaczory — rzadko, po dwa, po trzy. Przyłatują tu z jezior, zaczajonych wśród olszyńców, aby sprawdzić, czy wzrasta młódź po szuwarach i czy prędko sama sobie radzić zacznie.



*„Rozrastają się trawy, zdobne w barwne plamy kwiatów“*

Nad zielonym kobiercem błot i nad puszciami panują jastrzębie i pokrewne im bractwo drapieżne, chciwe zdobyczy, a łupu nigdy niesyte — wysoko zawisłe w swych podniebnych lotach.

Pod brzegami rzek i korytami małych ich odnóg suną „duszehubki“, „czubarki“ i „podjazdki“. Stojący w nich Poleszycy drągiem odpychają swe czółna, idące równo bez odchyleń, niczem gondola wenecka, a szybko i bez hałasu. Czasem tylko zaszeleści i rozchwije się potrącony pęd trzciny lub pluśnie spłoszona ryba.

Co robią w tych odludnych, małodostępnych ustroniach ci milczący, szarzy, powolni jakgdyby ciągle skradający się ludzie?





*W przesycone oparami polany leśne wlewa się słoneczna moc*





*Różnokształtne zdradne siecie zawsze gotowe..*

Sprawdzają, jak rośnie trawa na przyszłych sianokosach; szukają nowych miejsc, aby przyplnąć tu z kosami i wydrzeć bagnom siano; podglądają grę ryb koło zburzonych już jazów i w głęboko wcinających się w ląd „zawodziach“ cichych; wypatrują nowe dostępy do tokowisk cietrzewi i głuszców; odnajdują sady i legi kaczek, tropy wilków i dzików, grążami zbiegające ku wodzie; zdzierają tytoń z lip i wiązów, rąbią pręty młodych dębczaków, wierzb i łóz, skręcają z kory ligawki, plotą łapcie, króbkki i „wiersze“ — pułapki na ryby, drążą fujarki pasterskie... tysiące rzeczy dostarczają im te błota i wody, — tysiące ich spostrzeże i zużytkuje Polczuk, — człowiek leśny, duch błotny, uparty, samotny łowiec pierwotny. Na próchnicach, glinkach i piachach grzęd i wysokich ostro-



*...zapaść w toń, niosąc zagubę*



wów gospodarzą rolnicy i ich baby. Żyto, owies, jęczmień i proso dojrzewają na łąkach, w szachownicę pociętych poletkach; małe ogrody warzywne i zagoniki lnu, zorane tuż przy chatkach, — to już wszystko, co uprawia tu rolnik, bo bagna i mszarniki, bory i olsy odstąpiły im zaledwie skrawki gleby nieugorzonej. Resztę zagarnęły wszechwładna woda, topiel bezdenna i trawy.

Nie frasuje się tem zbyt mało wymagający człowiek bagienny.

Umie on powiększyć zapasy chleba, dodając do mąki „lebiody“ — zielska, znanego mu od pradawnych czasów; rzadziej — dorzuca otręby, a gdy wypadnie głodowy rok, — to i białej gliny domiesza — tej samej, którą zdoła i odnawia chałupę, a w latach nieurodzajnych



*Kładki ze zwalonych drzew prowadzą przez topiele*

wypełnia nią żołądek, uśmierzając tem męki głodowe. Zresztą podtrzymują go ziemniaki, jagody leśne, orzechy, grzyby, co rosną wszędzie całymi płachtami, a najczęściej ryby suszone, solone i wędzone.

Poleszuckie baby znają swój kraj i biorą zeń wszystko, co zdatne jest do zjedzenia: krupy z „majny“, rosnącej po łąkach, korzenie wodnych lilij, młode pędy tataraków, szczaw i cebulę polną; zbijają dzikie gruszki i robią z nich ulęgałki; mrożą czerwoną kalinę, sporządzają z owsa — żur i „tołokno“, a z gryki — lemieszkę i setki innych pożywnych rzeczy. Wszyscy jednakże myślą i troskają się najczęściej o bydło i ryby. Na wszystkich ustach — „łuchy“ — pastwiska, sianokosy, lub „rieka“ — naturalny spichrz na ryby.

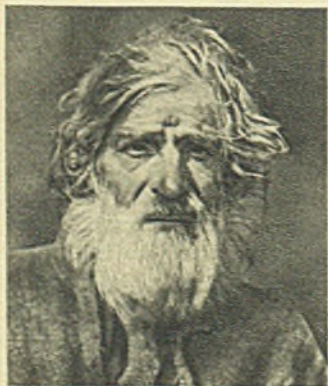




*Strzechą kryte chaty stawiane na zrąb wywodzą się.....*

Aby tylko „świętyj Martyn“ nie poskąpił ich, a już rybacy wyłapią wszystkie, co do ostatniego, najmarniejszego wijuna, do najdrobniejszej „uklei“ i ościstego, jak szczoteczka do zębów, jersza.

Bartnicy i pasiecznicy chodzą koło barci na drzewach i koło ulów, spokojni o dobytek pszczeli, bo ziemia rodzi bez liku „kraski“ — kwiaty słodkie i wonne, a pszczoły podbierają z nich miód.



*Na starość Poleszuk szarzeje, jak jego ziemia —*

Od dni ornych aż do sianokosów i żniw, a nawet aż do zwiezienia urodzaju do „humien“ — stodół poleskich, kładzionych w zrąb z sosnowych okrągłaków, opartych na dębowych słupach, — nikt zazwyczaj w tym leśnobiennym kraju nie zwykł umierać.

Każdy ma pracy wbród, więc musi ją wykonać; zresztą nikt nie miałby czasu na obrządki pogrzebowe — długie i kosztowne, więc najsędziwsi nawet, do ziemi przybici brzemieniem lat dziady i staruchy, wzdychając i stęskając, robią swoje i — żyją, czekają.



„Pohosty“ — cmentarze zarastają przez ten czas chwastami i wysoką trawą; nikt ich nie odwiedza w „stradnym“ okresie, nikt nie przynosi ofiarnych ręczników i nie zawiesza na wysokich, prawie czarnych, szybko butwiejących krzyżach bezimiennych. Pochylone w różne strony sterczą one, niby jakieś dziwnie smętne drzewa — majaki, wieńcząc beznadziejnie nagim gajem faliste wydmy, gdzie jedyną ozdobę stanowi jakaś samotna sosna, — krzywa, garbata, zawsze pokraczna, a nieraz dziuplasta i barcią obciążona. W tymże czasie niezwykle wybujałe trawy, trzciny i zarośle walczą z wodą stojącą i płynącą leniwie. Grzybienie, czermień, grązele, sita, lobelje i powoje zarzucają na zwierciadła i strugi wody płachty zielone, usiłując połączyć brzegi, zatamować bieg powolnej strugi, wchłonąć w siebie jej leniwe fale, unieruchomić i pogrzebać pod swoim kobiercem szmaragdowym. Drzewa po borach i czarnolesiu rozrastają się szybko i potężnie, a ich pobratymcy — dęby, sosny i brzozy, co uczepiły się korzeniami torfowej gleby na moczarach, rosną również szybko, nieświadome, iż dążą do samobójstwa. Przebiwszy bowiem powłokę prze-



— dziecko na Polesiu ma spojrzenie swego nieba



.....z prymitywnej, na palach niegdyś budowanej „kleci“



gnilych, obfitych w nawóz roślinny gleb, korzenie ich docierają do kwaśnych, jadowitych torfów, do cuchnącej — „zgniłej” wody, niosącej śmiertelną truciznę. Koszlawe, nędzne, słabe, okrywają się te drzewa siwemi liszajami, tracą liście i igliwie, tkwiąc na bagniskach, smutne, porzucone, jak te częste krzyże na pohostach.

W lecie człowiek korzysta z czasu, gdy podsychają nieco najgłębsze nawet „nietry”. Wdziera się on na trzęsawiska pustynne, robiąc kładki ze zwalonych drzew, które tkwią nad topielą, oparłszy się o swe konary, niby jakieś nieznanne, dawno już wymarłe gady. W innym miejscu kładą bierwiona pojedyncze lub podwójne, przeciągają taką „kładkę” na kilometry całe i zdobywają bagniska; w matecznikach niedostępnych budują drogi — „nakaty” z olszynowych krąglaków a przez te groble, nieraz pływające, niby tratwy na Prypeci, — podróżują po grzęzawiskach Poleszuk i Żyd kupczący od chutoru do chutoru, aż wybrną wreszcie na błotnistą drogę lub wjadą na koleisty, wąski, pełen piachów trakt wśród borów i, zacinając koniki, popędzą do miasteczka, a nawet do przesławnej stolicy tego kraju — do Pińska, centrum poleskiego życia.

Jednocześnie w bocznych odnogach rzecznych wre praca tajna. Poleszucy chwytają tam ryby sposobami zakazanymi, rabując



*W borach poleskich panował niegdyś wszędziełoś...*

(wg. dawnego szychu)



bogactwo wód poleskich; tam kłusownicy tępią dzikie ptactwo i zwierzęta, nie opuszczające jeszcze swych gniazd i lęgów, w kniei — wyrąbują las lub kaleczą go, zdzierając korę z drzew, drąc łyko i ścinając młodą porośl. Pod siekierami Poleszuków padły już wszystkie niemal lipy, wiekowe sosny i dęby, a człowiek miejscowy w wytężeniu walki o byt szerzy bezmyślnie dalej dzieło zniszczenia wśród wiązów, jesionów, sokorów i klonów.

Od czasu do czasu, najczęściej za poradą Polaków, właściciele majątków ziemskich lub z rozkazu władz, a daleko rzadziej — z własnej woli i zrozumienia — Polezczycy zaczęli walczyć z zachłannością bagien, ciąli je rowami, rozplątywali szerokim kanałem, aby wyrwać trzęsawiskom nowe polećie kośbne, nowe szmaty orne, wreszcie — aby lepiej się połączyć drogami wodnymi z niedostępną resztą kraju.

Były to jednak wysiłki oderwane, rzadko się zdarzające, toteż z biegiem czasu, a nieraz bardzo prędko nawet, ślady ich znikwały, zanoszone mułem powodzi, wypełniane zwałami gnijących trzciny i traw błotnych, zarastające oczeretami i haszczami wiklin. Trudnem zadaniem byłoby odnaleźć resztki dawnych poleskich rowów odwadniających! Znacznie łatwiej uczynić to wtedy, gdy będziemy szukali planowej pracy potężnych obszarników, kneziów litewskich, polskich osadników z okresu ostatnich Jagiellonów, potem — królów innych dynastji, „oszaców“ Batorowych i wreszcie — porozbiorowych obywateli ziemskich, kraju tego z rąk nie wypuszczających mimo sprzeciwu wschodnich zaborców.

Oddawna bowiem, bodaj że od czasów potomków Olgerda, Gedymina, Narymonta i przedsiębiorczych Olelkowiczów pińskich, władze litewskie, a po nich — też polskie zrozumiały i oceniły go-



*...pastuch zawsze panem błon*



spodarcze i polityczne znaczenie osuszonego, produkującego i bardziej dostatniego Polesia. Litewskie władcy troskali się o uszlupnienie Hrywdy, Muchawca, Styru, Uborci, a tam i sam wytknęli przyszlým pokoleniom szlaki kanałów osuszających. Zabiegliwa, gospodarna królowa Bona pchnęła tu falę polskich osadników i z ich pomocą, lub też posiłkując się rękami jeńców kozackich, kazała wykopać kilka głębokich i szerokich rowów, a z nich — „Kozaczy“, nazwany obecnie kanałem imienia królowej, nie tylko się przechował do naszych czasów, lecz oczyszczony i pogłębiony spełnia swe pierwotne doniosłe zadanie.

Za najpoważniejsze jednak dzieło uznać należy powstałe w połowie XVIII-go wieku największe kanały poleskie: jeden — z fundacji Ogińskiego, hetmana litewskiego, zbudowany przez Butrymowicza, podstarościgo pińskiego i posła na Sejm Czteroletni; drugi — Królewski, rozpoczęty na schyłku istnienia dawnej Polski i zakończony już przez rząd rosyjski, oba — łączące morze Bałtyckie z Czarnem przez Niemen, Bug i Wisłę. Istnieją też kanały, mające na celu wyłącznie odwodnienie terenu; Wyżewski, Białozjeziński, Turski, Orzechowski, Kobryński i inne, w czasach porozbiorowych powstałe, a z dawniej już przekopaniami mające około 5000 kilometrów ogólnej długości na obszarze Polesia geograficznego. W granicach naszego Polesia ustalono około 2000 kilometrów sieci odwodnienia. Tu kanały te i rowy pozostały przeważnie już zarośnięte; z ogromnym nakładem pracy, wiedzy i środków pieniężnych rząd polski doprowadził do stanu czynnego kanały Żylińskiego, Kobryński, Orzechowski i inne.

Nic dziwnego, gdyż na błota poleskie, na zawiłą sieć dorzecza Prypeci od dawien dawna albo nie zwracano żadnej prawie uwagi, lub patrzono na nie jak na polać, mającą bierne wyłącznie znaczenie i oceniane przedewszystkiem jednostronnie. Dopiero z przyłączeniem tego kraju do obszaru Rzeczypospolitej zrodziły się nowe ideje i nowe poglądy. One to podzieliły zdania i wytworzyły zwolenników i przeciwników meljoracji Polesia. Opracowany



*Z prętów łoży  
będą koszyki...*



*...z jej wczesnego  
łyka „postoły“*





*„Nakata“ z olszynowych krągłaków jest tu droga*



już szeroki plan przywrócenia roli czynnej dawnym kanałom i ich konserwacji wykonywane ciągle i stale, a dla dalszego osuszenia i odwodnienia Polesia stworzono program olbrzymi, wymagający wytężonej pracy i kapitałów. Plan zupełnego osuszenia Polesia posiada gorących zwolenników i również gorących przeciwników. Pierwsi widzą w bliskiej przyszłości poważne korzyści handlowe, rolnicze i kolonizacyjne, a drugich trwoży pojawienie się lotnych piasków i uformowanie małożyźnej gleby; ale najważniejsze sprzeciwy osuszenia polegały na dążeniu do zachowania rozległych, małodostępnych połaci dla celów obrony państwa:

bo może ono małymi stosunkowo oddziałami stawić tu najskuteczniejszy opór nieprzyjacielowi, strategicznie rozbijając jego front na dwa odcinki, gdzie wróg nie będzie w stanie rozwinąć działalności wszystkich swych sił zbrojnych jednocześnie.

Na przyszłość temu staną błota uniemożliwiające transport artylerji, i szybki ruch taborów, a nawet przetrzymanie piechoty. Na dowód tego

...gdzie na wodach zabawy dziecka...

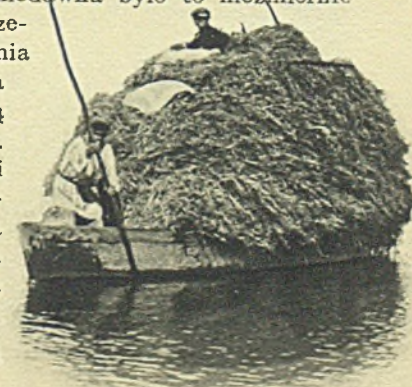


„Paludes Polesiae“ — „Bagna Poleskie“  
(Według ryciny)

to odwieczne miano tej krainy...  
z wieku XVI)

wanie wielkimi masami wojska. Doniedawna było to niezmiernie ważnym argumentem, skierowanym przeciwko wszelkim projektom odwodnienia tej części naszych ziem kresowych. Na to mieli jednak niemniej uzasadnioną odpowiedź obrońcy projektu osuszenia. Twierdzili oni, że Polesie dla ekspansji cywilizacyjnej stanowiło zawsze niezwalczoną przeszkodę. Poza to wojna współczesna coraz bardziej wymaga współdziałania ludności przyfrontowej z wojskiem, terytorjalnych zasobów żyw-

...i praca mężów się odbywa



przytaczano zdarzenia z historii, że król szwedzki Karol XII zaplątał się w siatkę rzek poleskich, że Prypeć zamknęła i zahamowała spieszny odwrót szarpanej przez kozaków armji Napoleona z pod Moskwy, że oddziały powstańców polskich w r. 1831 nie potrafiły stawić oporu rosyjskim generałom, którzy przetrzeźwieńczo odcięli je od terenu bagiennego Polesia. W ostatniej wojnie światowej bitwy nad Prypecią, Stochodem i Styrem zmusiły Niemców do wojny bierniej, pozycyjnej — bez nadziei na sforsowanie tej najpotężniejszej, bo naturalnej twierdzy, gdzie wykluczone jest opero-



ności dla ludzi i koni, rozwiniętego przemysłu fabrycznego, a tymczasem Polesie, mające bardzo małą gęstość ludności, 2 do 15 na km. kwadratowy, i nieznaczną obecnie ilość bydła i koni, odczuwające przy końcu zimy i na wiosnę głód zbożowy i inne braki zasadnicze, ponadto oddalone od ośrodków produkcji, może w znacznym stopniu zmienić na zatrudnienia szcasiem dwu milionów ludzi. Na wypadek wojny mogłaby ta ludność dać około 300 000 obrońców kraju, gdyż rząd nasz



*Hetman Ogiński  
twórca kanału*

niekorzyść cały nasz plan strategiczny i zażądać szczególnie ciężkich ofiar od kulturalnych części państwa. Natomiast nasz lud — zamiast marnować się i wynaradawiać poza ojczyznę, znajdzie tu gleby zdatne do uprawy zboża, bogactwa naturalne dla warsztatów przemysłowych, możliwości wytwórcze i handlowe, dostateczne dla



*Kanał Królewski powstał za króla Stanisława Augusta*



organizuje tu osadnictwo rdzennie polskie, które nadaje duszy kraju charakter wyłącznie państwowo-polski, a nie mieszany — białorusko-ukraińsko-żydowski, co w dobie wojny niemal całkowicie wykluczałoby możliwość współpracy ludności miejscowej z wojskiem i rządem. Granice wkrótce już będą obsadzone ludem polskim i bronione cywilizacyjnie i zbrojnie jego rękami, mózgiem i sercem.

Istotnie — Polesie w wiekach średnich i aż do rozbiorów Polski prawie odegrało ujemną rolę, stanąwszy na drodze naszego osadnictwa, bo rozbijało je na dwa potoki — dążące — jeden — na Litwę i Białą Ruś drugi do Ukrainy. Potoki te zbyt daleko odbiegły od macierzy polskiej, stawały się coraz niklejsze, słabsze i tak porwane na strzępy, że stopniowo pochłonęły je kraje, daleko niżej kulturalnie stojące. Tak słabe osadnictwo było przyczyną, że rosyjskaawangarda prawosławiadotarła aż do Brześcia nad Bugiem,



*I królowa Bona budowała kanały  
(wg. starego szttychu)*

Jeśli by kolonizowania na kresach odbywało się zwartym frontem, ogarniającym również i Polesie, przystosowane do kulturalnej pracy i życia, Polska nie utraciłaby łatwo i szybko swych ważnych placówek na wschodzie. Ten spór — zasadniczy, a dla kraju naszego niezmiernie żywotny, ukończył się wreszcie porozumieniem

co do wspólnego programu robót na Polesiu. Dla zbadania tego zagadnienia wielkiej polityki i opracowania jej olbrzymiego planu zostały już przeprowadzone w kilku najważniejszych rejonach studia topohydrograficzne, meteorologiczne, geologiczne, gleboznawcze, florystyczne i etnograficzno-statystyczne. Praca ta nie ustaje.

Dla prac tego rodzaju jedyną bodaj, najdogodniejszą i najbardziej przekonywującą porą roku jest lato, gdy na „pustaciach“, „nie-trach“ i w „olosach“ poleskich bije żywszem już tętnem życie tej ziemi, gdzie pod opieką i wpływem Polski odchodzą w mrok prze-



szości odwieczne skargi na ciężkie, żebracze, przekłete bytowanie, a z nimi razem — bóstwa pogańskie, te złe duchy ciemnoty, nieufności, zemsty i nędzy — ponurej, jak zawodzenie wiatru na rozległych hałach, jak jęklive wycie wilka w haszczach rokit i trzcin.

Na ogromnej połaci bagien i resztek puszczy przetrwał na tym skrawku prasłowiańskiej ziemi odrębny typ człowieka — Poleszuk. Jest on wzrostu średniego, niekrzepkiej postawy, o włosach płowych lub jasnych, o oczach siwo-błękitnych lub zielonkawych, jak pióra ptasząt nikłych — „chwośczyków“ moczarowych.

Dwa miliony Poleszuków zamieszkuje te lesisto-bagienne połacie.

Mieszkają tu ci ludzie od niepamiętnych czasów, ucieczką i czajeniem się w uroczyszczach niedostępnych broniąc swej odrębności i pogańskiej jaźni przed najściem różnych ludów i przed ich niepokojącymi wpływami. Nie uchroniło ich to od nowych kolonizatorów: Białorusinów wschodnich, Ukraińców, Polaków i Rosjan.

Ta mieszanina różnych krwi z biegiem wieków wytworzyła z potomków Drevlan typ współczesnego Poleszuka, a grzańskie ołsy i zdradliwe trzęsawiska wycisnęły na nim swe odrębne piętno.



*Zagroda poleska niby dawny gród*





*Uroczysko z głuszczeniemi tokami*

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### POLESZUK W SWOIM ŻYWIOLE



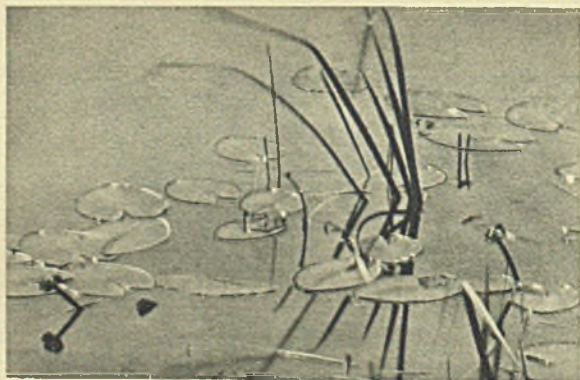
*Połów ryb t.zw. łata*

**N**a przestrzeni wieków wszyscy żądali czegoś od Poleszków, wciągali ich w wir obcych im, niezrozumiałych, nie raz zgoła niebezpiecznych wypadków, za które oni potem długo i drogo płacili. To sprawiło, iż Poleszuk stał się nieufny i uparcie bierny, a, gdy to nie pomaga, — mściwy i zawzięty. Podciąć pęcinę koniowi spętanemu na pastwisku, pokaleczyć ukradkiem woły sąsiada, podpalić chatę lub puścić z dymem



pełny śpichrz wroga, spuścić obszarnikowi staw z rybami, a nawet z zasadzki napaść na gajowego, lub, jak doniedawna jeszcze — grasować po drogach i czynić napady, — umie i to milczący zazwyczaj, podejrzliwy Poleszuk, przepojony odwieczną niechęcią do przybyszów, lecz umiejący nie zdradzić się przed nimi ze swych uczuć.

Waży się on na te zbrodnicze rzeczy, bo przyświeca mu nigdy niegasnąca nadzieja, że rodzinne olosy, knieja i nietry, które zna wzdłuż i wszerz, dadzą mu schronienie przed wymiarem obcej sprawiedliwości. Przecież w pamięci tkwi mu dokładnie, że zdawien dawna błota Hryczyńskie, Rokitno, Pohonia, Szackie, Zarzecza, Petrykowskie, Moroczno i Dubowe kryły w swych matecznikach i nieprzejrzanych haszczach „wolnych ludzi“, poza prawem pozostających i z prawa drwiących zuchwale; słyszał o istniejących na Polesiu osiedlach, które przypadkowo tylko w r. 1895 wykryły władze rosyjskie. Mieszkańcy ich nie przyznawali się do żadnej narodowości, a nawet wiary, z uporem powtarzając, że są... Poleszuckami. Gdy zaś przysłano tam policję, — całe to kołtuniaste, ciemne i przerażone bractwo rozpierzchło się po bagnach, ukryło tak, jak się czai rys i wilk, i tylko od czasu do czasu pokazywało kły, napadając na samotnych „uradników“, pocztę i bogatszych

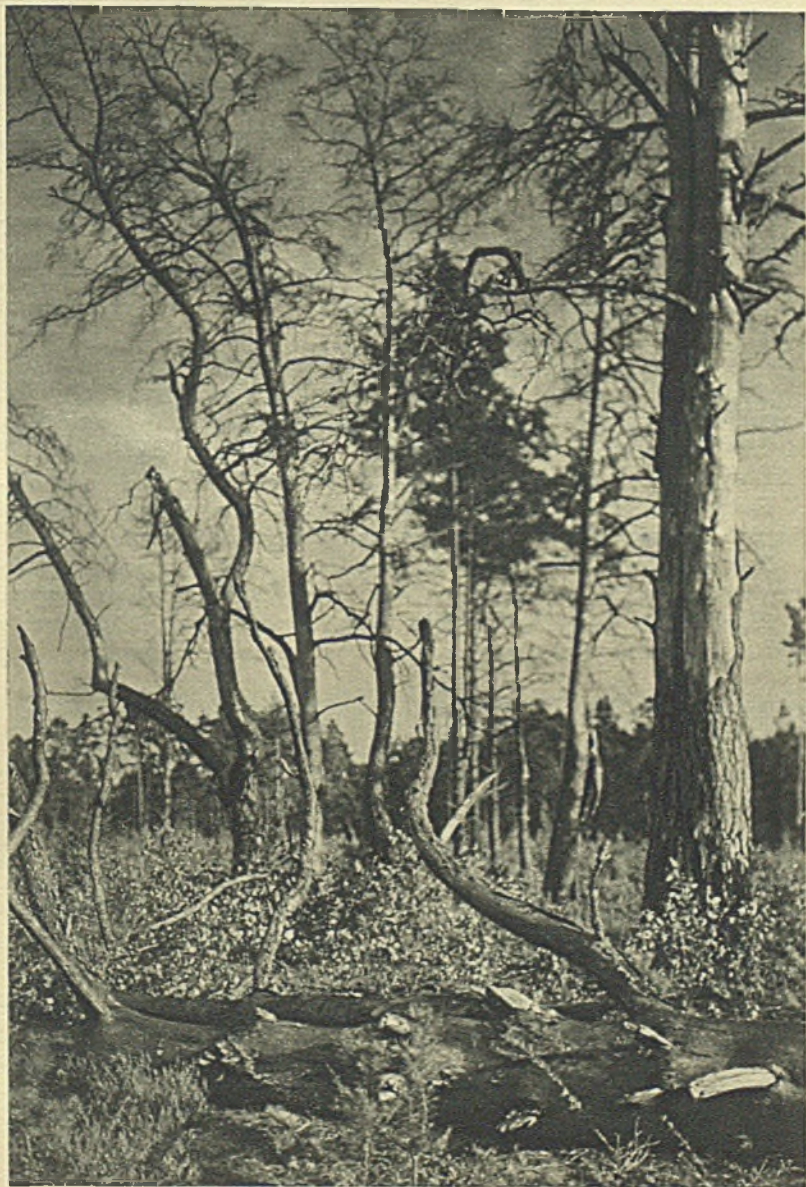


*Grążele kwicęją się na wodach*

chłopów, patrzących koso na taki stan, bo sprawiał im nieznośne kłopoty i ciągłe najazdy „czynowników“ sądowych. Wszystko to za panowania Rosjan nauczyło Poleszucków nieufności i chęci mszczenia się — chociaż może żaden inny lud nie ceni tak wysoko,

jak oni, sprawiedliwych rządów i ludzkiego ich traktowania, o czym marzą od czasów Wargów. Poleszuk urodził się w obliczu lasu i bagien, więc pozostaje przedewszystkiem człowiekiem leśnym i bagiennym, mówiąc o swej dziwnej ojczyźnie: Ziemia nasza hriaznaja!





*„Ziemia nasza hviaznaja!“*



Żywiółem Poleszuka są błota, woda i lasy. Żywiół ten wyczuwa on od zarania życia i przez całe życie całą swoją istotą.

Drobniakz dziecięcy przebywa ciągle nad brzegami rzeki; skrawkami starej sieci, płachtą lub podołkiem brudnej, łatanej koszuli łapie on ryby, całymi dniami grasuje z wędką i chwytą wijuny, ukleje i małe okonie, a z „chodów“ sprawnie i szybko wydobywa raki.

Na wiosnę chłopaki kluczą po moczarach, szukając gniazd, wybierając jajka kaczek i czajek, w czerwcu zaś — ich pisklęta, za ledwie fruwać umiejące. — Szkód nie równoważą małe korzyści.

Nie ukryje się przed małymi drapieżkami żadne gniazdo, ani dziupla, gdzie zagniczdziły się „polatucha“, wiewiórka i pszczoły, ani też choćby najlepiej osłonięty w haszczach lęg zajęczy.

Oni pierwsi napadają na dojrzałe jagody, dzikie gruszki i jabłka, wynajdują „grzybowe“ miejsca, odzierają z kory pnie wiązów i lip, a na wiosnę ciężko kaleczą brzozy, puszczając z nich „oskołę“ słodką i smakowitą — i niszczą bezmyślnie młode zarośla dębowe.

Stanowią oni awangardę drapieżnej hordy, żerującej w kraju bagien i puszczy, walczą z niemi zacięcie i bezustannie.

Za nimi idą już dorośli, — jeszcze bardziej nieprzezorni, a przemyślni i przedsiębiorczy w procederze niszczyielskim i rabunkowym.

Zaczyna się od „hatów“, któremi jak płotem przegradzają rzeki na wiosnę, gdy ryba dąży ku ich źródłom na złożenie ikry.



*Przystań przyrzeczna*



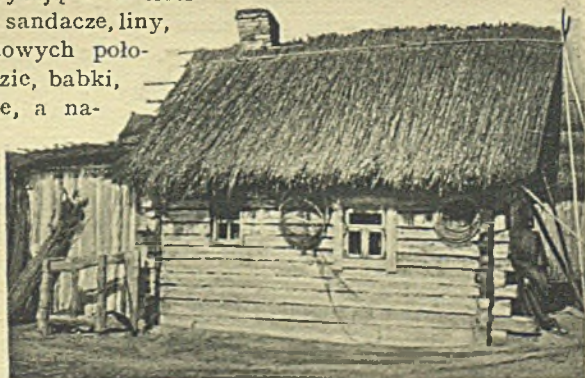


*Drogi wodne*

W „hacie“ albo jazie pozostawiają rybacy jeden tylko otwór. Ryby szybko odnajdują wolne przejście i tłoczą się przy niem, wysoko wyskakując z wody i walcząc w tłoku o swobodę miejsca.

Nie wiedzą srebrnoluskie mieszkanki wód poleskich, że za „oknem“ jazu czekają na nie pułapki — kosz z prętów łożowych lub więcierz z krótką a mocną matnią. Ani jedna nie prześlizgnie się tam i nie uniknie zagłady. Przy połowach „hatami“ wszelkiego rodzaju ryby stają się zdobyczą człowieka. Na spokojnych wodach Poleszucy używają jednoskrzydłowych więcierzy, na bystrych „dwukrylców“.

Letnią porą chwytają w te sieci szczupaki, miętusy, sandacze, liny, karasie, przy zimowych połowach — okonie, jazie, babki, ostromusy i leszcze, a nawet wspaniałych wędrowców z morza — jesiotry. W sieci rybaków poleskich dostają się też inne, obce gatunki ryb, z dalekich basenów, lecz rzadko.



*Chatka i sprzęt rybaka*





*Wężerze z gęstą matnią zamkną przejścia „hat”...*

Łapiają oni ryby innymi też sieciami — zwykłymi niewodami, „wierszami“, „komlą“, „kryhem“, „odnorohem“ i „wołokiem“, ale któż potrafi ustalić nieskończone sposoby, jakich od szeregu wieków ima się rybak poleski, mający coraz to nowe pomysły.

Na każdą rybę i na każdą rzeczkę lub jezioro ma on osobny przyrząd łowiecki i szerzy straszliwe spustoszenie — nieprzezorny i niedbały o przyszłość, przekonany, że „rieczyszczą — obyć ryby w nich żyły“ — poto przecież są rzeki, by dawały rybę!

Ściga je i porywa na wędy z dziesiątkami haków, tępiąc niemi szczególnie szczupaki, conajwiększe, i sumy niezwykłych nieraz rozmiarów — wąsate olbrzymy, śmiało napadające nawet na gęsi.

A są tam wśród nich prawdziwe potwory rzeczne!

Nieraz zdarzały się na Prypeci i Horyniu wypadki, że puszczający w ruch swe koła parowiec zabijał nieostrożnego suma o rozmiarach, przewyższających wzrost dorosłego człowieka. Podczas wojny r. 1920 padające do wody pociski armatnie i granaty ręczne ogłuszały nieraz podobne potwory, które wypływały na powierzchnię rzeki i stawały się zdobyczą żołnierzy i marynarzy naszej flotyli.





*...które gęstym płotem przegradzają rzeki*

Lepsze gatunki ryb sprzedaje Poleszuk krążącym w łódkach po Prypeci, Horyniu i Styrze kupcom, gorsze zaś pozostawia sobie, a baby suszą je, solą i wędzą na zapas, dodając do barszczu, pospolitej „okroszki“ na kwasie i „uchy“ — i do wielu innych potraw.

Najbardziej porywającą czynnością rybaka — niepozobawioną pewnej poezji — jest zawsze tak zwane „łuczenie“.

Ten praspósób rybacki przetrwał od zarania bytu ludzkości, a najważniejszy sprzęt, przy tym połowie używany, — trójżab dzierży w swej dłoni sam Neptun, antyczny bóg mórz i wód.

Po najciemniejszych nocach, gdy wśród stłoczonych zarośli nadbrzeżnych płynie bez szmeru wstęga rzeki, odbywa się „łuczenie“.

Poleszucy, szepcąc coś do siebie tajemniczo, strącają łódź na wodę.

Wsiada do niej trzech rybaków. Jeden pcha czółno bez plusku, ostrożnie wpierając długi drąg w muliste, miękkie dno; drugi trzyma wysoko nad głową płonące szczapy smolne, trzeci — zwany „bojce“ stoi na dziobie łodzi, wpatrzony w tajemniczą głębię nurtu. Głową i ręką wskazuje kierunek bez słowa, aż nagle da znak i — czółno, wsparte drągiem, zatrzymuje się na miejscu, jak wryte.



„Bojec“ podnosi wysoko osadzony na drążku trójzęb i, wybrawszy moment, szybkim rzutem ciska go w toń, naciska ramieniem i po chwili wyciąga nabitą na ostrze trzepocącą się rybę.

Połów ością na Polesiu, wymagający dużego doświadczenia i uwagi, ma nieraz przebieg o wysokiem napięciu dramatycznym.

Zdarza się to wtedy, gdy rybak dojrzy dużego szczupaka, śpiącego koło zatoniętej kłody, lub potężnego suma, ni to kloc zatopiony, ugrzęzły w mule. Zadanie wtedy niełatwe.

Ugodzona ryba rozpoczyna walkę, wrywa łowcowi ość z dłoni i mknie na głębinię, a wystający nad wodą koniec rękojeści kreśli na nieruchomem zwierciadle wody kierunek rozpaczliwej ucieczki. Łódź płynie śladem uchodzącej ryby, a gdy zdobywcz, zmęczona ruchem i bólem, zatrzyma się, „bojec“ chwyta drążek i znów go przyciska, wpierając weń ramię by ość głębiej wrazić w ofiarę.

Długo nieraz godziny trwa walka człowieka z mocarną rybą, która jednak wyczerpana przestaje wkońcu szamotać się i ciskać,

więc łowcy holują ją ku mieliźnie, gdzie uderzeniem obucha przecinają nić jej życia. Na dużych jeziorach „bojcy“ używają ości z uwiązanyim do niej sznurkiem, a wtedy trafiona „żelazem“ duża ryba wlecze za sobą czółno rybackie na największą toń lub wciąga je do szuwarów, gdzie długo się miota, usiłując wyrwać z ciała zasęzione ostrza.

Poleszycy łowią ryby o każdej porze roku, lecz zaczynają już liczyć się z przepisami o ochronie i myślą nieraz o tem, że dawnemi rabunkowemi połowami mogliby szcasiem w pustynię obrócić sieć rzeczną, przecinającą ich bagna. Dużo ryb łapie się zimą w niewody i węcierze, zastawione w przerębłach lub na tak zwanych „przyduchach“, gdy lód pozbawia je powietrza. Nieprzytomne gromadzą się



*Człowiek lasu i bagien*





*„Łuczenie“, łowienie ryb „na ość“ przy świetle łuczyna*

i tłoczą pod skorupą lodową, a, poczuwszy przerąbany otwór, cisną się do niego, nie widząc, że jest już zewsząd otoczony sieciami.

W drugiej połowie wiosny i aż do pierwszych mrozów po brzegach rzek tkwią „kurenie“ rybackie. W tych szałasach trzciniowych mieszkają łowcy; przybywają do nich wysłańcy przedsiębiorstw, skupujących plon połowu. W lecie przy kureniach znaleźć można dobrze urządzone w ziemi lodownie, osłonięte przed słońcem strzechami z grubych warstw oczeretu i wysuszonego torfu.

W puszczy niemniej drapieżnie grasuje człowiek leśny.

Od dzieciństwa aż do śmierci trwa włóczęga jego po haszczach. Myszkuje on w nich, wybierając jajka i pisklęta z gniazd i rąbiąc młode dęby nieraz poto tylko, aby po roku na ich gnijących pniach wyrósł biały grzyb — „kulinka“, — miękki i smaczny. Następnego lata twardnieje on, stając się hubką — „skrypielem“, dobrym na wykurzanie milionowych rojów komarów z chat i szałasów.

Błąkając się w kniei od zarania swego życia, Poleszuk poznał ją, wczuł się w nią i połączył duszę swoją z jej tajemnym bytowaniem, z jej mrokiem i ciężkimi oparami. Z niej to wchłonął on czarną chmurę przesądów i guseł, od niej — to posłyszał prastare echa dawnych kultów pogańskich i do życia ponownie je powołał.



W borze, w puszczy lub w „olosie“, przeciętym zbutwiałym „nakiem“, wszystko przemawia doń głosem siwej przeszłości, gdy nad krajem tym panowały wszechwładnie Swarog, Jariło i Mara.

Daleki, tajemniczy poryk, poderwany przez echo i mknący od sosny do sosny, od świerka do kudłatej wierzby, od olchy do jarzębiny, w „której pokutuje dusza dziewczki zagubionej“, — to pokrzyk biesa, co wychynął z dalekiego mszarnika; głośny plusk w zarośniętem sitowiem i łożą jeziorze — wydaje blado-sine ramię płynącej rusalki — wodzianicy; pokraczny pień, majaczący nad błotem, to — nie pień, tylko — wilkołak lub inne widmo niesamowite, bo leśny człowiek słyszy już wyraźnie jego szept złowróżbny i postrzega grożący błysk jarzących się złowieszczych ślepi.

Tyle strachów i dziwów w tej niesamowitej puszczy!

Nie powstrzymują one jednak Poleszuka. Smagany batem głodu i zrozumiałą żądzą zdobyczy, nieświadomy szerzonego zniszczenia, ślizga się krętymi ścieżkami w labiryncie knieci, zagląda do najgłębszych tajni leśnych, zapada się w topieliskach — i brnie coraz dalej, baczny na wszystko, ostrym wzrokiem przeszywając zbity gąszcz wiszarny, gdzie najniklejszy szczegół nie ujdzie jego uwagi i na zawsze zostanie w pamięci, jak szczelina w korze starego dębu.



*Po staremu, „kureń“, szalaz trzciniowy jest schronem rybaka...*





*...gdy współczesna motorówka służy wędkarowskiemu sportowi*

Toteż nic się nie ukryje przed Poleszukiem, kluczącym niby wilk po haszczach i rozległych hałach. Uzbrojony w siekierę i tęgi kij, przypominający najstarszą broń ludzką — maczugę, lub w oszczep, rzadziej — w widły i kurkową strzelbę o jednej, długiej lufie, drutem przymocowanej zgruba do brzozonej kolby, — sunie on beczmernie, skrada się, jak duch bezcielesny, jak cień przechodzącej nad jeziorem chmurki — i znika w zaroślach.

Ten to wszystko widzący, niedościgniony łowiec „podchodził” niegdyś wędrujące tu samotne żubry z Białowieży, a, gdy ziemia ta została bezpańską — w rok niespełna wytępił je co do nogi, z zasadzki śląc w kosmate cielska legendowych „turów” przez się laną kulę, zawsze nieomylną.

Poleszuk lepiej od Indian kanadyjskich umiał wyszukiwać „żeremia” bobrowe i zdobywać te rzadkie, szaro-płowe, mądre gryzonie. Polesie niegdyś obfitowało w bobry gnieźdzące się na leśnych wodach, zabudowujące je niczem człowiek.



*— niebylejakie są jego zdobycze*





*Pustka i lęk na jeziorze Zasumińskim*

tu „romatusowi“, o wiele potężniejszy środek niż nawet „spirt hnany z muchomora“. Bystrooki łowiec poleski wytępił lub na cztery wiatry rozpędził bobry. Dopiero w ostatnich czasach kilka ich rodzin powróciło do dawnych mateczników na Bobryku, Żegulance, Hrywdzie i Stuble. Jaki los je oczekuje? Czy docna je wybijie kula kłusownika, czy przekoczą na nowe miejsca wygnania, ratując życie ginącego już gatunku? Przyszłość okaże.



*Ruchliwy trakt rzeczny łączy wieś z miastem*

Chronione przez nowe ustawodawstwo stanowią one tembardziej nęcącą Poleszuka zdobycz, chociaż trudno mu jest teraz a i niebezpiecznie sprzedawać futerko bobrowe albo mieć je na sobie. Bagiennie-leśny łowiec polował dawniej na bobry dla „stroju“, dla tłuszczu jego. Dalecy przodkowie Poleszuka uznali bowiem „sało bobrowe“ za najskuteczniejszy lek przeciwko pospolitemu





*Wody i bezbrzeżne moczary toną w barwach zachodu*

Prawdziwym „kniaziem na hałach i popławach“ był zawsze łoś rosochaty, przebywający w najgłuchszych olszyńcach i na skrajach podmoczonych, grząskich puszczy, — spokój tam miewał zawsze.

Wielki i ciężki zwierz, zbrojny w rozłożyste „łopaty“, majaczył, jak widmo, w gąszczu łap świerkowych, w kłębowisku gałęzi i krzaków, przez które silną swą pierś się przedzierał.

Nikt nie śmiał tknąć moczarza, chyba jakiś stary, z głodu rozsuchwalony i wściekły ryś spadł mu kiedy na kark, lecz, zrzucony potężnym otrząsem szczeciniastej skóry, ginął pod potwornym łbem rogatym i pod ciosami szerokich, ostrych racic. Zrzadka tylko osaczały łośia większe zgraje wilcze — i to w lutym, na ruję. Wtedy rogaty byk ulegał nieraz przewadze zwinnych drapieżników, chociaż nie obawiał się pojedynku nawet z burym władcą kniei — niedźwiedziem, odpierając go uderzeniem rogów, a w razie niebezpieczeństwa znikając mu z przed czerwonych ślepi, oddany pędowi silnych nóg.

Czy w puszczy, czy na pustaciach, wszędzie czuł się łoś we własnym żywiole. Żadne grzęzawisko nie było mu niedostępne.

Biegnąc płaskim, powłóczystym truchtem, jakgdyby się ślizgał po nawierzchni „nietr“, wyrzucając strugi rdzawej „nieciecz“, sunął w oparach „wyżarów“, ni to zjawia chybka, wszędzie przeszedł



i wszędzie otwarte dlań były drogi, nieznane człowiekowi. Człowiekowi — tak, lecz nie temu — z bagien i trzęsawinnych ołosów! Ten go wypatrzył, wyszedł i wyrozumiał. Zdradliwy, przebiegły, na tropie łosiowym zagrzebał on w torfie stępicę — łapkę.

Potężny zwierz trafiał w nią racicą, padał i w rozpaczliwym miotaniu grzął beznadziejnie, a wtedy dwunogi drapieżnik z łatwością już dopadał go i dobijał siekierą lub grubym kijem.

Poleszuk znał wszystkie rykowiska łosi i, ledwie się rozpoczynały, zaczął się już przy nich po nocach i przez trąbę — wabidło wy-

dawał głuche, tęskne stękania: och — och — och! Na ten zew namiętności szły mocarne byki, aby stoczyć ze sobą krwawy bój o obojętne klempy, cierpliwie oczekujące miłosnych pieśczęt z zwycięskiego samca.

Na rykowisku po zwabieniu łosia, rozlegał się cichy strzał Poleszuka, — cichy lecz pewną zadający śmierć. Łowiec miejscowy nie lubi, unika strzału, bo kosztuje drogo, no — i może ściągnąć czujnego leśnika lub nawet patrol pobliskiego K.O.P.-u, — woli więc po dawnemu zastawić stępicę i ubić „ro-



„Tok skończony“

sochatego“ bez rozgłosu i zdradliwych plotek echa. Łosie poza rezerwatem Radziwiłłowskim przechowały się jeszcze tam i sam na Polesiu.

Spotyka się je koło Kossowa, Iwacewicz, na Hrywdzie i Bobryku, gdzie królewski ten zwierz znajduje samotne schroniska i potrzebną mu paszę. W poszukiwaniu jej przekoczywały tu łosie z Puszczy Białowieskiej, wypierane przez jelenie, i spoza kordonu rosyjskiego, gdyż, tępione tam bezkarnie i bezmyślnie, coraz częściej przechodzą na polską stronę, gdzie czują się bezpieczniejsze.

W tych samych prawie miejscowościach ukrywają się również niedźwiedzie, niemiłosiernie ścigane przez naszych wschodnich sąsiadów. I znowuż nieprzemierzone a dobrze zagospodarowane puszcze Radziwiłłowskie stanowią i dla niedźwiedzia schron pewny.





*„Cisza panuje w borze“*





„Budan“ — leśne schronisko myśliwego

Kędyndziej zaraz go wytropił w mateczniku chytry Poleszuk. Zwiędział on się dokładnie, że na siedzibę i legi obrały sobie niedźwiedzie lasy i haszcze na wschód od Hryczyńskich błot, wzdłuż Łani, Naczy, Moroczy, — poznał ich wszystkie przechody.

Nie rusza ich jednak Poleszuk i nie niepokoi. Śledzi zato każdy ich krok; wie, kiedy dobierają się bure kosmacze do barci, kiedy zalegają w malinnikach, a kiedy znów kradną mu jego owies...

Wie o wszystkim i czeka, aż przyjdzie zima. Wtedy odsprzeda on barłóg „achotnikom“, „panom“, a sam pójdzie w „huczki“ — na naganiacza lub osacznika; gdy zaś zwierz wymknie się myśliwym, będzie się śmiał w kułak i drwił zjadliwie, przyprawiając w gronie sąsiadów swe opowiadania ohydne-

mi wyzwiskami — zgniłemi, jak woda ślepych, nieruchomych kałuż bagiennych. Taki on zawsze.

Biorąc wszystko, co się tylko mogłoby nadać do użytku, Poleszuk, uzbrojony w siekiere, kij i strzelbę, „za ruska“ doszczętnie niemal wytepił zwierzęta swoich puszczy, i łąk okrytych „niecieczą“, i bagnistych „olosów“ — używał sobie dowoli.



W drodze na łowy





*Wieczór myśliwego, ... przed świtem ruszy na głuszca*

Rysia zapędził do istotnie niedostępnych uroczyszcz, skąd plamisty drapieżnik wyłania się tylko po zdobycz — czujny niezmiernie.

Na wielkich polowaniach po „czarnostupie“ — w zimie, z krzykiem, nawoływaniem pędzących zwierza „huczków“, wypada nieraz ryś, jeśli nie zdążył przez noc powrócić do legowiska. Czołga się wtedy haszczami, lecz unika nagich odkrytych „ihryszcz“, spłaszczony przy ziemi pełźnie przez duchty i tuż — tuż przed linią strzelców znowu zapada w zarośla, przędąc czarnymi pędzelkami czujnych uszu i marszcząc drapieżny pysk, węszący śmierć.

Odcleży się tam długo, bardzo długo — lecz losu swego nie ujdzie.

Hen, przed nim wypadną dziki, bezmyślnie wystawiając się na strzał; nie wytrzyma hałasu nagonki rudy lis i, machnąwszy puszystą kitą, śmignie przez linię obstrzału, na okamgnienie przystając, aby się rozejrzeć i uczynić błyskawiczny, zawily zwrot ku kniei, lecz w chwili tego wahania dosięga go kula lub śrut; krążą wilki przebiegłe, miotając się w matni i szukając wyjścia pomiędzy huczkami“ a strzelcami, lecz zewsząd widzą niebezpieczeństwo, bo w krzakach trzepocą, igrając z wiatrem, porozwieszane na sznurach czerwone lekkie chorągiewki.



*Posiłek w głębi puszczy*





*Zimowe tropy*

Wytropiwszy wilka, Poleszucy na najbliższą noc zastawiają niezawodną pułapkę — „pskowskie sznury“ z czerwonymi szmatkami — niewinna napozór zagroda, której jednak nie odważy się przekroczyć najstarszy nawet wilczura. Obiegłszy cały, coraz to zwężający się, zacieśniający, coraz szczelniej zamykany przez naganiaczy ostęp, ostrożnie suną wilki długim sznurem, dalej od hałakującej rzeszy Poleszuców, zbliżając się do szerokiego duchtu, gdzie zaczajeni za grubymi pniami stoją myśliwi. Wilki już oddawna zwęszyły ludzi i jeszcze coś — co swoją przerażającą ostrością drażni węch, lękiem i zgrozą przejmując ich zuchwałe serca. Lecz nicma na to rady!

Nagonka napiera coraz bliżej i gęściej. Poprzez krzaki widać już szaro-bure świtki Poleszuców, ich czarne czapy, podmoczzone, cuchnące onuczki, umocowane łykiem, i żółte „postoły“. Krzyki, łomot i trzask zarośli, walenie kijami w pnie drzew, przeraźliwy



*Wiosenny teren łowiecki*



gwizd ostatecznie płoszą osaczone drapieżniki. Nic już nie widząc i nie słysząc, o niczem poza ucieczką nie myśląc, jak szalone, wypadają z gąszczu i mkną naoslep, wyciągając prężne ciała i olbrzymiemi susami sadząc przez wywroty i kępy wysokich traw.

Padają strzały... padają wilki, wijąc się w ostatnich drgawkach lub, usiadłszy po postrzale, kłapią kłami, grożąc ludziom bezsilną wściekłością ślepi.

Ryś, zwarty w jeden zwał mięśni, węszy, słucha i nie drgnie.

Widzi on zruszonego z barłogu niedźwiedzia, który, sapiąc i mrużąc gniewnie, toczy się, niby czarny głaz, uchodząc wprost przed siebie, aby tylko być najdalej od hałaśliwej „ściany“ wypierających go z kniei „huczków“.

Wybiegłszy na „linję“, pada kosmacz, przeszyty straszliwą kulą sztucera, albo chybiony rwie przed siebie i daje nura do zbawczych haszcz, tocząc się coraz dalej, aż się zaszyje do takiego uroczyścza, gdzie sam bies — „dziadźko — lesowik“ drogi nie znajdzie, bo dojrząc ją potrafi jedynie strach śmiertelny!

Ale „huczki“ wiedzą, że ryś był w miocie, że nie wyszedł poza nagonkę i że nie widziano go jeszcze na duchcie, więc, łomocąc kijami i obuchami po świerkach i olchach, wdzierają się do ostatniej ściany gąszczu, gdzie zaczął się centkowany kot.

Jeżeli zaległa tam stara samica, — dopuści ona ludzi na pięć kroków do swej skrytki, a, spostrzegłszy wmig najwęższą bodaj lukę, jednym skokiem wywinie się z gęstwiny, śmignie plamistym widmem pomiędzy tupocącemi bezładnie nogami wylękłych naganiaczy i wyknie się z matni, aby już nigdy nie dostać się do niej.

Koty zaś i pstrokata, jasnoskóra młódź nie wytrzymają długo i tracą władzę nad sobą.

Prawie z pod bijących o ziemię kijów raptownie wypadają z krzaków i, robiąc rozpaczliwe skoki, usiłują jednym pędem przesadzić złowieszczy ducht.

Drapieżny, straszliwy wróg zwierza i ptactwa — ryś nie jest wcale wytrzymały na ranę. Gruby śrut tedy lub jedna chociażby loftka, gdy utkwia w jego pięknem, zwinnem ciele, wstrzymują go w biegu. Staje się on wtedy łatwą zdobyczą człowieka, pięknem, najpiękniejszym trofeum myśliwca, a winien ten szczęściarz pamiętać, iż ubił geparda europejskiego — wielkiego kota naszych szerokości geograficznych, najprzebieglejszego drapieżnika polskiej kniei.

Gdyby Poleszuk mógł samodzielnie i bezkarnie polować na swej ziemi, — oddawna, jak tropiciel syberyjski lub traper-kanadyjczyk,



wytopiłby wszystko, co żyje: od dzięcioła i zięby aż do żubra — „tura“ starodawnych klechd, szczególnie w zimie, gdy bystre oczy leśnego człowieka wypatrzą każdy ślad na śniegu.

Wytopiłby on zwierza prawie bez strzelby i hałasu, na który, jak echo, odzywa się teraz prawo karne.

Niedźwiedzia położyłby „nawodem“ — strzelbą umocowaną na słupach i połączoną sznurem ze stępicą tak, aby wypuściła kulę, gdy „bury“ będzie przechodził mostek nad niezamarzniętym strumykiem, lub dopadnie padliny, czy też pozostawionej na wabia spróchniałej barci niewybranej.

Poleszuk-łowiec potrafi zamanić wilki do „wouchowni“ — przemysłnej pułapki, gdzie umieści najpewniejszą przynętę — kwiczące prosię, ukryte w ostatnim „zahonie“; umie on też schwytać szarego bandytę, „ukleszczywszy“ go w pomysłowej „zapadni“.

Leśny człowiek ma też sposoby na kunę. Wytropiwszy ją w dziupli, rąbie to drzewo i wyjmuje drogocenne zwierzątko; tchórza wykopuje z jego podziemnej nory, lub zastawia zwykłą, jak na szczury, pastkę.

Na wydrę, która osiedliła się w norze nad rzeką, Poleszucy wynaleźli żelazne samolowy; używają ich też w zimie, gdy wydra wynurza się z przerębli na lód. Zajęcie, cietrzewie, przepiórki i kaczki dusi Poleszuk włosianemi siłkami. Jarząbki, kuropatwy i słonki wabi piszczałką i chwytą w sieci lub strzela zbliska, tak zbliska, że zabija po kilka sztuk naraz. Do żórawi umie podczołgać się na brzuchu i zmusić te niebywale ostrożne ptaki zbliżyć się ufnie ku sobie, wymachiwaniem czapki lub okiści oczeretu budząc w nich ciekawość nieprzepartą.

W jednym tylko wypadku szaro-bury, jak cała okolica, przemysłny, pierwotny jeszcze łowiec poleski staje się poetą i marzycielem.

Nie chodzi mu wtedy o zdobycz, o mięso; na pierwszym planie stawia on ambicję łowiecką, umiłowanie natury i wyrozumienie duszy mieszkańców puszczy.

Wyjątkowo pociągającą Poleszuka zwierzyzną, stokroć bardziej ponętną, niżli nawet bóbr, łos i kuna, stał się z niezrozumiałych i jakichś wprost mistycznych powodów czarny, o lazuruwo-zielonym polysku — głuszc!

Leśni ludzie naprawdę wierzą, że w tych dzikich, nieufnych, jak oni sami, ptakach pokutują dusze zmarłych ludzi, że gdzieś po uroczyszcach i matecznikach w głębi boru żyją „cary głuszcowe“, — tak sędziwe koguty, że pamiętają one dawnych ludzi tego kraju, leżących pod kurhanami, a może nawet dawnych bogów, bo kto wie,



czy to nie sam Jariło rzucił tę cudowną błyskotliwość na czarne, jak straszna, tajemnicza „noc Orabinowa“, opierzenie najwspanialszego i najdumniejszego w kniei ptaka?!

W każdym razie, wychodząc przed świtem na toki głuszców, przeobraża się leśny tułacz, jakgdyby wyrasta i szlachetnieje. Nawet głos jego, zazwyczaj uniżony i pokorny, nabiera nagle odcieni dumy i pobłażliwości wielkopańskiej, szcudrobliej.

Prowadzący myśliwego na toki, Poleszuk wie dokładnie jak i gdzie ma iść i co tam z pewnością znajdzie.

Poprzedniego wieczoru skoczył on bowiem na „zapady“, gdy głuszc z łopotem mocarnych skrzydeł i krótkim, ni to gniewnym, ni to ostrzegawczym krzykiem siada na nocleg na gałęzi świerkowej.

Skądś zdaleka „kłóchtaniem“ nawołują się nawzajem kury.

Poleszuk zbadał, ile w tym i tamtym ostępie boru „posadził hłusców“, więc prowadzi strzelca z całą pewnością powodzenia.

Wiosenna noc w pełni. Nisko nad horyzontem, tam i sam znaczącym się poprzez korony drzew, płynie księżyc — jakiś dziwnie jasny i bliski, — zupełnie bliski. Strugi białych jego blasków padają na zmarszczoną wiatrem „nieciec“, na kałuże, i płachty topniejącego w dzień śniegu, ściętego o tej godzinie nocnej szkliviem „naldzi“. W podmuchach wiatru, co rodzi się o przedświciu, niesamowicie rozkiwały



*Księżęca zdobycz*



się gałęziska świerków czarnych na krawędzi boru. Pod stopami skradających się ludzi z brzękiem pęka cienka lodowa zamroź na śniegu i załamują się słabe kry po wykrotach, pełnych zakistej wody; człapie i cmoka blocko; szleszczą suche, tratowane liście i skrzypi butwiejące, sypkie igliwie.

Cisza panuje w puszczy.

Zrzadka zaledwie mącą ją jakieś odgłosy. Senny, krótki skrzek sójki i nieprzytomny snadź pisk jakiegoś ptaszka drobnego. Z dalekiego chutoru dochodzi pianie kogutów i poszczekiwanie psów.

Niewiedzieć skąd, jakgdyby z głębin błot, wydobywa się ponure, monotonne zawodzenie, przerywane ochryplym skowytym... Wilki!... Z łożniaków i olszyńca na moczarze napływa to wycie od łęgów wilczych. Napęlnia las złem echem i trwoży.

Z innej strony od mszarnika, gdzie pod śniegiem przetrwały aż do przedwiośnia jagody żórawin i jeżyn, dobiega częstotliwe bulgotanie, chwilami — jakgdyby stukot pracowitych młotów kowalskich.

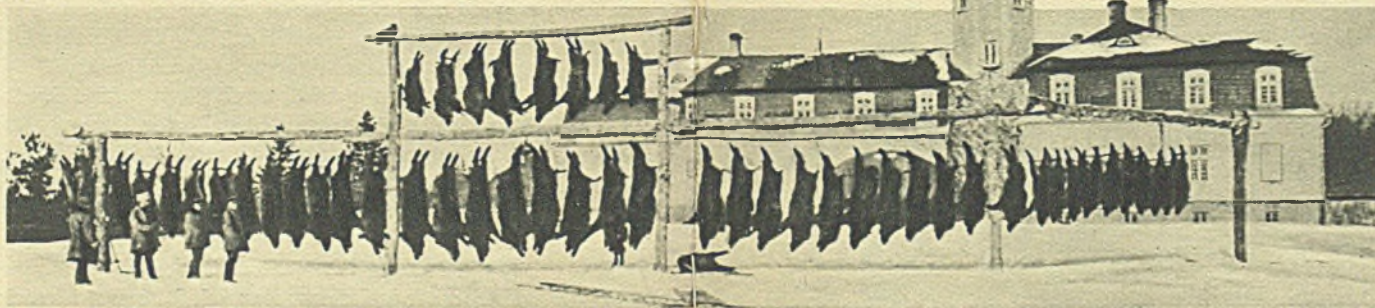
Tam tokują cietrzewie, głupio i śmiesznie walcząc o samiczki niepokaźne, jeszcze uśpione i milczące.

Znowu zapada głucha, głęboka, jakaś dziwnie trwoźna cisza.

— Uhu — uhu — uhu niesie echo przez lasy głos puhacza,



Naganka



Po polowaniu w Radziwiłłowskich lasach

przed pałacem w Mankiewiczach

Odpowiada mu gniewny, niecierpliwy bek i głośny tupot nóg. To rogacz straszy puhacza, a może i ludzi, bo przed nimi ostrzegły go już rozdęte, drgające, czule chrapy...

Poleszuk stanął na skraju boru, gdzie zaczyna się już wydma piaszczysta; jego stopy grzęzną w miękkiej

warstwie burego igliwia. Pachnie żywicą, gnijącą trawą, grzybami, czy pleśnią — mieszają się z tem różne nieznanne nienazwane wonie.

Na niebie zapalają się i gasną gwiazdy. Człowiek leśny zna je wszystkie, rozumie ich bieg, pamięta ich dzieje. Nadaje im dziwne nazwy, tchnące dawno przebrzmiałą przeszłością — „ołosozary“, „stożary“, „kurki“, „światowa zora“, „wiccha“... Nie zapomina, że mleczna droga — to „doroħa, szto husi leciać na białej świat, na ciepłyja wody“, że plamy na księżycu — to Kain, który brata widłami przebił, i że nie wolno nań palcem wskazywać, ani po imieniu księżycy nazywać tak samo, jak zakazali tego przodkowie w gawędach o Prypeci i ogniu, widomym znaku władzy staro Peruna, nie wolno!

Księżyc znika w powodzi słonecznego światła. Niewidzialne ono jest jeszcze, a już wsiąka w noc i wypełnia otchłań międzygwiazdną, która szarzcze nagle i sączy mętną poświatę. W borze mrok staje się gęstszym bez głębi, jakgdyby stając tuż przed oczami, niby wyniosła czarna ściana. Nad błotami i haszczami wykwitają smugi mgieł.



Włoka dzika





Przy „budanie”

Poleszuk nieruchomy, jakgdyby skamieniały, ledwie się znaczy czarniejszą plamą w mętach oćmy. Gdyby nie zalegała wokół ta czarność bez żadnej głębi, nie byłoby go znać wcale. W świtce barwy szarych i burawych pni, w poplamionych błotem i rdzą onuczach i postołach, w szarej barankowej czapie i z krzywym kijem w ręku stopiłby się zupełnie z otaczającą okolicą, zniknąłby na jej tle, jak nieuchwytny dla oka i słuchu duch leśny.

W nocy jednak sylwetka chłopca odcina się wyraźnie i nicpokojąco. Stoi milcząco, zasłuchany i, poruszając ostrożnie głową, zda się, węszy, wciągając nozdrzami strugi zapachów, napływające od boru, „hała” i — zewsząd. W chwili tej szary człowiek staje się niezmiernie podobnym do swego szarego odwiecznego wroga — wilka.

Przecież i basiur, wyruszywszy na łowy, przystaje na krawędzi puszczy i stoi, słuchając i węsząc. Rozważa długo i mądrze, w którą stronę skierować ma swoje lekkie, złodziejskie chody.

Od człowieka różni się tylko tem, że świeci „lampami” — źrenicami drapieżnych ślepi.



Z gluszcem



Poleszuk, wyszedłszy w nocy na „podśluchy“ głuszców, ledwie dotknie łapczami opadłego igliwia boru, w którym po zorzy wieczornej „zapadły“ ptaki, — czuje się już na ich tropie i — przeistacza się w wilka.

Jednocześnie wszakże zachodzi pomiędzy dwoma drapieżcami głęboka różnica.

Czworonożny, czujny zwierz skrada się do żywego, tętniącego krwią mięsa, węszy je i już czuje jego smak i zapach, gdy, schwytawszy za gardło rogacza, udusi go i zacznie wyrwać mu trzewia, aby czempredziej dostać się do wątroby i pożreć ją z rozkosznym skowytym.

Dwunożny natomiast nie mniej, a może bardziej jeszcze czujny i drapieżny łowiec wie, że nie dostanie w swe ręce zdobyczy, a nawet nie pragnie jej, żalując niemal, że podprowadza ku niej obcego człowieka — „pana“, uzbrojonego w „zamorską“ flintę, aby dla zabawy i przyjemności odebrać życie rozspicwanemu głuszcowi.

A jednak słucha poleski tropiciel, czy nie przebudził się już tajemniczy ptak, czy nie rozpoczyna toku! Musi go „podejść“ — „podskoczyć“ pod „grającego“, oczami wskazać nań temu — drugiemu człowiekowi, który sam nigdy nie znalazłby go w kniei, nie usłyszałby „zapadów“ i nie „wypatrzyłby“ drzewa, gdzie usadowił się piewca kniei.

Musi go „podejść“ Poleszuk, bo tak mu każe jego duma łowiecka, niezachwiana wiara w swoją potęgę leśnego człowieka, co słyszy, jak trawa rośnie, rozumie o czem szeleszczą czoroty i o czem gwarzą tak trwożnie strugi Prypeci, tworząc wartkie, wirowate leje na ostrych załomach nurtu.

On tu jest panem i władcą, tylko on — poleski chłop „w siermiałnej“ świtce i dziurawych łapczach łykowych!

Och! Gdyby tylko zechciał, — zaprzepaściłby on tego bogatego „pana“, dla uciech łowieckich przybywającego tu zdaleka, popchnąłby go na prawdziwy „mochowy zybul“, skąd żadna moc jużby go nie wydobyla z topieli!

Jednak Poleszuk słyszał „zapady“ głuszców, a więc duma, ambicja popycha go dalej, aby ujrzeć w oszukańczej, zwodnej poświacie najdzikszego z ptaków w całej okazałości jego szaty, w najwyższym porywie niepojętej tęsknicy, zobaczyć zbliska, dostrzec wszystko, drgnąć, gdy trafiony śrutem z głuchym łoskotem uderzy o piaszczystą glebę boru szeroką piersią, w której nagle serce bić przestało!



I jeszcze jedna istnieje przyczyna, co pociąga, co nęci leśnego człowieka. Jest to tajemnicza godzina, budzącego się do życia boru, nieba i całego świata.

On — syn natury — wyczuwa ją każdą kroplą swojej krwi i ogarnia całem zrozumieniem swoim.

Teraz, kiedy ma tylko słuchać i prowadzić, kiedy nie potrzebuje nic robić, ani dawać z siebie żadnego wysiłku, — tem ostrzej przeżywa Poleszuk fizyczną niemal rozkosz tej wspaniałej chwili.

Stoi więc na skraju puszczy z oczami przymkniętymi, cały zmieniony w słuch, lecz ożywają w nim i działają inne — nieznanne zmysły.

Nie patrząc, widzi, jak ciemne niebo, na którym nisko już, nad olosami niemal, połyskują przybladłe nagle „stożary“, nabrzmiewać poczynają niewidzialną jeszcze purpurą i złotem. Drży na myśl, że nastanie niebawem chwila, gdy całe ono raptem się rozświeci i rozplomieni czerwienią blasków słonecznych — „Jarilową“ gorącą krwią, że przyjdą brzask i świt, że umilknie granie głuszcza.

Uśmiecha się chytrze pod wąsem szaro-siermiężny Poleszuk. Bodaj sto razy słyszał on od „panów“, że tokowanie oznacza pieśń miłosną, przeczucie rozkoszy i dumy zapłodnienia, lecz on w to nie wierzy.

Uśmiecha się tylko na samo wspomnienie, wydyma wargi szyderczo i pogardliwie.

Zapewne, zakląłby nawet, lecz o tej tajemnej godzinie przedświtu pelen jest wspaniałej pobłażliwości dla ludzi i wyrozumienia ich błędów i grzechów.

— Ech... — błyska myśl w kudłatej głowie, — durnyje pany, nikczomnyje...

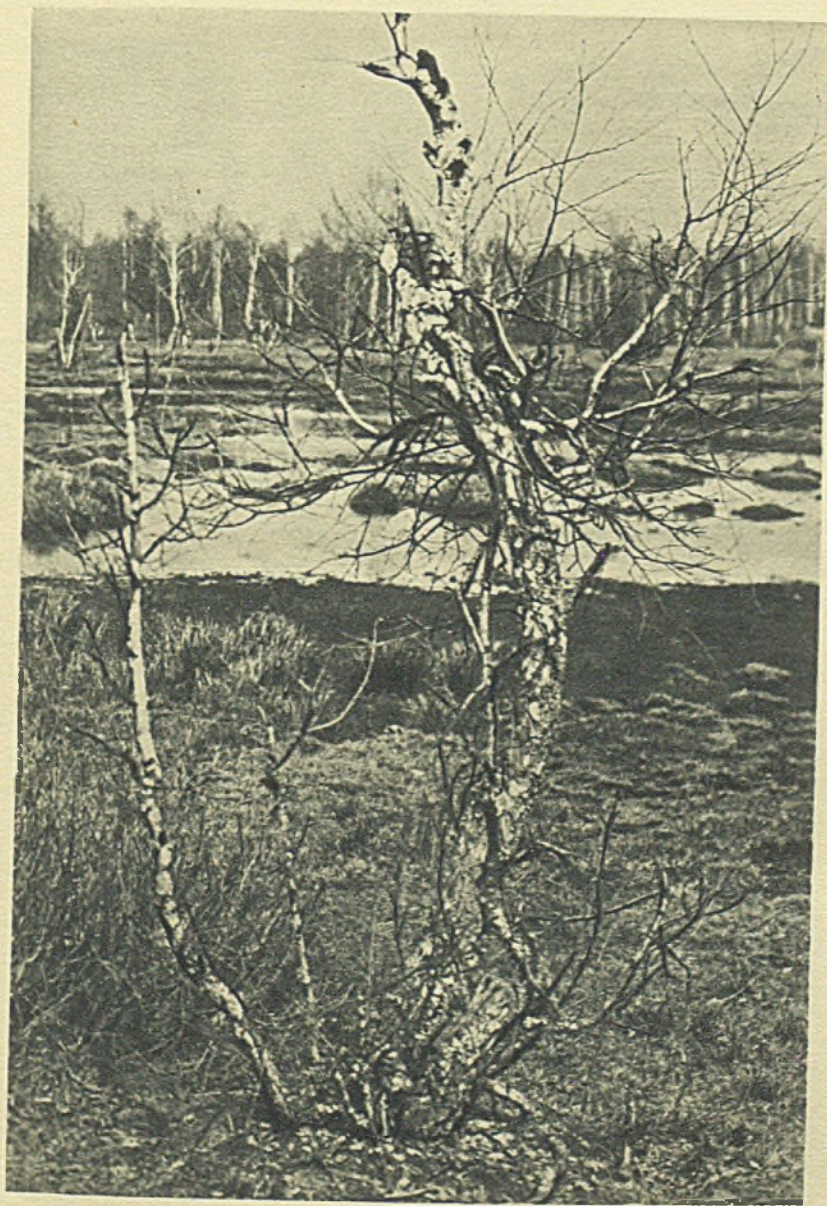
Chce jeszcze coś dorzucić, lecz pręży się nagle i, cicho pochylając głowę, wyteża słuch.

Gdzieś, jakgdyby zdaleka, zrodził się w borze dźwięk — nowy, jaki dotychczas jeszcze nie dołączał się do innych pogwarów nocnych.

Właściwie — nie był to dźwięk, nawet raczej — szmer, krótki, niegłośny szelest, ale Poleszuka nic nie zwiedzie, — dla niego jest on istotnym początkiem czasu, gdy „hłuszczy hrać zacząć“, więc słucha zamarły w kamiennym bezruchu.

Już zrozumiał, że głuszcę się przebudził i otrząsnął się zlekka. Tym osobliwym swoim zmysłem widzi ptaka przed sobą: siedzi on na „jedlinie“, przywarłszy czarnem ciałem do czarnego pionu, ukryty w cieniu zwisających gałęzi. Nikt go tam nie dojrzy i nie zwęszy w ciemni i oparze żywicznym... chyba kuna... lecz zwinny drapieżca powraca już o brzasku do swej dziuplastej nory.





*Tokowisko*



Chłop dojrzał głuszca. Widzi go oczami leśnego instynktu. Ptak siedzi napuszony, wciągnąwszy głowę w nastroszone pióra kołnierza; w gęstym cieniu ledwie się odcina jego potężny, biały dziób; szeroki, czarny wachlarz ogona drży chwilami...

Ostry słuch chłopu pochwytuje nowy dźwięk — ostrożny, głuchy łopot skrzydeł i ostry zgrzyt piór, ocierających się o siebie razporaz.

— Słuchajcie, panoczku... — szeptem Poleszuk, obróciwszy skupioną twarz ku przyczajonemu za nim myśliwemu.

Jednocześnie rozlega się głuchy łomot, a po nim cichy, powoli milknący szmer. Głuszcak zleciał z miejsca „zapadu” i potracił gałąź. — Nie daleko sięt... — myśli Poleszuk i znowu wytężył słuch. Głuszcak usiadł na otwartym tokowisku — być może — na wysokiej,

nagiej gałęzi sosny, a — może — na ziemi, na polance, zarośniętej gęsto wrzosami i trawami? Nareszcie! — Poczyna się przedziwne misterjum. Dobiegają uszu nieuchwytnie niemal tony pieśni. Myśliwi na Polesiu odróżniają — kłapanie, syk, puchanie... mają swe nazwania na poszczególne części tego jedyne go hymnu na cześć wiosny i miłości. Poleszuk mawia nieraz, że głuszcak „kuje” pieśń swoją. — Panoczku... — szeptem znowu ostrożnie chłop i, skinawszy głowę, robi kilka szybkich, bezdźwięcznych skoków, stając nagle i kamieniejąc znieruchomiony.

Głuszcak skończył pierwszą zwrotkę. Była ona pobudką, mrok bowiem rzędząc zaczyna szybko i szarzyć. Do wnętrza puszcz przez gęste listowie jej i igliwie zaglądały jeszcze skrawki nieba.

Głuszcak gra, a pod pieśń jego urywaną urywanym szybkim „podskokiem” podchodzą ludzie.



*Głuszcak gra*





Kłapanie i syk stają się wyraźniejsze i coraz bardziej bliskie. Poleszuk spostrzegł już głuszca — wyprzedził w tem myśliwego. Czerni się tam na tym krzywym sęku niby duża narość. Chodzi po niej, przysiada, opuszcza skrzydła, puszy się cały, to znów wypręży się, jak struna, podnosi głowę ku niebu i wykuwa każdą nutę swej pieśni. Przejęty nią nie widzi zbliżającego się wroga.

Waha się jednak chłop, nie chce pokazać ptaka obcemu puszczy, człowiekowi z miasta — obojętnemu przecież na jej cuda.

Nie chce, chociaż nie może chyba czuć litości dla pierzastego śpiewaka — on — Poleszuk, od dziadów-pradziadów łowiec, tropiciel, zdobywca?! Kat to przecież dla wszystkiego, co tu żyje?

Nie! To — nie litość każe mu zwlekać.

To zachwyt powstrzymuje go od ostatniej rozgrywki, zmusza, choćby na chwil kilka odroczyć epilog tragiczny, po którym zapanie straszliwe, przerażające milczenie.

Poleszuk napawa się grą głuszca, pragnie przeciągnąć ją jak najdłużej, żądny słuchania jej chociażby aż do śmierci!

Wszakże to „sam hłuszc hraje“!

Wielka, cudna chwila!!

Ludzie z miasta bają tam coś o pieśni miłosnej? Nie! Sto razy — nie! Ot, wymyślili sobie, a nic nie wiedzą, wiedzieć nie mogą.

Sprzeciwia się temu wstrętem i gniewem wezbrana dusza leśnego człowieka — obrażonego, że obcy człowiek kazi mu jego świat.

Dość jednego „kłochnięcia“ pięknego koguta, zdobnego w błyskotliwy, skrzący się pancerz, aby zbiegły się doń zewsząd stęsknione, zaczarowane jego wspaniałością kury szare, czekające po okolicznych ihryszczach i wrzosowiskach. — To im przecież wystarczy.

Nie! Nie miłosna to pieśń! Miłość tak wspaniałej pieśni niego! na!

Coś innego wyraża ta „gra“ — taka cicha, że niekażdy dosłyszcy jej nawet, a tak porywająca! Głuszc jest, zapewne, jedynym na ziemi ptakiem, powołanym przez naturę całą na jej piewcę, barda. Godnie wywiązuje się z tego obowiązku.



*Na Polesiu częsty widok*



Samotny to trubadur! Żądę śpiewu ukrył głęboko w swem czarnem ciele, co umie połyskiwać i jarzyć się pełną gamą widma słonecznego. Wydobywa tę pieśń tajemną, mistyczną o najcudowniejszej porze budzącego się życia, a nie pospolituje jej, nie rzuca pod nogi gawiedzi, jak słowik, rozśpiewany w bzach i jaśminach parku miejskiego, zaśmieconego niedopałkami papierosów, łuską orzechów i pomarańcz — prawie że śpiewak uliczny.

Tego nie czyni głuszc dumny; to nie śpiewak dla tłumu...

Czarnopióry bard obiera sobie ostępy najdalsze i najdziksze, w bezludnej, prawdziwie niedostępnej kniei i tam — wobec płynącego ku zenitowi słońca, w obliczu brzasku zorzy porannej, w toku ciemnego jeszcze i milczącego boru śpiewa krótkie triolety jakiegoś zagadkowego hejnału, którego treści ludzka myśl odgadnąć nie zdołała.

Co to jest? Hymn nieznanym wzmożonych na wiosnę potęg natury? Pogańskie misterjum na cześć Jariły — słonecznego boga? Modlitwa do Stwórcy wszechświata, którego bujną radość twórczą i dziękczynienie korne wyśpiewuje menestrel czarnopióry, cały w skrach zielonych, niebieskich i złotych.

Snadź tajemnicę gry głuszcowej wykrył i zgłębił jedynie Poleszuk, człowiek leśny, dziecię natury — bliski i bliźni temu ptakowi.

Nie kwapi się on oczami lub ruchem głowy wskazać zdyszszanemu myśliwcowi tokującego głuszca i dopiero wtedy, gdy niebo rozróżwieje od krańca do krańca, a pierwsze szkarłatno-złociste promienie



*Jesienny zmierzch*







słońca zapalą na piórach ptaka setki połysków i plam migotliwych, kiwnie głową i ni to ze smutkiem, ni to z żalem szepnie, nie patrząc na towarzysza, dla którego w tej chwili czuje tylko pogardę:

— Hłuszec hraje tam ot tamoczko na chwoi. Podskoczycie, panoczku.

Szepnie to i czeka, aż huknie strzał, a z sosny, koziółkując w powietrzu, z klaszczącym łopotem skrzydeł potoczy się czarny ptak, ślizgając się z gałęzi na gałąź, strząsając z nich młode pędy, podcięte śrótem, i suche, obumarłe iglice. — Już po wszystkim.

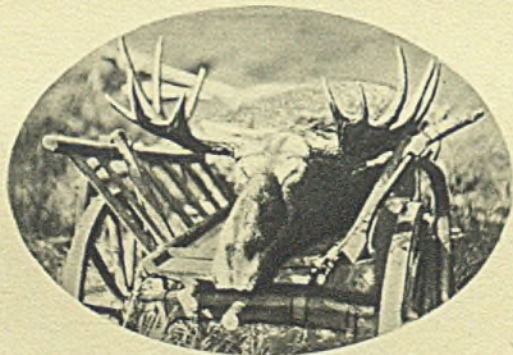
Po kniei długo jeszcze tłucze się echo morderczego strzału...

Tok skończony... Skończony dramat wiosennego poranka.

Słońce podnosi się coraz wyżej, ukazując purpurową tarczę swoją, a w duszy Poleszuka, jak mgła nad bagnem, opada jego nastrój cudowny, pełen dzikiego zachwyty. — Patrzy już przytomnie, trzeźwo.

Staje się znów szarym, przyziemnym człowiekiem swych „hałów“. Zrywa czapę z głowy, winszuje zdobyczy, a po chwili przebiegle zerka siwymi oczami i oblesnie kusi triumfującego myśliwego:

— Sady buduć bohатыje panoczku, prijechałib uciej postrelać!



„Rosochaty“

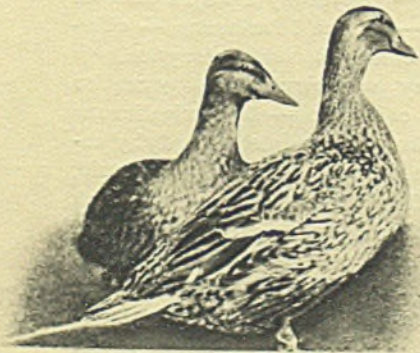




*Kaczy raj*

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### KACZE PAŃSTWO



*Krekuchy*

**P**rypeć z biegnącymi ku niej rzekami i strumieniami, jeziora, moczary, każda niemal kałuża na „hałach“, cały wreszcie kraj poleski zagarnęły w swe posiadanie niezliczone stada dzikich kaczek. — Wędrują one zdaleka, z południa, lecąc w ślad za kluczami żórawi i gęsi, pokorne zewom wiosny, i tu się zatrzymują na łęgi, aby późną jesienią powrócić do innej — zimowej ojczyzny, nie znającej mrozu i śniegu.





*Świat kaczek, gęsi, czajek, bekasów, dubeltów, bataljonów*

Być może, że i gęsi mają swe gniazda w niedostępnych matecznikach bagiennych, lecz ilość ich jest znikoma w porównaniu ze stadami kaczek. Te krzykliwe i kłótlive ptaki roją się wszędzie — na samej Prypeci, na jej dopływach i w najmniejszych nawet wyżarach na starych oparzeliskach torfowych.

Na mszarnikach, na kępach popławów i na podmokłych „łubach“ gnieźdzą się czajki, bekasy, dubelty, bataljony i inne gatunki kulików — nieraz obce naszemu lądowi — przybłądy z Azji i Afryki.

Czarne bociany i duże szare czaple — czujne i żarłoczne — obierają sobie na siedzibę grząskie pełne chłodu i cienia olszyńce.

O wschodzie słońca i tuż po zorzy wieczornej, na początku wiosny — niemal przez dzień cały i całą noc — lecą niezliczone gromady kaczek, lecą ze świstem i furkotem skrzydeł, jakgdyby zakłopotane niezmiernie, czemś spłoszone, wylękle. Gwizd, kraczenie, krzyki i pisk wypełniają powietrze. Tysiące, setki tysięcy kaczek okrywają czarną, ruchomą ciżbą zwierciadła i smugi wody, myszkują w czorotach i sitach, przewalają się wśród porośli „chwośczyków“ i ajerów na „bielach“ i „nietrach“. Roją się setkami i tysiącami.

Zewsząd dobiegają ich kłótlive pokrzyki, plusk wody i syczący poświst lotu podrywających się ptaków. Żerują wszędzie i szerzą



spustoszenie, współzawodnicząc z rybakiem poleskim, zaglądnąc całymi stadami do jego „hatów“ i jazów, stawianych na mniejszych strumieniach, pływając tam i wybierając ryby. Na wiosnę, gdy oszalałe od długiego lotu i głodu dzikie kaczki okrywają płynące i stojące wody, — Polesie nabiera właściwego sobie wyglądu.

Kacze państwo!

Nie ogarnia ono jednak całego kraju. Znane są jeziora i rzeki, pozbawione tego ptactwa. Najczęściej zdarza się to tam, gdzie założono stawy rybne i gdzie stróże strzelają i krzykiem odganiają skrzydlatych rabusiów, a także w zagospodarowanych majątkach wielkich właścicieli ziemskich, ponieważ kręcący się tam wszędzie ludzie niepokoją przelotnych, nieproszonych i nadmiernie żarłocznych gości.

Za to istnieją też wyjątkowe, ulubione maceczniki kaczek. Znane są powszechnie, „sady“ kaczek w Radziwiłłowskich i Drukich-Lubeckich posiadłościach na Polesiu. Podczas przelotów rozpoczyna się pierwsze polowanie na kaczki. Polowanie sportowe, „pańskie“ i inne — chłopskie, poleszuckie. Jedne i drugie łączy częsta wspólna metoda posługiwania się „bałwankiem“. Jest to drewniany kaczki manekin puszczonej na wodę. Zlatują się do niego niemądre kaczory — chytry myśliwy z bliskiego ukrycia łatwo je wybija.



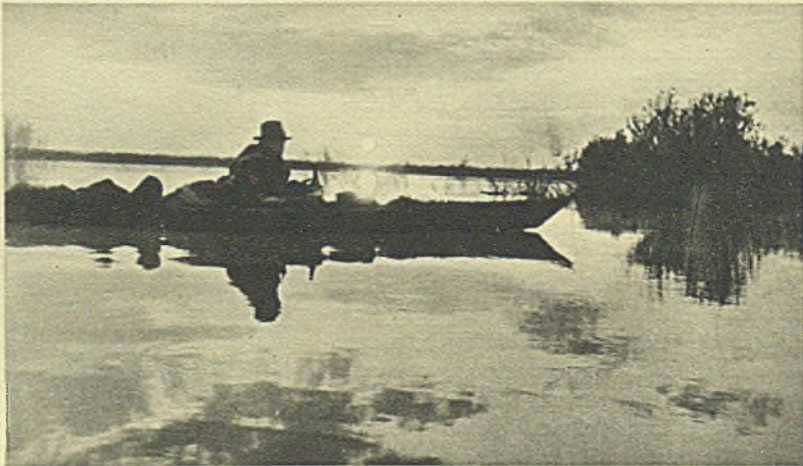
*Gdy słonki ciągną*



*W drodze na kaczory*



Polowanie sportowe polega na strzeleniu do kaczek, ciągnących wzdłuż łożysk rzecznych, wymaga celnego oka i wielkiej ilości nabojów. Nie jest to zabawa dla poleskiego myśliwca. Woli on zastawić w haszczach nadwodnych sidła z włosia końskiego, puścić po wodzie pętle lub wędkę z haczykami, ukrytymi pod pływającym pęche-



*Na polowaniu o wschodzie słońca*

rzem rybnym; w najgorszym razie zaczai się w krzakach i na „bambik” zwabi całe stadko kaczek, a, gdy podpływie, — chluśnie on weń nabojem „siekanców”, za jednym zamachem wybijając z gromady po kilkanaście sztuk, bo strzela chytrze tuż ponad powierzchnią wody; jeden taki strzał zazwyczaj mu wystarcza.

Poleszuk wmg wybada upodobania i zwyczaje kaczek — gdzie zerują one, na jakich jeziorach spędzają dzień, jakimi rozłogami i ostrowami „ciągną” i gdzie należy urządzać „sady” lub uwiązać „panom” dla zabawy drącą się, jak warjatka, „krekuchę”?

Tę wiedzę swoją sprzedaje gościom, co tu zjeżdżają na przeloty i za wszystko płacą suto, nawet za podany im kubek wody i za płonącą szczapę z ogniska, gdy się zapomniało... zapalniczki.

Poleszuk na suchszych miejscach wykopuje jamy, aby myśliwy mógł się w nich zaczaić; na mokrych „bołonjach” wystawia szałas i tak je przyodziewa w gałęzie i pęki sitowia, że nikt i nic nie odróżni ich od zwykłego krzaku lub szarej kępy czorotowej.





*W księżycową noc*





*Ciąg kaczek*

Kaczki rano i wieczór przelatuja z żerowisk na zarośnięte po brzegach jeziora, gdzie mogą pływać bezpiecznie i w okolicznych haszczach „mościć” wygodne gniazda dla przyszłej swej młodzi.

Myśliwi strzelają do nadlatujących ptaków, które spadają, z rozędu głośno uderzając o ziemię lub o zaróżowioną od zorzy wodę. Trzeba umieć strzelać i nie można oszczędzać ładownicy, a więc Poleszuk nie uznaje takiego polowania dla siebie. „Barskoje” — ono, — pańskie, bo kosztowne. Bardziej lubi łowy z „krekuchą”, bo jest ono zbliżone do polowania z „wabikiem”, tylko kaczka, pochodząca od domowej matki i dzikiego

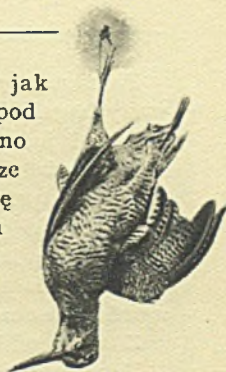


ojca, zastępuje w niem poleski „babik” lub „dudkę” z kory. Krekucha czuje miłosne zapędy i słodkie ciągoty, widząc setki krążących wokół kaczorów, więc woła rozpaczliwym głosem, błagając niebo o oblubieńca. Znać w tem wołaniu nutę fałszywą: krekucha, córka lekkomyślnej kaczki podwórzowej zdradza się obcą domieszką w głosie.

*Posiłek dla myśliwego*



Poleszuk buduje dla strzelca dobrze ukryty, czyli, jak się tu mówi, — „skradziony“ szałas, a na wodę, pod oczeretami puszcza krekuchę, uwiązaną do białego w dno drąga. Stęskniona „krekucha“ drze się na całe kaczę gardło. Znajdujące się w pobliżu samce zaczynają się niepokoić. Instykt samozachowawczy podszeptuje im jednak zdwojoną ostrożność. Słyszą one bowiem jakieś obce odcienie w zwykłej kaczęj gwarze, brzmiącej teraz nieco odmiennie. Wiosna jednak złą bywa nieraz doradczynią. Jeden z kaczorów zrywa się nagle do lotu, rozbryzgując wodę; z sykiem, wydobywającym się z rozdętej gardzieli, z cichym zgrzytem barwnych piór już opada na wodę, lecz w tym radosnym momencie huk straszliwy rozdziera ciszę, a grad ołowiu strąca na powolny nurt nieruchome, bezkształtne już ciało.



Słonka

„Krekucha“ wydaje jeszcze bardziej błagalny, rozpaczliwy krzyk.

Wabi nim drugiego, trzeciego... dziesiątego samca, wabi i wciąga w szalejący dokoła wir gubiącego ognia. Kaczory, jeden po drugim mkną na zew miłosny, a szybki pęd i wytężony wzrok, wypatrujący nieznannej kochanki, coraz potężniej ich roznamiętnia. Pędzą ku niej, nad czorotami robiąc zawile, spiralne zwroty — skrzydła niby dwa lemiesz już, już... opuszczają się ku wodzie. — Znów strzał...

Żądza miłości dopomaga ponurej, nielitościwej koźbie śmierci...

Takie jest to polowanie z „krekuchą“, być może najzdradliwsze i najstraszniejsze, bo pełne niezrównanej zbrodni... Nie jest piękne.



*Ubite kaczory przy zdradliwym „bałwanku“*



Poleszucy, gdy polują sami, strzelają zwykle z czółen, zamaskowanych gałęziami i sitowiem, co pozwala im zbliżyć się do stada kaczek i jednym strzałem wytrącić kilka ptaków. Na otwartych „ostrowach” i „hałach” zdobywają kaczki „skradem”, podjeżdżając na wozie, przystrojonym w krzaki i zielone ajery; szczególnie zaś tępią kaczki podczas „podlinia”, w okresie, gdy ptaki tracą pióra i nie mogą latać. Poleszucy zapędzają wtedy całe ich stada do sieci lub do splecionych z wikliny „zahonów”, i tam kijami już mordują osaczone, bezbronne ptactwo — a to jest wprost ohydne.

Zda się, oddawna winnyby zniknąć te tysiącami tępione kaczki...

Tymczasem pełno ich wszędzie, a późną jesienią i na wiosnę nowe ich nieprzeliczone chmary rzuca na poleskie bagna, zimna mroczna północ i dalekie gorące, pławiące się w słońcu południe.

Bezwidnie znanymi im szlakami bez wiech i rozstajów płyną one w powietrzu, odnajdują dawne łęgi, giną na tych samych „sadach”, te zaś, które oszczędziła śmierć, odlatują drogą, od wieków wytkniętą przez wędrownie, tajemniczo trąbiące klucze i sznury łabędzi, zórawi, gęsi i przez jazgotliwe tabuny swarliwych kaczek.



*Po kaczorach*





*Chata poleska wykazuje cechy pierwotnego budownictwa*

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### CHUTOR, ROLA, PASTWISKO I RZEMIOSŁO



*Odrębny jest typ Poleszuka*

Na Polesiu wszystko niemal jest osobliwe i swoiste, wszystko — świadczące o przechowanych przez ludność tradycjach zamierzchłych czasów, gdy czczono tu panującego nad całym światem Dadźboga Swaróżyca — prasłowiańskiego boga słońca, ognia, widzialnych i niewidzialnych sił przyrody. Słowiański ten Dadźbog przypomina Ozirisa egipskiego

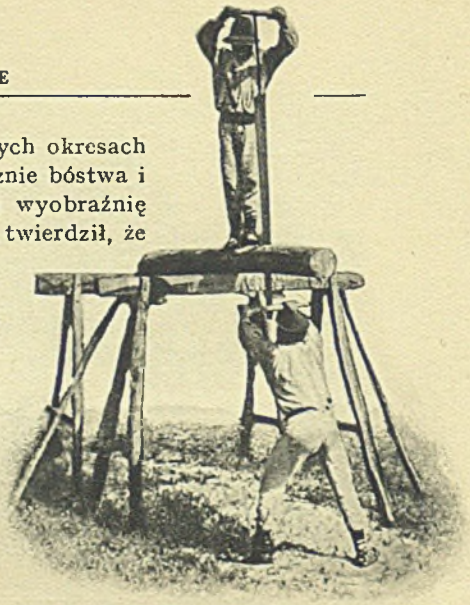


lub Dionizosa greckiego, gdy w pewnych okresach kult ich pochłonął starsze hierarchicznie bóstwa i wyłącznie opanował religijną myśl i wyobraźnię ludzi. Arabski podróżnik Ibn Rusta twierdził, że mieszkańcy dawnego Polesia siedzi-  
by mieli na piaszczystych pagórkach, w schroniskach podziemnych, gdzie płonęło ognisko domowe, a zara-  
zem — ołtarz potężnego Swaroga.

Domyślamy się teraz, że uczony Arab mówił o niskich chatach kur-  
nych, przywalonych kłocami drzew i otulonych grubą pokrywą ziemną, lub też może o łaźniach, dziś jeszcze spotykanych w Rosji — na północnej Dźwinie, Kamie, Biji i Abakanie. Są to podziemne nory, dosięgające pół-  
wzrostu ludzkiego a wykopane w stromych urwiskach nadbrzeżnych, Uczeni dowiedli też, że dawni mieszkańcy tego bagienno-leśnego kraju budowali swe nędzne sie-  
dziby na palach, jak to było we zwyczaju mieszkańców Szwajcarii, lub jak to czynią za naszych jeszcze czasów tubylcy z nad Amazonki.

Że tak być musiało, świadczy o tem charakter kraju i pozostałości dawnego budownictwa, jak, na przykład, spotykane po wsiach na północno-wschodnich krańcach Polesia „klecie“ na słupach, także „podoki“ — pomosty dla składania zboża i siana, a nawet, jak na Nyrczy i poza kordonem, — całe osady zbudowane na palach.

Słabo zaludniona kraina, zapewne bardzo późno, w porówna-  
niu z innymi ziemiami Słowian, doszła do wyższej formy gospo-  
darczej — rolnictwa, wymagającego większych skupień ludzkich, w celach wspólnej walki z puszcza i gromadzenia  
zbiorów w najkrótszym czasie, co nakazywał klimat ich ojczyzny. Wtedy to wytwo-  
rzył się odrębny poleski typ archi-  
tektoniczny, obecnie coraz więcej zanikający. Prawdopodobnie wziął on początek od zabudowań, po-  
wstających w „horodyszczach“ t. j. grodziskach miejscowych ksią-  
żąt, którzy, posiadając stałe dru-

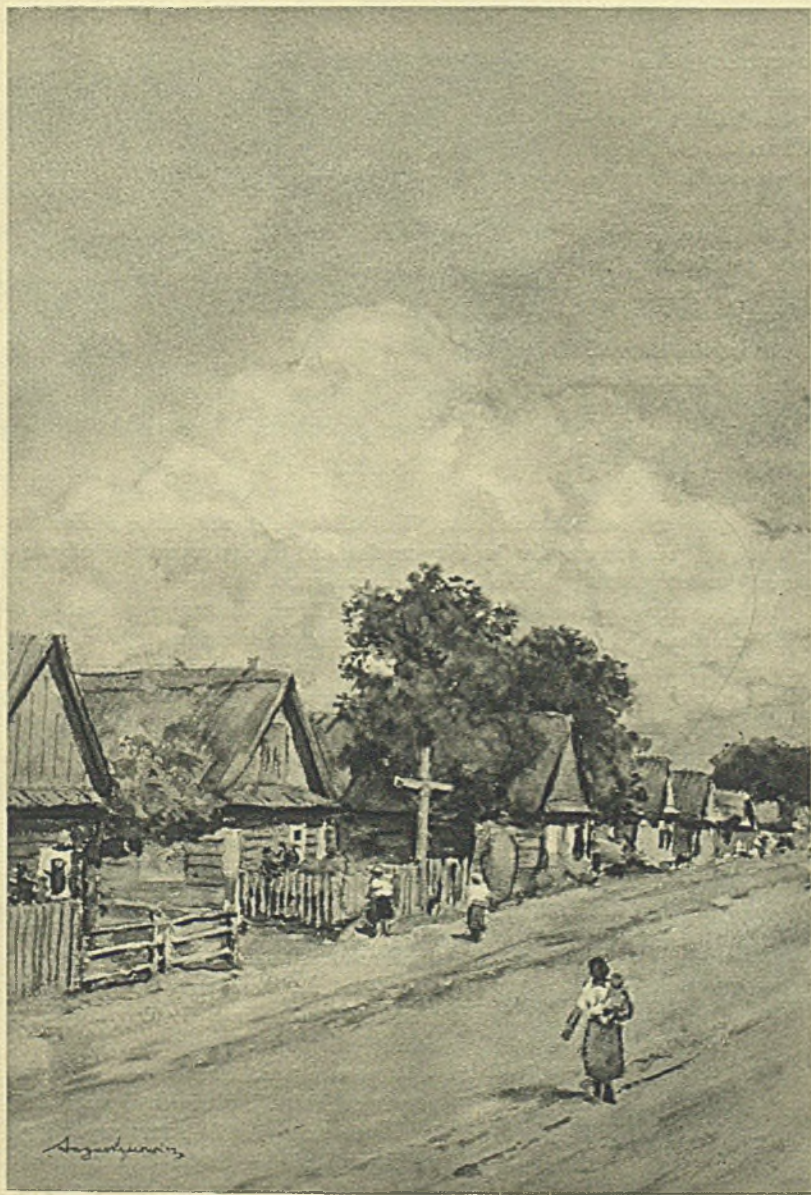


*Sami trą drzewo —*



*— sami dom budują*





*Wiejska ulica*  
(wg. akwareli Augustynowicza)



żyny, zmuszeni byli wznosić budynki — mieszkalne, gospodarcze a i obronne. Owa swoista architektura Polesia zrodziła się niezawodnie w Pińsku, Turowie, Stucku, Dawidgródku, Włodzimiercu, Kożanigródku, Kamieńcu Litewskim i Chomsku. Spotkać ją można nie tylko nad Prypecią i Horyniem,



*Stodółka z gołębnikiem*

ale nawet na ostrowach błot Wołochowych, nad Lwą, Mostwą i Stwigą, jak też na skraju Hryczyńskich bagien, przeciętych rzekami Śmierć, Cna i Łań i ich licznymi przeciekami.

Najprostszą budowlą, najbardziej zbliżoną do najstarszych siedzib słowiańskich jest kureń. Składa się on z czterech pochyłych ścian, zbudowanych w kształcie dachu, opartego wprost na ziemi, gdzie pomiędzy dwiema kłódami pozostawia się miejsce na tradycyjne „ohniszcze”. Niemniej pierwotnym wytworem budowniczym jest humno poleskie — odpowiadające naszej stodole.

Dach z dranic lub z wiązanek trzciny opiera się na czterech grubych „stwołakach”, belkach, leżących na rogatych dębowych „sachach”,

wkopanych w ziemię. Ściany „humna” tworzą okrągłaki, wiązane na węgiel. Zboże, które się składa w odgrodzonych narożnikach stodoły, leży w tak zwanych „zastaronkach”, a pomiędzy nimi chłopci ubijają z gliny klepisko, które pospolicie nazywa się „tok”.

W pewnym oddaleniu od „humna” stawiają „osieć”, gdzie, w ogrzewanej i przewietrzanej izbie, suszą się snopy; przy parkanie — „tynie” wznosi się „powieć” — szopa, od frontu pozba-



*Szopa na wóz*



wiona ściany; jest to wozownia, warsztat domowy, schronisko dla drobiu. Na chutorze stawia się zwykle budynek z okrągłaków pod trzcinową strzechą — chlew, zastępujący jednocześnie oborę i stajnię, którą nazywają „odryną“, lub „zahorodą“ jeżeli ma strych, gdzie gospodarz składa podręczny zapas siana i owsa — i różne rupiecie.

Najważniejszą częścią chutoru jest dom mieszkalny — chata, a w niektórych częściach Polesia — „chorómina“, co, zresztą, ma oznaczać wytworniejszy już nieco budynek. Domy mieszkalne nazywają kędyndziej „haspodą“, a to dla uniknięcia słowa „chata“, która w tych okolicach oznacza też schron ostatni — trumnę.

Ciasne zazwyczaj i niskie chaty posiadają jedną lub dwie izby, najczęściej bez sieni, z ogromnym piecem w pobliżu drzwi. Piec spełnia tu różne czynności — piecze się w nim chleb i gotuje strawa, na nim dosusza się ziarno, mokre ubranie i obuwie, pomiędzy nim a ścianą, na zapiecku, mięci się, szczególnie w zimie, barłóg, na którym sypia cała rodzina. Gdziekolwiek można jeszcze spotkać „kurne“ chaty, bez pieców, o ognisku, płonącym pośrodku izby, wprost pod powalą, szerniałą

od dymu, który wychodzi przez otwór w ścianie lub przez szczeliny pod okapem. Małe okienka o ośmiu szybkach są cząą trochę mętnego światła. Obok chaty Poleszycy stawiają kleć — budynek nieraz bez powały i okien, zwykle oparty na palach. Jest to skład na odzież, bieleznię, domowe płótno, len, kądziel, mą-

kę i narzędzia. Ta nieodzowna część zagrody poleskiej gra ważną rolę w życiu mieszkańców tego kraju. O ile „humnó“, chlew, nawet „osieć“ odwiedzane bywają przez „nieczystą siłę“ — biesa, który dręczy konie, wicherzy im grzywy i ogony, wiedzimę, czatującą na kobiety, aby im „liczo“ uczynić, wreszcie — przez samego djabła, źródło wszelkich nieszczęść, — o tyle kleć zawsze jest wolna od niewidzialnych a wro-



*Cerkiew z drzewa, blachą kryta, malowana*





*Ulica wsi rzędowej*

gich potęg. Nic więc dziwnego, że miejsce to poświęcone zostało w tradycjach obyczajowych. Staruchy okadzają tu dzieci, dotknięte „ziem okiem”; znachorki dają chorym kobietom niektóre zióła lecznicze wyłącznie w kleci; ciężarna młoducha po pogrzebie krewnego lub sąsiada biegnie do kleci, aby umyć sobie ręce i w ten sposób odpędzić śmierć, która z „pohostu” pójść mogła za nią, jak cień niedostrzegalny. Najwięcej jednak obrządków weselnych związanych są z tym tradycyjnym budynkiem. Tam bowiem wystawiają ślubne „karawaje” (pieczywo) młodego i młodej, aby się oczyścili od złych czarów; stamtąd też rozlega się sygnał wpuszczenia do zagrody „kniahyni”, czyli panny młodej, dobijającego się do wrót orszaku oblubieńca; tam nowożeńiec składa dary dla rodziny przyszłej swej żony; tam wreszcie swachy — „świtylka” i „karawajnica” pod przewodem „pościelnicy” konwojują młodą parę na pierwszą noc poślubną i tą samą ścieżką „od kleci do chorominy” prowadzą małżonków nad ranem, aby ukazać ich — szczęśliwych i zawstydzonych — pijanym, rozbawionym biesiadnikom i oznajmić gościom radosną nowinę, że „młoducha” weszła pod dach męża „czysta, jak biała hołubica”, lub stwierdzić, że dziewczyna przed ślubem nie ustrzegła cnoty. W tym wypadku, jeżeli młody mąż nie weź-



*Kumoszki*



mie na siebie winy, ciężko upita kompanja nałoży rodzicom młodych chomąta na szyję, obleje wodą jej družki i gości wygna za wrota.

Kłec o starannie opatrzonych mchem ścianach, z pułapem, jamą dla rozżarzonych węgli lub nawet z piecem wewnątrz, nazywa się ścióbką i służy do przechowania ziemniaków, kiszonej kapusty i ogórków. Niektóre gospodarstwa posiadają „pohreb” czyli piwnicę, „swyron” — zimowe schronisko dla świń, a przed wejściem do chaty sień, nieraz nawet z małą komorą służącą jako spiżarnia.

Wnętrze chaty jest prawie wszędzie jednakowe. Ciekawym zjawiskiem jest stary pułap poleskiej chaty — nie poziomy, lecz łukowaty, jak wieko trumny. Dokoła izby ciągną się ławy do siedzenia i spania. W kącie, zwanym „pokuciem”, naprzeciwko pieca, stoi stół. W tym tradycyjnym kącie wiszą „bohi” — obrazy święte, ozdobione w zimie ręcznikami, w lecie — kwiatami i jagodami kaliny. Pokucie przeznaczone jest dla najbardziej honorowych gości, którym gospodarze w tem poczesnem miejscu starają się tak dogodzić jadłem, „sztoż czerewom odsunuw stoł”. Na ścianach, w pobliżu drzwi, umocowane są półki drewniane, gdzie baby ustawiają statki domowe. Po między pokuciem a półkami wisi łącznik z żelaznym koszykiem, w zimowe noce zapalają w nim



*Studnia z żórawiem*

suche, smolne łuczywo dla oświetlenia izby, oszczędzając nafty.

Wieś poleska czyli „siele”, jeżeli jest dawnego pochodzenia i powstała na ostrowie, to nie posiada nieraz żadnego planu, — chaty i zabudowania gospodarcze stoją rozrzucone w nieładzie. Natomiast wieś ułokowana na wysokim brzegu rzeki lub na dużym ostrowie, rozwija się podług planu rzędowego, z zachowaniem pewnego systemu w rozmieszczeniu budynków. Na ulicach wiejskich chłopi sta-





*Naczynia poleskie odznaczają się szlachetnym kształtem —*

wiają nieraz wysokie krzyże, przystrojone ręcznikami. Za chatami ciągną się ogrody warzywne, a na ich końcu tkwią gumna.

Tuż za siółem — najczęściej na niewysokim pagórku lub piaszczystej grzędzie, uwieńczonej jednym lub kilkoma drzewami, widnieje zapuszczony, ponury cmentarz, — bezładne zbiorowisko wysokich, cienkich, bezimiennych, zawsze poprzecyłanych krzyży.

Na mogiłach Poleszucy kładą nieraz wydrążone wewnątrz kloce sosnowe lub stawiają wydłużone chatki drewniane, „naruby“, a w nich spostrzec można składane ofiary, naprzykład — w rocznicę śmierci, w dzień „dziadów“ lub na Wielkanoc. Podług starych bowiem wierzeń, w „narubach“ prawie stale przebywają cienie zmarłych, szczególnie zaś w dni „pominek“ — zaduszek.

Wojna 1914—18-go roku, rewolucja w Rosji i czasy nowsze tak gruntownie przetasowały ludzi, przerzucając ich z miejsca na miejsce, że nawet zacofanego Poleszuka, potomka Drevlan, zruszyły z odwiecznej jego siedziby. Jeden z nich widział Marsylję i Paryż, drugi — Nowy York lub płomienne Rio, inni docierali do Persji i Pacyfiku — nic więc dziwnego, że wraz ze straszliwymi, nieznanymi tu chorobami przynieśli oni do swych wsi i chat nowe też powiewy.



*Hafty o motywach geometrycznych zdobią...*





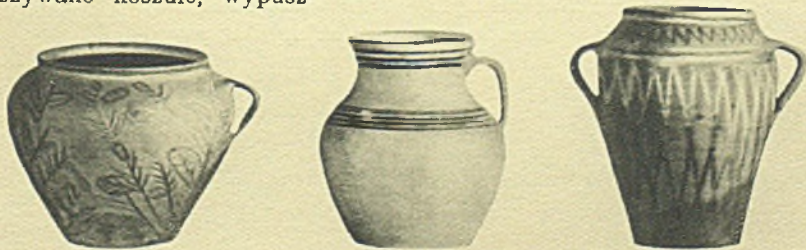
...rękawy lnianych koszul kobiecych

Działalność Rządu Polskiego, szczególnie zaś cywilizacyjne wpływy wojska odgrywają wielką i stanowczą rolę. Wraz z nowymi powiewami szybko jął się zmieniać prastary wygląd wsi poleskiej, a w mających większe ośrodki administracyjne częściach kraju — nawet obyczaje i formy życia, jak na przykład, koło Brześcia, Włodawy, Kobrynia, Pińska i dalej na południe na Polesiu Wołyńskim.

„Architektura“ poleska po kilkunastu latach zniknie zapewne, tak, jak już tu i ówdzie zmieniać się zaczęło ogólne oblicze ludu.

Nikogo już nie dziwią teraz zakradające się tu współczesne stroje, używane tam i sam przez Poleszuków i Poleszanki — garnitury i sukienki z wyrobów białostockich i łódzkich fabryk, półbuciki i pantofelki na wysokich obcasach, kapelusze filcowe zamiast rosyjskich „kartuzów“ i czap, a po miasteczkach „kosmopolityczne“ berety różnokolorowe, noszone przez kobiety. Zapominają one coraz bardziej o wzorzystych chustach — „kosynkach“, przypominających węgierskie ubranie na głowę — „namietkach“ i o jeszcze starszych zupełnie fantastycznych ozdobach z kwiatów i piór, niewiedzieć jakimi drogami ze środkowej Azji zaniesionych aż nad Prypeć.

Pozostały jednak w życiu szaro-bure świtki chłopów, ich szerokie spodnie z „kresłom“, czyli workiem z tyłu, wyszywane koszule, wypusz-



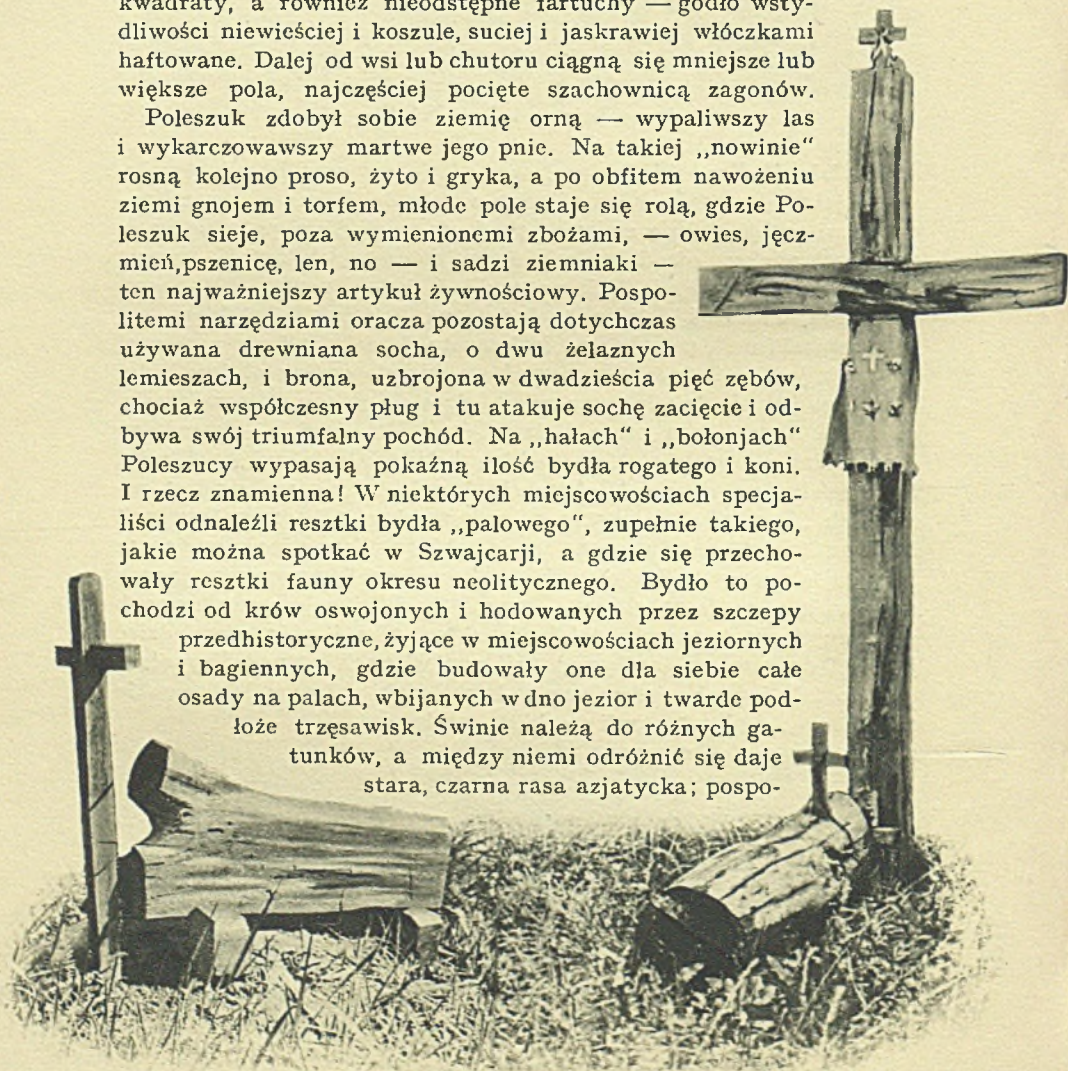
— czarną ceramikę pokrywa misterny rysunek



czony na „sztany“, przepasane czerwonym wełnianym pasem lub rzemykiem, który przechował swą tatarską nazwę „uczkur“.

Kobiety noszą jaśniejsze świtki, przepasywane w niektórych obwodach Polesia barwnymi chustkami; spódnice — andaraki z wełnianego samodziału, wytkanego w pasy lub w czerwono-czarne kwadraty, a również nieodstępne fartuchy — godło wstydlowości niewieściej i koszule, suciej i jaskrawiej włóczkami haftowane. Dalej od wsi lub chutoru ciągną się mniejsze lub większe pola, najczęściej pocięte szachownicą zagonów.

Poleszuk zdobył sobie ziemię orną — wypaliwszy las i wykarczowawszy martwe jego pnie. Na takiej „nowinie“ rosną kolejno proso, żyto i gryka, a po obfitem nawożeniu ziemi gnojem i torfem, młode pole staje się rolą, gdzie Poleszuk sieje, poza wymienionymi zbożami, — owies, jęczmień, pszenicę, len, no — i sadzi ziemniaki — ten najważniejszy artykuł żywnościowy. Pospolitemi narzędziami oracza pozostają dotychczas używana drewniana socha, o dwu żelaznych lemieszach, i brona, uzbrojona w dwadzieścia pięć zębów, chociaż współczesny pług i tu atakuje sochę zacięcie i odbywa swój triumfalny pochód. Na „hałach“ i „bołonjach“ Poleszycy wypasają pokaźną ilość bydła rogatego i koni. I rzecz znamienna! W niektórych miejscowościach specjaliści odnaleźli resztki bydła „palowego“, zupełnie takiego, jakie można spotkać w Szwajcarii, a gdzie się przechowały resztki fauny okresu neolitycznego. Bydło to pochodzi od krów oswojonych i hodowanych przez szczepy przedhistoryczne, żyjące w miejscowościach jeziornych i bagiennych, gdzie budowały one dla siebie całe osady na palach, wbijanych w dno jezior i twarde podłoże trzęsawisk. Świnie należą do różnych gatunków, a między nimi odróżnić się daje stara, czarna rasa azjatycka; pospo-



*Mogilki ciosane z pnia — t. zw. naruby*





*Krzyże rozciągają swe opiekuńcze ramiona nad wsią*





*Ścilenie lnu*

lite woły, nieduże konie, owce i kozy zamykają listę trzody poleskiej. Bydła naogół — dużo. Może tylko w okresie kryzysowym chłopci zaczęli się wyzbywać „towaru“, co wpłynęło ujemnie na ogólny poziom dobrobytu. Bydło wysmienicie się przystosowało do warunków kraju: krowy po kilka razy dziennie przepływają rzeki, udając się na pastwisko, konie, stojąc po szyję w wodzie, spokojnie żują trawę i młode pędy krzaków; znają też dobrze zdradliwość trzęsawisk.

Poleszucki ciągnie zyski z bartnictwa, a i współczesne pszczelnictwo ulowe rozpowszechnia się już w kraju. Miód, wyjęty z barci, uważany jest za „boży“, więc pszczelarz-bartnik częściej nim nietylko sąsiadów, ale nawet każdego

człowieka, spotkanego na drodze; on też składa pewną daninę na grobach zmarłych i oddaje część swych zbiorów na wszelkie uroczystości gromadne, w dni „dziadów“ niosąc miód na mogiły, do „narubów“ cmentarnych.

Chłop poleski uprawia różne rzemiosła, potrzebne w życiu osobistym i zbiorowym. Liczni tu są garncarze, kowale, tkacze, cieśle, stolarze, garbarze, szewcy, krawcy, bednarze, kłodzicze, kożusznicy, smolarze, potażnicy i hut-



*Trzepanie konopi*



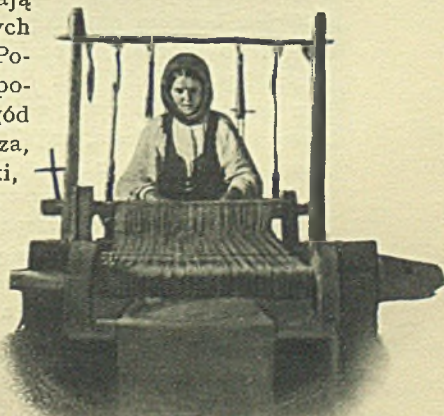
nicy, którzy niedawno jeszcze z leżącej pod torfami rudy darniowej wytapiali żelazo. Bardzo dziwnym wydaje się nowy rodzaj rzemiosła — cukiernictwo, a szczególnie wyrób lodów, co się skoncentrowało w Dawidgródku nad Horyniem. Miejscowi cu-



*Warsztat tkacki*

kiernicy odznaczają się sprytem i wielką przedsiębiorczością. Spotkać ich można wszędzie — na ulicach Warszawy, w Zakopanem, Lwowie, Wilnie, a przed wojną — w całej Rosji aż po Wołgę, bo ten „słodki przemysł“ gwarantuje dawidgródceckim cukiernikom stałą i znaczny dochód; oczywiście jest to przemysł tylko sezonowy.

Kobiety mają tu też swój zakres pomocniczych rzemiosł, a wśród nich — na pierwszym miejscu postawić należy kulturę lnu i konopi, przędzalnictwo, hafciarstwo i tkactwo, które dostarcza różnych gatunków tkanin — od pierwotnej, grubej „dzierugi“ aż do cienkich płócien — „kuźeli“. Wraz z mężczyznami wyplatają baby obuwie i kobiałki z lyka i prętów wiklinowych, pracują starannie w ogrodach i rzadkich jeszcze sadach owocowych. W zakładanych przy chatach ogrodach sieją boby, groch, soczewicę, mak, konopie, rzepę, cebulę, kapustę, buraki i dynie. W drobnych sadach, dogładanych przez kobiety poleskie, dojrzewają czereśnie, wiśnie, gruszki i jabłka, których kulturę popierają władze i ziemianie — Polacy. Agrest i porzeczki są tu dość pospolite, lecz największej ilości owoców i jagód dostarczają Poleszukom ich łąki i puszcza, skąd Poleszanki biorą maliny, poziomki, kalinę, borówki, czernice, żórawiny, jeżyny a także różne grzyby, dzikie gruszki na ulęgałki i także jabłka, które gospodynie wiejskie dodają chętnie do kiszzonej kapusty. We wszystkich tych czynnościach mieszkańców Polesia zawsze gra wybitną rolę twórczy ogień.



*Tak powstaje płótno*





*Przystrój głowy  
t. zw. kokosznik*

wilkami pędzi poprzez zarośla „hałów i zamarzłych „niet“, śmiercią nieuchronną nawiedzając łęgi bezradnych, przerażonych wilków.

Tak! Trudno jest wyobrazić sobie Poleszuka, czy to w domu, czy w polu, puszczy, kurenium lub na tratwie, — bez pomocy ognia.

Zbratał się on z nim, żyć bez niego nie może, niema mu nawet za złe, jeżeli dziecko lub baba wyzwoli go nieostrożnie z „jamek“, gdzie w piecu poleskim w dzień i w nocy przechowuje się „żar“, a on w bujnej swawoli z dymem puści cały chutor, — nawet i to zniesie Poleszuk i wybaczy, że mu mienie, krwawicę jego zabierze.

Ogień bowiem dla niego — to jedyny, serdeczny, potężny druh! Posłał go ludziom, zaczajonym w bagnach i puszczech, sam Dadź-bog — syn Swaroga i uczynił zeń patrona, nowy żywioł Polesia, najbliższe bóstwo, wciąż otaczane po chatach.

Siedziły poleskie powstawały i powstają obecnie wszędzie, gdzie bagno i woda cofa się i pozostawia suchsze miejsca, lub gdzie dawne lodowce, a po nich — wylewy rzek i wiatry, nagromadziły

On — to wrywa puszczy polacie ziemi ornej; on — ukryty w „dymokurze“ odpędza od ogrodu, sadu, bydła i ludzi, pracujących na rzekach, łąkach i w borze, gryzące muszki, drapieżne bąki, i inne szkodliwe owady; on wygania pszczoły z barci, bucha pod miechami i wytryska z pod młota kowalskiego; on nadaje barwę, połysk i trwałość wyrobom garncarza; bratem mu smolarz, hutnik, a gdy przyjdzie do ostatecznych porachunków pomiędzy sąsiadami, staje się narzędziem zemsty i napadu, gdy przeistoczywszy się w „czerwonego koguta“, miotać się zacznie nad chatą i polem wroga, pożerając łany, smolne belki i trzciniowe strzechy chat, odryn i kleci, lub gdy w zwarze walki z



*„Namiotka“, zawój głowy*



grzędy piaszczyste. Do dnia dzisiejszego pozostały jednak olbrzymie przestrzenie — gdzie nijak niemożliwym jest założenie osiedla.

Rozpiera się tam pustynia bezludna, tająca w sobie niebezpieczne bezkresne trzęsawiska, okna głębokie, haszcze nieprzebyte.

Zrzadka zagląda tu człowiek. Chyba że go tu potrzeba przygoni.

Jeżeli jest rybakiem, — sunie bez hałasu w długiej, zwrotnej „czubarce“ i rzuca sieć do nieznanej toni czarnych „rieczyszc“ i jeziorok, uśpionych za ścianą czorotów i nieruchomych w oplocie zielonych liści lub białych kwiatów wybujałych wspaniale nenufarów. Ani wiosłem pluśnie, ani słowa nie wypowie — jak duch się jawi.

Jeśli to łowicc zabrnę na te „pustacie“ i „nietry“ i ujrzy tam trop zwierzca, czy też posłysz głośy licznego ptactwa, to skleci kureń a najczęściej wprost — „stienkę“ — pochyłą, opartą na dwóch rozwidlonych pniakach ścianę z drągów, byle jak okrytych sitowiem.

Zapłonie przed nią niebawem rozwichrzzone, kędzierzawe, zawsze bujne dziecię Dadźbogowe — ognisko i stanie się znamieniem znojnej



*Pranie płócien*

pracy łowcy i rybaka, a zarazem śmierci dla istot, w kniei, na topieliskach i w toni ciemnej żyjących w ukryciu.

Wolny, bowiem, człowiek lasów i bagien nie zna i nie marzy o wygodach, a natura jego żąda zdobyczy przez mozół i trud.

Krzyczą w duszy jego i we krwi prastare zewy, gdy przodkowie jego pędzili żywot koczowniczy, skradając się tropem tura, łosia



i niedźwiedzia, aż hen — nad Pejpus — na północy, a szlakiem ryb — na Dnieprowy rozlew — na południu!

Kto wie, czy nie ogień to osiedlił po ostrowach najdawniejszych Poleszków — tych, którzy byli gdzieś w błotnistej ziemi, na brzegach swoich „rieczyszcz“ lub w kniei?

Być może, pożary leśne, tak często szalejące w tym kraju pasterzy i łowców, tam i sam wypaliły i wysuszyły znaczne połacie borów i mokradeł, a Poleszucy, zbaczni na wszystko, co daje korzyść, postawili tam swe kurenie, a potem, gdy rodziny stały się liczniejsze, — klecie i „swyronie“ — wszelkie chutory ze zwykłymi zabudowaniami.

Ogień również dostarczył najpierwszych i najpotrzebniejszych nawozów — popiołów, pozostających po wypalonych torfach i drzewach.

Bujnie wyrastały na pogorzeliiskach i wyżarach trawy wszelakie, zielska i chwasty, a Poleszuk, patrząc na to, spróbował ruszyć sochą ugory dzikie, rzucić w odwalone skiby ziarna żyta, jęczmienia i lnu. Tak to powstać mogły pierwsze pola dawnych ludzi leśnych.

Wszystko tu, zda się, źródłem swem ma ogień. Czy ten, który złocistymi strugami spływa z oblicza słońca — Jariły, czy też ten, który zakłęty wołą człowieka, czai się i czeka cierpliwie, ukryty pod szarą warstwą popiołu w „łuszce“ na przedpiecku.

Ogień — to fetysz poleski, potężny, dobrotliwy bóg lub zawsze wierny, choć nieraz buntowniczy i drapieżny bożek domowy, ujarzmiony i do pomocy człowiekowi przez Jarił-ojca dany.



*Jesienią w polu z nawozem*





*Kościół w Dąbrowicy*

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### WIARA I WIERZENIA



*Cerkiewna Bogurodzica*

Po długim panowaniu prastłowiańskiego Swaroga i Dadźboga, bogini Lado i przez Waregów przyniesionego tu Peruna-Thora, od strony Rusi Kijowskiej zawitała wiara chrześcijańska, a w końcu urzędowo umocniła się na Polesiu cerkiew wschodnia. Cios jej zadała unja kościelna, w r. 1596 zawarta w Brześciu nad Bugiem, lecz po powstaniu r. 1863-go z biegiem czasu została tu niemal doszczętnie wytępiona. Lud polski krwią i męczeństwem w katogach syberyjskich i więzieniach Rosji północnej, długo jeszcze stwierdzał przynależność swoją



do Polski katolickiej, demokratycznej, uznającej w najściślejszym tego słowa znaczeniu wolność sumienia. Prawosławie powróciło, energicznie per fas i nefas podtrzymywane przez administrację rosyjską i służalczy kler. Wydawało się, że cerkiew wschodnia zwyciężyła, lecz było to zwycięstwo pozorne, chwilowe i zupełnie powierzchowne.

Zbyt bowiem głęboko w duszę ludności poleskiej zapuściły swe korzenie prastare wierzenia pogaństwa słowiańskiego, nad Prypecią tak, jak nad brzegami Kamy, ukrywające się aż do XX-go wieku; nie wymarły tu też tradycje unickie, zazdrośnie strzeżone przez wynarodowioną niemal doszczętnie ludność pochodzenia polsko-litewskiego. Toteż urzędowa cerkiew rosyjska, chociaż rzucała wielkie zasoby pieniężne i czyniła wyteżone wysiłki misyjne, dziwne tu przybrała kształty. Jeden z najlepszych znawców historii cerkwi wschodniej dowiódł, że

prawosławie poleskie jest niezwykle zawiłą mieszaniną chrześcijaństwa bizantyjskiego ze słowiańsko-pogańskimi tradycjami i wierzeniami, co wytworzyło wyjątkowo sprzyjającą glebę dla szerzenia się najdzikszych nieraz i najbardziej ponurych sekt, jak na przykład „kolesnikowców“, nawołujących do „oczyszczenia ziemi krwią ofiarnych samobójców“, a w równej mierze — „skakunów“, „chłystów“, „bezpowców“ i kaleczących swoje ciało „skopców“. Taki stan rzeczy trwał na Polesiu aż do zagarnięcia władzy w Rosji przez komunistyczną Radę komisarzy ludowych, a więc do końca roku 1917-go. Owe lata „bezpańskiego“ bytowania Polesia w stanie anarchji dowiodły, że ludność jego dąży do nawrotu ku pierwotnemu kultowi ubó-



*Zwycięzca półksiężycy  
(z kapticy w Porochońsku)*



*Święta Męczennica  
(w dawidgrodeckiej cerkwi)*





*Ecce homo  
(w cerkwi w Łokwicy)*

łączy się z tem uspołecznienie obywatelskie, powodzenie odbywającej się tu racjonalnej kolonizacji, ożywienie życia gospodarczego kraju i mocne jego związanie z organizmem Rzeczypospolitej.

Władze nasze pamiętają w dzień i w nocy, że na Polesie wpływają i długo jeszcze wpływać będą różne, wrogie nam czynniki odśrodkowe i wywrotowe, posiłkujące się młodem i starem duchowieństwem, z których pierwsze nawołuje do tworzenia szerzącej się w Rosji Sowieckiej „Żywej Cerkwi” — dążącej do ukształtowania autonomicznych komun religijnych i republik Białoruskiej i Ukraińskiej; drugie zaś energicznie podtrzymuje ideały monarchiczne „wielkiej, niepodzielnej Rosji”. Czynną jest też agitacja, płynąca z Niemiec, bo nad Szprewą oddawna zwrócono już uwagę na nieograniczone możliwości ekonomiczne Polesia, jako terenu kolonizacyjnego

stwierdzenia natury i przodków, coś nakształt tego, jak to zostało stwierdzone wśród oficjalnie prawosławnych szczeplów fińsko-mongolskich, zamieszkałych pomiędzy rzekami Wołgą i Kamą a północnymi uskokami gór Stanowych.

Niema w tem nic dziwnego dla ludzi, obeznanych ze światem duchowym Poleszuków. Po rozbiornie Polski przekształcił się on głęboko, a na te zmiany nie mogły wpłynąć ani władze rosyjskie ani skrzępowany i osłabiony element polski. Wolna Polska w znacznej mierze poznała już ten świat i rozumienie duszy Poleszuków uważa za swoje zadanie państwowe, albowiem



*Kapliczka w Kuraszu*



o niezmiernie dogodnych warunkach dla ekspansji przemysłu, kapitału i politycznych planów Germanji na upragniony i wymarzony — a tak pojemny Wschód.

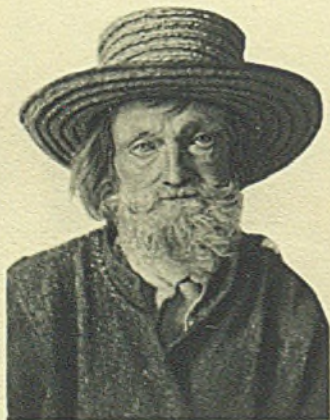
W specjalnych raportach agentów niemieckich znaleźć można szczegółowe badania Polesia i główne wytyczne planu kolonizacyjnego na tym „progu wschodu”. Wszystkie prace, drukowane w języku rosyjskim a oświetlające różne zagadnienia meljoracji Polesia, były starannie gromadzone przez Niemców, studjowane i krytykowane. W swoim czasie jeden z najlepszych znawców Polesia, generał Żyliński, w swoich raportach ówczesnemu ministrowi rolnictwa i dóbr

państwowych A. S. Jermołowowi uprzedzał o niebezpieczeństwie przydzielania do jego ekspedycji fachowców-hydrografów, topografów i leśników o nazwiskach niemieckich. Ostrożny i nieufny generał miał słuszność, gdyż w kilkanaście lat potem jego współpracownicy-Niemcy dowodzili bataljonami armji kajzera, operującej na Styrze i Stochodzie, a teraz zapewne, jeżeli po krwawych bojach pozostali przy życiu, opracowują dalej plan niemieckiej ekspansji na wschód... poprzez Polesie i Wołyń — jako pośrednie jej etapy.

Od wschodniej rubieży w pewnych okresach mniej lub więcej brutalnie i stanowczo napiera jeszcze polityczna ekspansja nowej Rosji Sowiećów, a jej ideologia dość łatwo saczy się do tego kraju, mającego wspólny z nią obieg krwi, odbywający się z biegiem rzek zlewu Dnieprowsko-Czarnomorskiego. Rząd polski przeciwstawia się szerzeniu wywrotowych idei zarubieżnych, przywiązując Poleszuków do Polski drogą wpajania w ludność tego bagienno-leśnego kraju zdrowego pojęcia jej własnych, najżywoźniejszych interesów i wygód. Administracja polska, wpływ wojska i szkoły, współ-



*Stare kobiety leczą —*



*— stary wróż w każdej wiosce*





*Pełne smętku i zadumy są poleskie cmentarze*



działanie ludności polskiej, osiadłej na Polesiu, wykonały już w tej dziedzinie niezmiernie doniosłą pracę.

Najważniejszym zadaniem było uświadomienie i przekonanie Poleszuków, że kraj, zaludniony przez nich, należy wyłącznie i bezpowrotnie do Polski, która nie ma zamiaru zrzekać się swych praw suwerennych do tej części swego państwa. Z tego uświadomienia wypłynęło istotnie przeświadczenie o konieczności podporządkowania się prawu polskiemu i o niezbędnej z państwem współpracy.

W ten to sposób ludność tych kresów przeszła pożyteczną dla obu stron szkołę obowiązków i przywilejów obywatela polskiego.

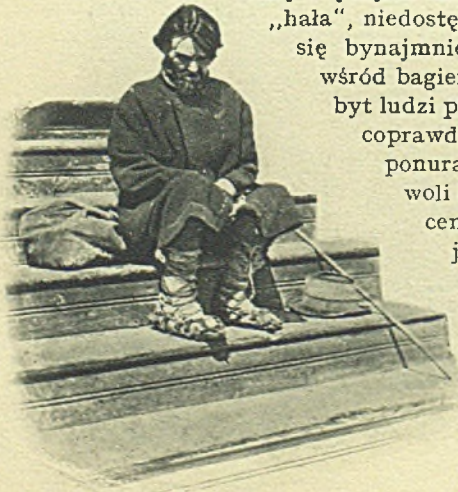
Ta i wyłącznie tylko ta okoliczność unicestwiła propagandę i agitację wywrotową i dywersyjną, w znacznym już stopniu zbliżając ideologicznie i psychicznie Poleszuków do reszty obywateli polskich.

Praca w tym kierunku trwa, a społeczeństwo rdzennie polskie mogłoby i powinno byłoby z wyteżoną energją dopomagać w tem rządowi centralnemu i władzom miejscowym.

Świadomość tak ważnych zagadnień wymagała od Polski jaknajgłębszego zrozumienia nie tylko potrzeb ludności tubylczej, lecz na pierwszym bodaj miejscu — jej duszy, niełatwej do poznania.

Dusza ta ciemną stała się i nieufną, chwilami — nienawidzącą, chciwą i chwiejną, chociaż zdolną do przyjęcia sercem pięknych porywów, czego dowiodły oba powstania. Tak wychowały ją i ukształtowały dzieje Polesia od tragicznej chwili rozbioru Polski, do okresu, gdy grzmiały tu działa ścierających się z sobą armij, gdy walono wysokopienne sosny i dęby, aby zbudować „nakaty“

dla ciężkiej artylerji. Temi dyławatemi szlakami ten lub inny zwycięzca miał dokonać przemarszu przez grząskie „hała“, niedostępne moczary i „olosy“, nie troszcząc się bynajmniej o dwa miliony ludzi, ukrytych wśród bagien i ciężko walczących o swój nędzny byt ludzi pierwotnych. Nędzę tego życia łagodzi coprawda ciemny, bierny fatalizm, uparta, ponura wiara poganina, że nic nie odmieni woli natury, rządzącej ziemią, wodą, słońcem, wiatrem i człowiekiem. — Natura jest matką najlepszą i macochą najokrutniejszą. To ona dała ludziom trujący „blokot“ i „czemier“, powodujący nagłą śmierć, a zarazem lek, skuteczny na ugryzie-



*Wędrowny wróż*





*Kościółek w Lachowiczach*





*Dzwonica w Wielkiej Hłuszy*

dziewięciu piór z lewego skrzydła czarnej kury, lub smarowania członków „strojem” — tłuszczem niedźwiedzia, bobra, borsuka i jeża — tem „panaceum” znachorów poleskich, przechowujących w tajemnicy magiczną wiedzę drewlańskich, awarskich i mongolskich czarowników — „wołchwów” i zaufanie do sił przyrody.

Badając te stare gusła i „czary”, mimowoli przychodzi na myśl, że nie na tych zrodziły się one bagnach. Raczej przyniosły je tu jakieś podmuchy z równiny syberyjskiej, z jałowej tundry północnej, ze stepów. Tam znają również ów trujący „błokot” i „czemier”, a szamani leczą „dywaną” i „czeredą” i znają tajemną moc palonych piór czarnej kury i łoju zwierząt, na zimowe leża kryjących się w norach, gdzie śpią do pierwszych zewów wiosny. W kureniach, po chatach, po zmurszałych młynach wodnych i w innych

nie jadowitej żmiji; posiała po rozległych „ihryszczach” krzaczasty „borodacznik”, „czeredę”, „huskę” i „dywanę”, niosące ulgę pozostawionym bez opieki lekarskiej kobietom przy połogu; rzuca tam i sam zioła i trawy pożyteczne dla słabych dzieci i ludzi, chorych na gruźlicę, reumatyzm, ból zębów, gardła i żołądka; posiała też inne — pomocne na liszaje, wodną puchlinę, zimnicę i przeziębienie, a potężne niemniej, niż podkurzanie cierpiących na padaczkę dymem od



*W niedzielę*



miejscach, znanych tylko rybakom i łowcom, żyją też dawne czary, „zahowory“, „zasiekania“ i „uroki“, gdzie sędziwy kołtuniasty dziad lub w kabląk ku ziemi przygarbiona starucha umie zamówić wszelką „bolaczkę“, „kryw“, nocne zmyry, „pad“, febrę, różę, nieznośny ból zębów, lub też stosownym „zahoworem“ dopomóc w cierpieniu położnicy, zagasić pożar, odnaleźć zbłąkane na nietrach bydło; ci to praslówiańscy „wołchwy“, znachory i znachorki przyrządzają „lubczyki“ niezawodne, mieszając korę zrośniętych ze sobą dębu i brzozy, gotują „małoczjak“, aby krowy dawały dużo tłustego mleka, sprzedają talizmany, aby ule pełne były miodu, aby strzelba biła celnie i śmiertelnie, aby pszczoły się roiły, a ryba, jak oszalała, parla do „jazów“ i sieci rybaków. Niema wioski i chutoru, gdzieby się nie krył przed okiem popa i władz wieszczbiarz lub wieszczbiarka, wróżący ze słońca, księżycy, gwiazd, pogody, biegu rzeki, lotu i głosu ptaków, ze snów a. nawet na modłę szamańską — z trzewi i kości barana i wicprza. Cóż więc dziwnego, że dusza i umysł Poleszuka mało mają wspólnego z wzniosłą ideą chrześcijaństwa. Bagienny-leśny człowiek przekonany jest, że Bóg stworzył świat i wszystkie istoty żyjące, że im wyznaczył losy, których nic nie jest w stanie zmienić. Poza to Bóg nie miesza się do spraw ludzkich, baczy tylko, aby nie gwałcono ustalonych świąt i postów. Wogóle zaś mieszkańcy Polesia nic nie wiedzą o Bogu — karzącym i wynagradzającym, choć mają też swoje pojęcie o grzechu. Dziwne są to jednak pojęcia! Zniszczyć ogniem sąsiada, kaleczyć jego bydło, zakatrupić nieprzyjaciela zapomocą czarów i „zawitków“, spowodować nieurodzaj na polu lub „naklikać“ chorobę na całą rodzinę nieprzyjawnego sąsiada — to naturalny akt zemsty, lecz nie grzech. Natomiast straszny, brzemenny w ciężkie skutki popełnia się występki, jeżeli nazwać po imieniu księżyc, Prypeć, ogień,



*Ręcznik wotywny*



zalać płomień wodą, lub spalić w nim chleb; biec podczas grzmotu, pluć do wody; uderzać w „ciężarną“ na wiosnę ziemię, zabijać jaskółki, gołębie i bociany, podbierać pszczoły z cudzej barci... Są to naprawdę śmiertelne grzechy, mszczące się na ludziach! Świętych pańskich Poleszucy szanują bardzo mało, chociaż są oni dla nich



„Zwiastowanie“ — Stary obraz cerkiewny

„bogami“, lecz zato o „dziadach“ i „babach“ — cieniach zmarłych przodków pamiętają nietylko w cztery ustalone tradycją dni roku, gdy duchy nieboszczyków napływają z „nawi“, czyli świata pozagrobowego, ale prawie zawsze, szczególnie zaś na „radunicę“, gdzie na grobach i „narubach“ Poleszucy urządzają wspólną z cieniami stypę.



Ludność do cerkwi chodzi pod przymusem popów, albo dla rozrywki w dni świąteczne, bardzo oszczędnie składając ofiary dobrowolne; w tym samym czasie jednak ofiary na cześć zmarłych — od bogato haftowanych „zawisek“, zdobiących szerniałe, pochylone krzyże na grobach, aż do mięsiwa, miodu, ciasta — są bardzo obfite;



*Obraz w cerkwi w Cypcewiczach Wielkich*

takie też daniny składają na uczczenie ognia i rzeki; swoją część darów pobierają również niebezpieczne miejsca rozstajne, topielcy, bicsy domowe, duchy leśne — lesowiki, rusalki, szczególnie w dniu „rozybry“, gdy szukają podatnego na ich wołania młodzieńca, aby dał się wciągnąć w zdradliwą topiel i zginął obezwładniony czarem





*W niedzielę radzą mężowie...*

baje on później pełnym łęką szepceniem przerażonym, ciemnym sąsiadom, zgromadzonym w izbie, gdzie, dymiąc, potrzaskują smolne szczapy w „łuczniku“, a za ścianą to łka, to śmieje się urągliwie zamieć śnieżna, dodając jeszcze grozy słowom opowiadającego.

Śmierć, tę najstraszniejszą dla Polepszuków zmore, spowiła czarna chmura siwych wierzeń. Zabity na wojnie lub od pioruna, kobieta, zmarła podczas porodu, — idą do nieba. Biada, jeżeli żyjąca istota przeskoczy ciało nieboszczyka, lub przeleci nad niem. Zmarły będzie chodził po nocach i straszyl. Jeżeli jednak wypadło komuś trupa przekroczyć, można przebłagać nieboszczyka, osypawszy go makiem — „wiedunem“, bo wtedy dusza jego, co to jest „bu dymok, bu duszok“, odleci spokojnie; to samo zaleca się czynić przy konaniu wiedźmy, która za życia „zawitki zawiwaje, tiahnie spur z żyta, z korow mlisko“.



*...rajcuja niewiasty*



Ileż to starych zabobonów i obyczajów wykonywa się po wsiach poleskich dla kobiet przed położeniem i przy porodzie, a potem dla noworodków?! Iluż nieszczęść stały się one przyczyną!

Po wydaniu na świat niemowlęcia położnica trzykrotnie dotyka jego ust swoją piętą, krwią własną znaczy je czterema krzyżykami, a „puporiezna baba“ pomagająca przy porodzie, obnosi dziecko dokoła nogi od stołu, aby wieczorem przy pierwszej kąpeli wyłowić wrzucony do misy pieniądz, kilka węgielków i okruchów z pieca.

Chrzest, „zliuki“, oczyszczenie, postrzyżyny i pierwszy rok wychowania dziecka — poza oficjalną stroną sakramentu — niema



„Jordan“ — uroczyste święcenie wody pod krzyżem z lodu

nic wspólnego z chrześcijaństwem, bo zagłusza je ponure echo czasów przodków drewniańskich i najeźdźców, niegdyś panoszących się tu wszechwładnie. Pozostał po nich stary, niewytępiony obyczaj.

Obrzędy weselne tchną również sędziwą przeszłością. Swaty wraz z rodzicami kniahyń — narzeczonej „zapijają“ ją na znak przyjęcia oświadczyń „kniazia“, a panna młoda, idąc do ślubu, rzuca ulegałki po każdej drodze i ścieżce, aby nikt jej nie urzekł; w tym też celu przez cały czas uroczystości weselnych w domu rodziców i męża nosi przy sobie talizmany — magiczne ziele „odkaśnik“ i „wiedun“ na odpędzenie nieszczęścia i czarów.



W obrzędach weselnych dopatrzyć się tu można prastarych słowiańskich zwyczajów — od śladów „umykania” — porwania dziewczyny aż do kultu bogini płodności Lado i Swarozycza Dadźboga — Jarily — pierwszej w postaci pieczywa w kształcie ptaszków, drugiego w ozdobieniu weselnych „korowajów” obwarzankami — pierwotnym wizerunkiem „słonecznego koła”. „Miesiac” — sierpowaty rogal, wypiekany w domu młodego, „szyszka” talizmaniczna, przyrządzana



*Stary znachor*

przez pannę młodą i noszona przez nią za pazuchą — posiada również cechy starodawnych zwyczajów i kultów, nie mniej niż tchnące zgrozą wspomnienia o krwawych najazdach książąt litewskich. Świadczą o tem pieśni weselne, jak, na przykład, śpiewana przy „obrobie wrót” domu oblubienicy pieśń:

Nie nastupaj, Litwa,  
Bo bude z nami bitwa!  
Sikćmo da rubaciemo!  
Da dziewczoczki nie dawaciemo!

Czyż nie tchną łękiem kobiecego niewolnictwa jęklliwe zawodzenia, rozpacz i łzy, odjeżdżającej z domu „mołoduchy” i jej pieśń pożegnalna przed przenosinami z domu rodzicielskiego:  
Dobranocz, maci, dobranocz!  
Da użeż toj dobranocz — nie na nocz,  
Da użeż toj dobranocz na wieś wiek...

Czyż nie pozostawili tu dziedzictwa koczowniczy stepów azjatyckich w takich obrzędach, jak przybycie drużyny

„kniazia” do wsi panny młodej, skupowanie druhen, „pierzwa”, posadziny, pokrycie twarzy dziewczyny, zwięziny, pokładziny przy licznych piosenkach swach, wreszcie okazanie gościom i sąsiadom wyprawy i weselnych podarunków nowozaślubionej dziewczyny?

Ileż to można znaleźć ech minionej, siwej przeszłości w obyczajach i obrzędach tego ludu, tak bardzo konserwatywnego.

Rozbrzmiewają one od pierwszego miesiąca ciąży matki, od urodzin nowego Poleszuka i poprzez całe jego życie, aż do chwili śmierci, gdy legnie on na „pohoście”, w nędznej „domowinie”, pod „narubem”





*Strzeliste sosny poleskiego lasu*





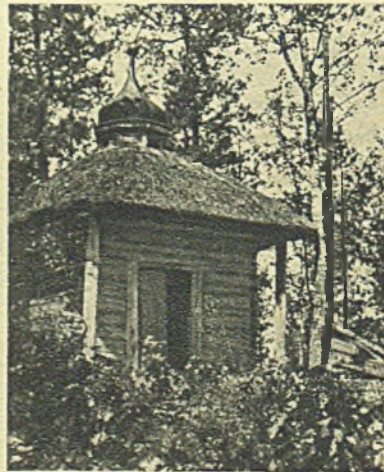
*Kapliczka budową kleć...*

lub zgrubsza ociosanym krzyżem granitowym, — do zagadkowych prasłowiańskich „bab kamiennych” tak bardzo podobnym.

Te same echa rozlegają się wyraźnie w obrzędach dorocznych, jak „dziady” — zaduszki, „radunica”, wiosenne „striczanje”, św. Jurja, gdy to o wschodzie słońca ludziska tarzają się nago po rosie, jak rusałczany tydzień, gdy kąpać się nie wolno, bo po rzekach i jeziorach „rusauki ihrajuć” — wreszcie na Iwana Kupalę, gdy w ogniach, płonących wszędzie po błoniach i skrajach lasów „pałą

wiedźmy”, czynią złe i dobre czary, zbierają zioła lecznicze i magiczne, szukają „żar-ćwieta” — ognistego kwiatka paproci, rozkwitającego nad skarbem, którego strzeże sam „lichij”, djablisko w własnej, straszliwej postaci. — Osobliwa to noc!

Niektóre z tych zwyczajów i zabobonów wspólne są innym szczerpom słowiańskim, a nawet skandynawskim, lecz wyczuć się daje zasadnicza i w szczegółach widna różnica. Polacy, Rusini z Małopolski, Czesi i południowi Słowianie przechowali te stare obrządki gwoli tradycji, dla uprzyjemnienia codziennego i pracowitego życia, dla zabawy i rozrywki, nie przywiązując do nich żadnego głębszego znaczenia, a już najmniej mistycyzmu religijnego. Obrzędy te i czynności, tradycyjnie połączone z pewnymi porami i dniami roku, wykonywane są na wesoło, z uśmiechem figlarnej pobłażliwości dla ciemnoty dalekich, dawno zapomnianych pradziadów i dla dawnych wierzeń. Zupnie inaczej czuje się w takie dni człowiek z nad Prypeci, Piny, Słuczy!



*..lub lamus przypomina*





*Kaplica-studnia — t. zw. świata studenka*

Dla niego zamknął się w nich cały tajemniczy kosmos jego życia i doli. Ponurym, strasznym mistycyzmem wieje nań sama nazwa tego lub innego obrządku lub dnia; widzi on poza zewnętrzną ich stroną treść tajemną i przerażającą, która może runąć na niego, zmiążyć i zniweczyć, lub stać się dobroczynną, jeżeli dawnym zwyczajem dokona on przekazanych przez przodków czynności niezrozumiałych, lecz pełnych siły magicznej, obezwładniającej złe duchy niewidzialne larwy, służebnice Mary, bogini okrutnej i ponuro groźnej.

Czyż mógłby na te obyczaje innem okiem spoglądać człowiek bągiennie-leśny — rybak, który w czarnej toni „rieczyszczu“ widzi blade-sine kształty rusalek, wabiących go nagością wybujałych piersi i złocistymi strugami włosów? Czyż zdolny byłby nie wierzyć wieszczbom i „zahoworom“ starych wołchwów i wróżbitek łowiec, w mroku puszczy spostrzegający niesamowity trop „lesowika“, wilkołaka i samego djabła, a w niepogodne noce jesienne, w poświęście i porykach wiatru słyszący pogwar, jazgot i wycie wicdźm, dążących na nieznaną nikomu „Albordź“ poleski — „Owidiasowu horu“, aby nabrać tam sił na „zawitki“ i „załomy“, na „uroki“ i czarną dolę.

Wszystko wokół Poleszuka pozostaje tajemnicą, grozą i ponurą mistyką pogańską, toteż okrywa on nawet obrządki chrześcijańskie mchem i śniedzią starej słowiańszczyzny Swaroga, Peruna i Kupała —



Groźne bożyszczce w zielsku całe,  
 W gałązkach z bylicy —  
 Na znak święta, jak bogowie,  
 Wieniec zielony ma na głowie  
 Od pierwszej dziewicy.

I jeżeli w cerkwi, bijąc pokłony do ziemi, powtarza Poleszuc bezmyślnie i uparcie razporaz:

— Hospodi, pomiluj! — to przez cały dzień, przez cały rok i po-przez całe życie dusza jego z bezkresną, przerażającą świadomością zgrozy, bezdźwięcznie a namiętnie woła w ciemną toń przeszłości i w jeszcze czarniejszy mrok nieznanego jutra:

— Dadźboże, Swaroże, Łado i Maro z Jariłą — kraśnem słońcem — stare bożyszczca praocjów — strzeżcie mnie i chrońcie — od rusalek na topieliskach, od leśnych duchów — po uroczysszczach, od biesów — po ciemnych kątach łąźni i zakromach odryny, od wszelkiej siły nieczystej, krwi naszej ludzkiej łaknącej!

Wysłuchały tego błagania stare bożyszczca i dały mu wiarę w wołchwów, w czary, dobre i złe ziela, „zahowory“ i „uroki“ i z niemi — to poszedł człowiek lasów i bagien przez życie — twarde i nędzne, jak suche, łamliwe „żabry“ na pustaciach, ściętych mrozem, jak owe spróchniałe „naruby“ na dawno zapomnianych „pohostach“.



*Haft na płótnie*





*Kościół Jezuitów w Pińsku*

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### RUS, POGON, ORZEŁ BIAŁY



Poleszuk posiada charakter nieufny, mrukliwy, mściwy i nieraz drapieżny. Zgadają się z tem opisy wszystkich pisarzy i wogóle ludzi, z mieszkańcami bagiennolesnego Polesia dobrze obznajomionych.

Charakter tego szczepu na pierwszy rzut oka nie jest pociągający i, jak słusznie zdawaćby się mogło, niełatwy do kierowania.

Nie oskarżajmy go jednak o to i nie składajmy wyłącznie na Poleszuków winy.

Dzieje bowiem i losy tej ziemi uczyniły ludzi z moczarów takimi, jakich ich pod

*Ryngraf starego, poleskiego rodu polskiego*





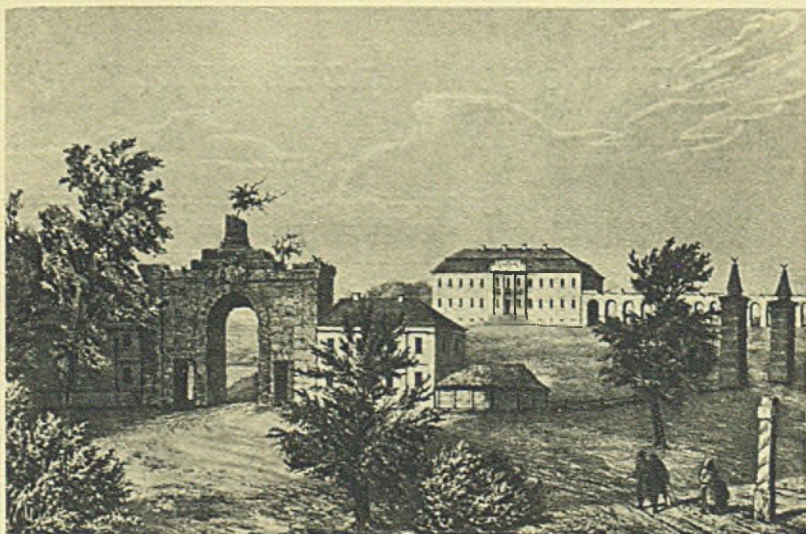
*Sapieha, fundator kościoła  
w Kodniu — wg. starej ryciny*

grodu lub Moskwy; glucho też o dziejach chrześcijaństwa św. św. Cyryla i Metodego w tym kraju, przeciętym siecią dopływów

swą dobrą, opiekuńczą rękę przyjął Rzeczpospolita Polska.

Ruś Kijowska, a potem Moskiewska — uważała Polesie za kraj obcy sobie, poddany atakom zaborczości swych kneziów, którzy zrozumieli i dostatecznie ocenili obronne znaczenie tej ziemi, aby z zaciekłością prawować się o nią najpierw — pomiędzy sobą, a później jeszcze bardziej zajadłe z Litwą i Polską.

Już dane, znajdujące się w kronice Nestora i Mitrofanesa, a poświęcone wojnom Igora i Olgi na Dnieprze i Prypeci, dowodzą, że Ruś parła na Polesie w zamiarach podboju i zaborów. Niewiadomo



*Pałac w Rozanie — z albumu Napoleona Ordy*

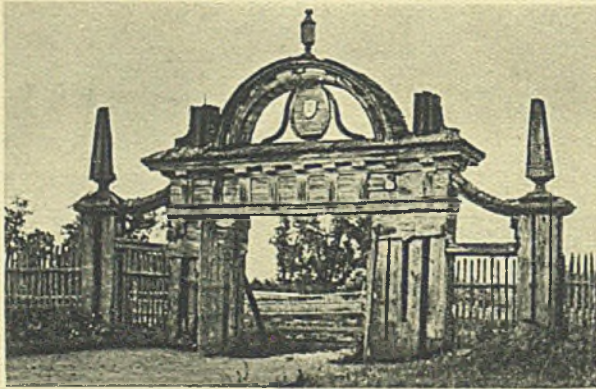




Wizerunek N. M. Panny w Kodniu.

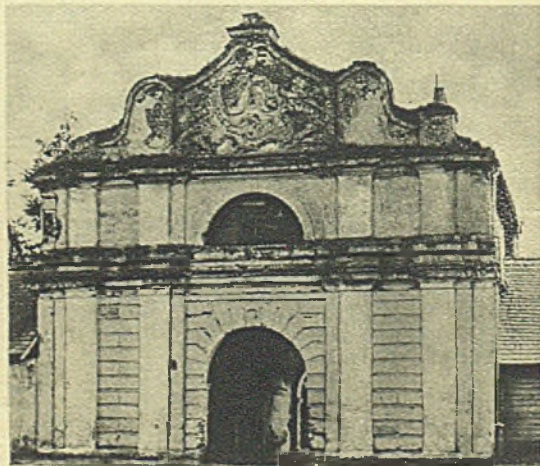
„Malowano mię Roku pięćsetnego Dziewięćdziesiąt piątego z rozkazu Wielkiego Grzegorza; Urban ósmy zaś dał mię Sapieżę, By mi kościół zmurował za kłatwę i więźę Tysiąc sześćsetnego trzydziestego piątego aż Roku, Na zaszczyt onym Polakom z Boskiego wyroku”.





*Brama pałacowa w Kożangródku*

nych grodach — Turowie, Skorościeniu, Kamieńcu i Włodzimiercu — słowem — znany, zwykły obraz polityki zaborczej, w kilka wieków po akcji Rusi na Polesiu uprawianej przez innych najędźców i drapieżników — Krzyżaków na całej przestrzeni południowego brzegu Bałtyku aż po środkową Wisłę, Niemen i Dźwinę. A więc na Polesiu panoszyli się i gwałty czynili zaborcy, z Rusi tu wpadający, a że kniaziewie ościenni walczyli ze sobą, o te bagna i lasy nie troskając się, lub nie mogąc przeciągnąć Poleszuków na tę lub inną stronę, to naturalnym się wyda wniosek, że ludzie bagna i lasu bali się i nienawidzili zbrojnych ciemiężców i zakłóccielu spokoju, panującego niegdyś na hałach, nietrach i w kniei, gdzie przebijał sobie szeroki grąż mocny tur i łoś rosochaty.



*Brama pałacowa w Lubieszowie*

Dniepru; natomiast wiemy o tem, że stawiano tu horodyszczca i wieżycce obrotne — to owe sławne „stołpy“, co aż do dzisiaj trwają tam i sam na swych odwiecznych podwalinach, opartych o granit podłoża; wiemy o mocno waro-



Mendog, Gedymynowicze, potomkowie Kiejstuta i Olgierda po długich i krwawych zatargach wyparli stąd książąt ruskich, a swój znak „Pogoni“ wyryli na murach i bramach w Pińsku, Dawidgródku, Turowie, Słucku, Włodawie, Kobryniu i Brześciu. Powstały tedy nowe, zapewne jeszcze potężniejsze horodyszcza, zamki obronne, wieże, obsadzone przez lud zbrojny i łupu chciwy, lecz co tu zrobili włodykowie litewscy dla ludu poleskiego, co mu dali i co przysporzyli w jego ciemnym i ciężkim bycie, o tem kroniki nic nam nie mówią. Zato pieśni poleskie i białoruskie pełne są wrogich, tchnących nieważnością wspominków o litewskim w dorzeczu Prypeci panowaniu.

Trwało to długo, czyniąc z mieszkańców bagien i puszczy ludzi ni to łos — nieufnych, ni to ryś, drapieźnych, zawsze tajemniczo milczących, jak olbrzymie ryby zlewiska dniewowego, a w porywie rozpacz i gniewu — wściekłych i groźnych, jak niedźwiedź, z barłogu zimowego zruszony.

Wreszcie nastały inne czasy.

Na stolcu wielkoksiążęcym Litwy i na tronie Polski zasiadł mądry pan — Władysław Jagiełło i odtąd nad topielami, borami i łęgami Polesia skrzydła swe rozpostarł Piastowy Orzeł Biały — godło narodu polskiego.

Wprowadziwszy na Litwę i tu utwierdziwszy mocno wiarę rzymsko-katolicką, Jagiełło starał się usilnie rozpowszechnić ją też na Polesiu, co następcy jego czynili również z mniejszą lub większą gorliwością. Wraz z zasadami zachodniego chrześcijaństwa płynęły tu państwowość, ideje i oświata Zachodu, głoszone i ustalone przez najlepszych ludzi owych czasów i przez uczonych, sprawie oddanych misjonarzy zakonnych. Toteż na Polesiu spotykamy na każdym niemal kroku ślady o. o. Paulinów, Benedyktynów, Franciszkanów Pijarów, Jezuitów i Kartuzów, którzy wznosili wspaniałe nieraz świątynie, kolegiaty, klasztory i uczelnie, promieniujące na cały ten dziki wonczas, przez Boga, zda się, i ludzi od wieków zapomniany kraj — i przygotowujące jego kulturalną przyszłość.

Mnisi mieli niezawodnie silne poparcie, skoro dokonać mogli tylu widocznych dotychczas dzieł, a ileż prócz tego niewidocznych po sobie zostawili, — jak naprzykład — coraz obfitszy posiew wiary katolickiej, przenikającej coraz głębiej i oświata wśród ciemnych, upartych w pogaństwie i półpogaństwie dusz i utwierdzenie w kraju najistotniejszych, bo moralnych praw Polski do tej ziemi, co przez długi szereg wieków gnębiona była, krwią zlewana i łupiona bez miłosierdzia!



Tak też działo się w samej rzeczy.

Przez Polesie przewinął się nieskończenie długi korowód wielmożów, w bagnach tych i puszczech rozmiłowanych namiętnie, a oświeconych i gorąco popierających poczynania zakonników świętobliwych.

Osiadały tu przecież z Litwy przybywające, z Rusi i Polski pochodzące rody możne i znakomite: królom równi Radziwiłłowie, Drucy-Lubeccy, Dolscy, Sapiehowie, Skirmuntowie, Ordowic, Puloswscy, Kazanowscy, Leszczyńscy, Krasiccy, Lubomirscy, Ogińscy, Ostrogscy, Gedroyciowie, Sanguszkowie, Czartoryscy, Massalscy, Połubińscy, Tyszkiewiczowie...

Ale któż spisie te nazwiska pionierów i założycieli polskości i zachodniej kultury na Polesiu?! Nikt, niestety, nie skreślił dotychczas dziejów ani tych królewiatek, ani Szyrmów, Paców, Kopciów, Szczyttów, Oleszów, Wołowiczów, Rodziewiczów, Woynów, Terleckich, Białozorów, Kurzenieckich, Zawiszów, Żabów, Ślizieniów, Chreptowiczów, Korsaków i innych — mnogich, a przed ojczyzną niezmiernie zasłużonych.

Niektórzy z wysokorodzonych panów, na Polesiu zadowolonych, opiekę jeszcze możniejszych od siebie ludzi nad tą krainą rozpostarli. Naprzykład — księżęta Ostrogscy i Radziwiłłowie, po kądzieli z Jagiellonami skoligaceni a związani niemi pokrewieństwa z Tarnowskimi, Zamoyskimi, Wiśniowieckimi, Zasławskimi i Chodkiewiczami, oczy królów i potentatów na Polesie zwrócili.

Byli to możni panowie, więc i ślady po nich pozostały wspaniałe: wspomnienia o licznych zwycięstwach na polach bitew, wygranych na wschodnich i południowych krańcach tego „wypadowego“, za jaki go mieli, kraju; wyrosłe z ich fundacji strzeliste wieże i potężne mury kościelne i klasztorne; zamki obronne, rozrzucone po całym kraju; uszlajnione rzeki, jak to uczynił z Uborcią książe biskup Massalski; kanały, bo, jak było już wspomniane, królowa Bona Sforza, małżonka Zygmunta I, przekopać kazała słynny niegdyś „Kozaczy Rów“, który na jej pamiątkę zwie się teraz „Kanałem „Królowej Bony“; wojewoda zaś i hetman litewski — Michał Ogiński i pan podstarości piński — Butrymowicz, którzy w latach 1760—68 wykończyli kanał, przez Jasioldę i Szczarę łączący morze Czarne z Bałtykiem, — wykonali po 100 latach wspaniałego projektu kanclerza wielkiego koronnego — Jerzego Ossolińskiego.

Ten to pan Mateusz Butrymowicz, późniejszy miecznik i sędzia, stolicy państwa i królowi Stanisławowi Augustowi tym kanałem pod





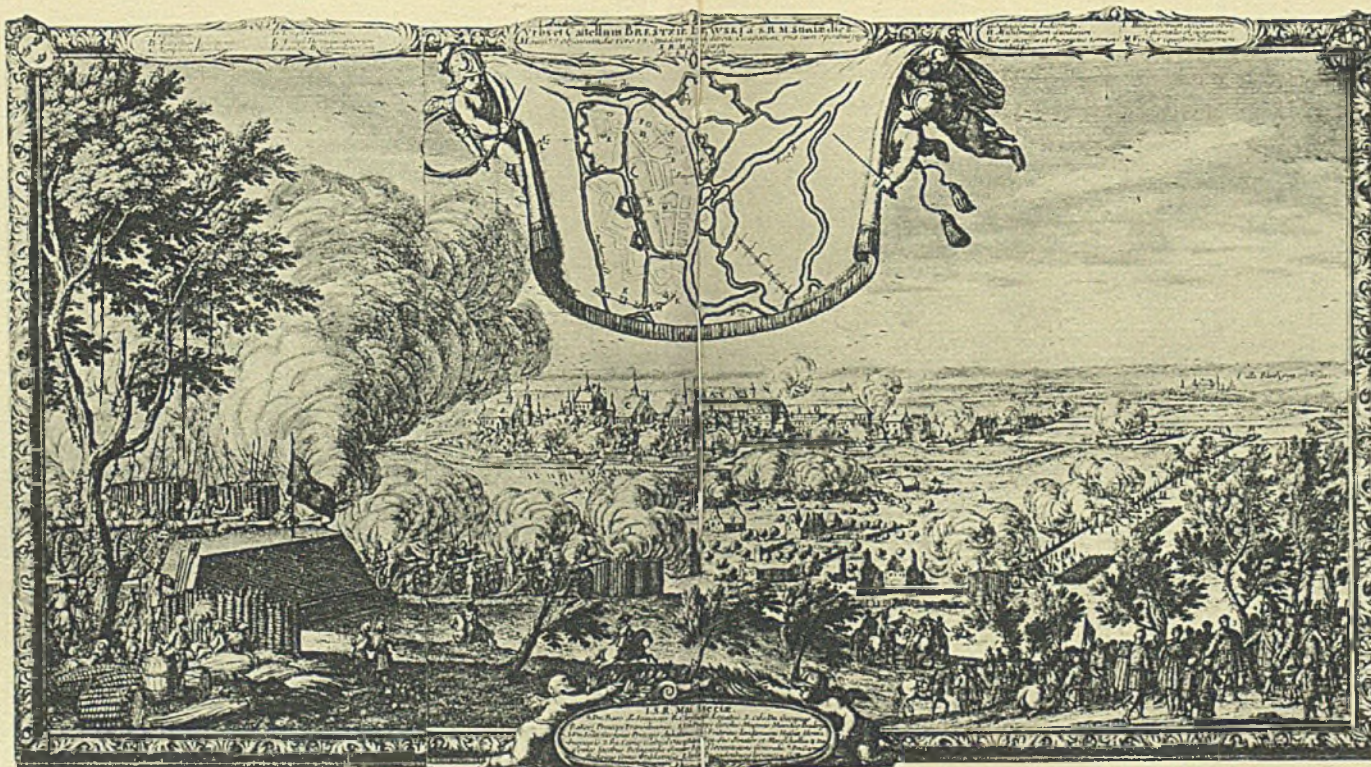
*Lisowczyk*



okna zamku warszawskiego Polesie sprowadził w roku Pańskim 1784-ym. Pognał tu bowiem z Piny i Prypeci flotyllę z „objianików“ złożoną, a powyżej burt obciążoną bogactwami Polesia: miodem, rybami, woskiem, skórami, wianuszkami grzybów suszonych, worami kaszy jaglanej, żelazem z rudy bagiennej. Wizyta ta miała skutek nieoczekiwany, bo oto Król Jegomość osobną własną zjechał na Polesie wraz z przezwspaniałym dworem swoim i z ks. biskupem Naruszewiczem — w którego żyłach pińska płynęła krew, i zręcznym madrygałów twórcą—ks. Bor-

kowskim; a ten na cześć króla, pana Butrymowicza i Pińszczyzny natychmiast odę ułożył. W naszych czasach, a mianowicie w roku 1926 p. Nelard, działając z ramienia Wojewódzkiej Rady Towarzystw Rolniczych, sztukę pana podstarościego powtórzył. Prawda, że nikt na cześć Polesia ody z tego powodu nie napisał, lecz mimo to Polacy, i cudzoziemcy mogli na Targach Poznańskich oglądać poleskie tkactwo włociańskie, meble plecione, śliczne wyroby garncarskie, szczecinę, włos koński, drzewo, suszone jagody i grzyby, sarnieński kamień, kaolin, smołę, likopodjum, terpentynę, wełnę i inne towary lokalne, któremi się zainteresowali kupcy z Polski przemysłowej, a również z Francji, Belgji, Czech, Grecji, Szwecji i Ameryki.

Inne też pozostawili królowięta wspominki po sobie, bo oto królowa Bona odbudowała Pińsk, zburzony przez Tatarów w r. 1527-ym;



*Oblężenie Brześcia przez Szwedów*

— wg. Puffendorfa (Norymberga 1697)

starosta piński S. A. Radziwiłł uczynił to samo po spaleniu miasta podczas wojny kozackiej, a Skirmuntowie i Wiśniowieccy po przejściu burzącej nawały szwedzkiej w r. 1706-ym z gruzów dźwignęli odwieczny gród prasłowiański.

Książę Jan Karol Dolski, wielki marszałek litewski wraz z ręką córki swej Katarzyny przekazał Michałowi Wiśniowieckiemu wspaniałe wiano — dobra Lubieszowskie, gdzie teraz pozostała tylko okazała brama wjazdowa; w one zaś czasy zbierała się tam elita umysłowa ówczesnej Rzeczypospolitej i najbardziej oświeceni go-

ście cudzoziemscy, podziwiający „czytnych“ pacholków pokojowych.

Anna z Sapiehów Jabłonowska gromadziła w Siemiatyczach ogromne zbiory książek, okazów przyrodniczych, monet, medali, broni i mebli; Sapiehowie i Ogińscy zakładali i podtrzymywali teatry; Radziwiłłowie, Jabłonowscy i Branicy opiekowali się sztuką drukarską, malarstwem i nauką; Poniatowscy w Albrechtowie pod Pińskiem szerzyli kult dla wiedzy; Tyzenhauzowie — założyli „Gazetę Grodzieńską“, rozpowszechnioną w „okresie Stanisławowskim“ na całym Polesiu. Inni wielcy panowie — Czartoryscy, Potoccy, Jabłonowscy i Sapiehowie wołyńscy — fundowali fabryki sukien, kapeluszy, fajansu, porcelany, win krajowych, naczynia mosiężne, saletry, broni, szkiele kolorowych, żelaza, zakładali szpitale i punkty akuszeryjne, magazynowali ziarno zasiewne i szerzyli oświatę.





*Palac  
ks. ks. Radziwiłłów  
w Mankiewiczach nad Horyniem*

Ale i wcześniej jeszcze Jagiełło, Kazimierz Jagiellończyk i król Aleksander hojną ręką łożyli na kościół farny i pracę zakonną w Brześciu; w tem też mieście Radziwiłł Czarny wydrukował sławną Biblię radziwiłłowską w r. 1563-im; ciż Radziwiłłowie założyli w Słucku fabrykę pasów złotolitych, — cenniejszych i piękniejszych od perskich i tureckich, oraz fabrykę artystycznej majoliki; — w czasach bliższych nam Skir-

munttowic uruchomili cukrownię i fabrykę sukna. Ród Druckich — dał Polsce porozbiorowej Franciszka-Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, finansistę znakomitego, męża stanu na miarę zgoła współczesną.

Ani znakomitych rodów, tu osiadłych niegdyś, zliczyć, ani ich zasług rozlicznych a doniosłych pokrótce opisać nikt nie potrafi.

Od czasów zamierzchłych, zapewne od w. XIII-go napływała tu nietylko można, ale i drobna szlachta z Podlasia, jak również chłopci, szukający wolności i chleba; przybyło ich tu sporo za Zygmunta I, a potem za Batorego, szczególnie zaś za Zygmunta III, gdy to bitni Lisowczycy — „kozacy polscy“ ścigani byli za swawolę i gwałty, jako zwyczajni „latrones“. Za ostatnich Wazów, po wojnach kozackich i szwedzkich samorzutna emigracja i polonizacja Polesia odbywała się samorzutnie nieprzerwaną koleją.

Polscy przybysze, pozostawieni własnemu losowi, przez nikogo nie bronieni i nie kierowani, borykali się z napływającymi tu wrogimi siłami Ukraińców, Rosjan, Żydów, a nawet Tatarów i Niemców.

Walczyli oni i szamotali się tak długo, aż dopływ nowych sił za czasów saskich urwał się zupełnie, — wtedy — pozornie bez śladu wsiąkli



**BADZEWJA CZARNY**

(wg. dawnego szytchu)



w morze poleszuckiej ludności, spokrewnili się z nią, przejęli od niej unję kościelną, kiedy zaś ciemieżca moskiewski wyplenil ją, — wraz z Poleszukami uczęszczać jęli dla świętego spokoju i wstrętu do nahajów kozackich do cerkwi prawosławnej, nienawidząc popa, urzędnika, nauczyciela i policję — a przy łada zatargu mszcząc się na nich zawzięcie, ponuro i krwawo.

Wspólna z Poleszukami, ciężka, sieroca dola zbratała tych dawnych Polaków z prawnukami Drewlan i pociągnęła ich pokostem szarym, siermiężno-łapciowym, okryła pleśnią i mchem, co wżera się w piony dębów wiekowych i sędziwych sosen dziuplastych.

Ten sam mech i takąż pleśń rosną też na głazach, rozrzuconych po hałach i borach.

Rosną, lecz nie mają siły zeżreć tych głazów odwiecznych.

Tak też i pokost szary, ta poleska polewa, jednobarwna z suchemi czorotami na „nietrach“, nie wyżarła polskości w duszy wychodźców spoza Bugu, po zaściankach i wioskach kraju tego od najdawniejszych lat osiadłych.

Posługiwali się oni gwarą poleszucką, bali się rusalek, „lichija“ i wilkołaka, bili pokłony po cerkwiach i szeptem rozpowiadali sobie o czarownikach, upiorach i zmorach, lecz w skrzyniach przechowali aż do naszych czasów pergaminy rodowe, pamiętając o klejnotach szlacheckich, a w duszy — niby w „jamce“, gdzie tli się wieczny „żar“ na przedpiecku, — nie zagasło uwielbienie dla dalekiej macierzy, która porzuciła ich niegdyś, miotając się sama w straszliwej, śmiertelnej „ogniewicy“, zżarta przez wewnętrzne niesnaski i swawolę butną, zdradą zatruta i przez podstępnych sąsiadów spychana ku zgubie i zagładzie.

I nietyko dawna, wynarodowiona, częściowo już inowiercza szlachta polska nie zapomniła o minionych czasach przynależności tego kraju do Polski. Pamiętali też o tem i Poleszucy, potomkowie tych, którzy nawet do buntu Chmielnickiego przyłączyć się zbytnio nie kwapili, a gdy nastaly smutne czasy ciężkiego panowania Moskali, do polskich panów na skargę szli i o poradę przeciwko uciskowi łzawo prosili, chociaż rosyjscy „czynownicy“ i popi wysilali się, jak mogli, aby wyryć pomiędzy włościanstwem a polskimi obywatelami, siedzącymi na ziemi, przepaść bezdenną.

Tak to pamiętało zawsze o Polsce milczące, nieufne, ubogie Polesie. Nie są to tylko słowa!

W płomiennym okresie ostatniej walki o byt i niezależność Polski te to bowiem zaścianki ostrowne dały ojczyźnie dumę Polesia i całej



Polski — „sławnego naczelnika w sukmanie“ — Tadeusza Kościuszkę — to nieśmiertelne, najcudowniejsze godło honoru, charakteru i cnót narodu polskiego, godło, które rozblysło nad Ameryką, a w kilka lat potem — nad Europą, budząc jej uśpione sumienie, milczące dotychczas służalczo.

„Naczelnik najwyższy zbrojnej siły narodowej“ — Tadeusz Kościuszko urodził się w r. 1746-ym w sercu moczarów poleskich, w oddalonym o dwa kilometry od miasteczka Kossowa zaścianku Merczowszczyźnie, gdzie spędził dzieciństwo, a w Brześciu, u Jezuitów, nauki rozpoczął. Tu założone zostały podwaliny miłości jego dla ojczyzny i zrozumienie przyczyn jej postępującego upadku. Tu też w chwili, gdy wojska rosyjskie zagrażały Litwie, Polesiu i Wołyniowi zalem i zniszczeniem, a „uniwersały“ Targowiczan — sumieniu ich ludności, rozległo się gorące słowo Naczelnika, jego potężny, namiętny zew do rodaków kresowych. Żywe echo odpowiedziało Wodzowi, wprowadzając Polesie w krąg działań wojennych, które przedtem jeszcze rozpoczął był kapitan wojsk francuskich, Michał Zabiełło, cofający się z pod Grodna na Brześć. Po wezwaniu zaś Naczelnika pociągnęli na Polesie Ogiński i Korsak na niebezpieczną wyprawę do Białorusi, Sierakowski, wydający pod Brześciem bitwę Suwarowowi, Ignacy Prozor, umiejętnie pociągający szlachtę kresową i włościan do powstania, Józef Kopeć, major brygady pińskiej wojska litewskiego, staczając nad Słuczą i Horyniem zwycięskie potyczki z Moskałami, i wielu innych, o których słuchy zaginęły, jak naprzykład, o „pułku złotym“ kozaków hetmańskich i o komendzie Czyżewskiego.

W latach powstania listopadowego ludność tych kresów niemal wszędzie sprzyjała powstańcom, którzy, niestety, zrzadka tylko zaglądali na Polesie, niedostatecznie oceniając znaczenie kraju dla celów wojny. Tu się ukrywali, wzmacniali na siłach i znowu szli w bój słynni partyzanci pułk. Radziszewski, Truszkowski, Jacewicz, Załuski, Paszkowski, Ogiński i Matuszewicz, za którymi, ni to ogary za tropionym lisem, uganiali się moskiewscy generałowie — Rozen, Savoini i Peterson.

Polesie w owych ognistych czasach wydawało też własnych partyzantów, patryotów i bohaterów, nieraz bezimiennych, to znów o głośnych nazwiskach, jak Ogiński, Tytus Skirmuntt, Jelski, Pusłowski, Orda, Jan Szyрма i inni, ale to znów panięta, których krew znakomita zniewalała w każdej potrzebie do wiernej służby Rzeczypospolitej.

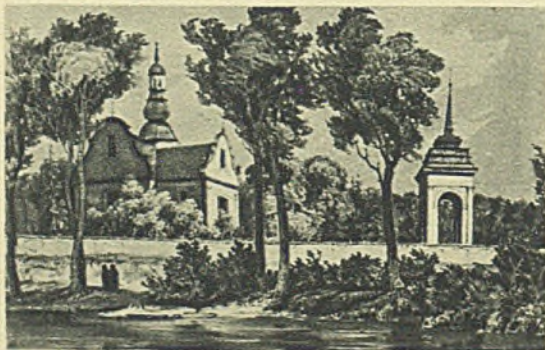




*Królowa Barbara Radziwiłłówna, żona Zygmunta Augusta  
(wg. obrazu nieznanego artysty — zbiory ks. ks. Radziwiłłów w Mankiewiczach)*



Sporo poszło wtedy pod sztandary powstańcze szlachty szaraczkowej, łapciowej, siermiężnej, po polesku się noszącej. Wraz z nią stanęło też niemało rdzennych Poleszuków, z tą szlachtą od wieków żytych i spokrewnionych, a na ich poryw zawsze wrażliwych.



*Kościół w Horodyszczu (wg. rys. N. Ordzy)*

„kozaki“. Powstanie r. 1863-go żywiło się pokaźną liczbą powstańców ofiarnych i męźnych, pochodzących z tego kraju, — od Konstancji Ordzianki — do hrabiego Platara, od Orzeszków i Rodziewiczów — do Skirmunttów — Heleny i Kazimierza. O szaraczkowej szlachcie poleskiej i chłopach krwi lechickiej — znowu głucho, chociaż słycać było, że po chutorach i siołach kontrybucją karano za pomoc i serce dla powstańców, a ten i ów łapciowo-onuczny szlachetka lub milczący mieszkaniec odludnego ostromu wlec się musiał jako skazaniec na posilenie — nad Wołgę lub hen — za Ural nawet zaniósł go wichry dziejowe.

Na Sybirze do ostatniej doby przetrwali potomkowie powstańców owych bezimiennych; niejeden z nich o klejnocie szlacheckich pradziadów swoich i tam nie zapomniał nigdy. Na dalekiej Tubie, po wąwozach leśnego Ałtaju, częstokroć spotkać ich można do dziś, chociaż poszli już... w



*Kościół i figura bł. Andrzeja Boboli w Janowie (wg. rysunku Napoleona Ordzy)*



Z tejże ziemi poleskiej wyszedł wielki jej syn i męczennik — Romuald Traugutt, dyktator powstania styczniowego. Urodzony w roku 1826 w Szostakowie koło Kobrynia, Traugutt otrzymał wychowanie bardzo staranne i religijne, szkoły ukończył w Świsłoczy, a potem w Petersburgu, gdzie studjował w Akademii Inżynierów. Brał udział w wojnie Krymskiej, po której w randze podpułkownika wziął dymisję i osiadł w rodzinnym majątku Ostrowie pod Kobryniem, wprowadzając do domu żonę — Antoninę Kościuszkównę. Gdy jednak w Brzeskiem poczęły się tworzyć drobne oddziały powstańcze w roku 1863-im, stanął na czele partji kobryńskiej i odniósł zwycięstwo pod Horkami, a potem w głębi Polesia niepokoił nieprzyjaciela mimo ciężkie warunki, istniejące w kraju. Przedostawszy się do Warszawy, wyruszył zagranicę, popularyzując powstanie i usiłując uzyskać poparcie dla niego u rządów mocarstw europejskich. Po przyjeździe do Warszawy objął dyktaturę upadającego już i rozchwianego ruchu i potrafił raz jeszcze ożywić go i ująć w karby, uważając władzę za poświęcenie dla sprawy, a nie za ambicję osobistą. Dowodem tego był fakt, że działał pod pseudonimem „Michała Czarnieckiego“ i przez cały czas pozostawał w ukryciu, mieszkając w odosobnionym domu przy ulicy Smolnej w Warszawie, gdzie prawie nikogo nie przyjmował, a nawet z członkami swego rządu naradzał się w nieoświetlonym pokoju. Z tego mieszkania dyktator nigdy już nie powrócił do swjej poleskiej siedziby, gdyż władze rosyjskie wytropiły i aresztowały Traugutta. Uwięziony na Pawiaku, został przewieziony do Cytadeli, gdzie po wyroku, 5-go sierpnia wraz z czterema innymi działaczami powstania zawisł na szubienicy. Umierał spokojnie, jak rycerz i chrześcijanin — pozostawił po sobie wzór poświęcenia dla ojczyzny.

Takiego to, wiernego syna Polski, wydała ziemia poleska...

Ta sama ziemia, przecięta siecią Prypeci, z dymów i krwawych oparów wojny światowej dała nowych bohaterów odrodzenia naszej ojczyzny — ordynata Dawidgródeckiego, księcia Stanisława Radziwiła, i płomiennego mieszczucha z Łohiszyna — Aleksandra Korolewicz, jakgdyby urodzonego na trybuna.

Zginęli, walcząc o wolność Polski na polach, gdzie padł zamordowany przez bolszewików słynny dowódca ułanów Krechowickich — pułkownik Mościcki, gdzie po raz pierwszy przelewać zaczęli swoją krew ofiarną marynarze flotylli pińskiej — pod Horodyszczem, Czarnobylem, Stracholesiem, przyłączając do Polski ponownie ten z dawienawna należący do niej kraj.



Zwycięstwo nasze w wojnie polsko-bolszewickiej r. 1920-go połowę geograficznego Polesia wcieliło w granice Rzeczypospolitej, a z niem razem stare historyczne miasta, z woli Litwy i Polski powstałe i w pewnych okresach do znacznej świetności dochodzące.

Wśród tych miast wspomnieć należy Brześć — z natury swej — potężną twierdzą, położoną przy ujściu Muchawca do Bugu. Książęta kijowscy i połoccy w wieku XI-ym walczyli o Brześć, aż w końcu zdobył go dla Polski Bolesław Śmiały, a Kazimierz Sprawiedliwy wznosił tu potężny zamek obronny. W XIII-ym wieku Brześć dostaje się w ręce książąt halickich, a w XIV-ym — Gedymin litewski przyłącza go do swego państwa. Tu w r. 1409 Władysław Jagiełło układa z Witoldem i Saladynem, sultanem Kipczału, plan wojny z Krzyżakami; miasto to widziało w swych murach Kazimierza Jagiellończyka i króla Aleksandra. W r. 1566-ym odbywały się tu narady, poprzedzające Unję Lubelską, która połączyła Litwę i Polskę w jeden organizm państwowy, a w r. 1596-ym tu się tworzy Unja Brzeska, łącząca chrześcijaństwo zachodnie ze wschodniem. W Brześciu powstały pierwsze bruki, pierwsza apteka; stąd krzewili oświatę i wiarę gorącą o. o. Jezuici, Augustjanie, Bernardyni i Bazyłjanie; wreszcie s. s. Franciszkanki szerzyły tu dzieło miłosierdzia; kilka razy zbierały się tu i obradowały sejmy; Jan Kazimierz zwołał do tego grodu sejm walny, a w cztery lata później, w rok po bitwie pod Brześciem, Karol XII szwedzki i awanturnik Rakoczy opanowali miasto; w okolicach jego Czarniecki, Sapieha i Radziwiłł stoczyli bitwę z Rosjanami; po rozbiórce Polski miasto to stało się czołową placówką rządu petersburskiego dla wściekłej rusyfikacji kraju, tępienia polskości, walki z katolicyzmem i wyplenienia unji kościelnej. Obecnie, jako stolica województwa poleskiego, poza historycznymi zabytkami architektonicznymi, które ucierpiały zresztą podczas pożaru w r. 1894 — Brześć wzbogacił się nowemi, nieraz okazałemi gmachami: Banku Polskiego, Okręgowej Izby Kontroli Państwowej, Biura Meljoracyjnego na Polesiu i kolonją urzędniczą. W obrębie twierdzy znajdują się stare gmachy: były klasztor o. o. Jezuitów, „Biały Pałac”, w którym rząd sowiecki zawarł haniebną „pokój brzeski” w r. 1918, mieści się w zabudowaniach, należących niegdyś do klasztoru bazylikańskiego; w klasztorze Brygidek ulokowano więzienie wojskowe, a dawną świątynię o. o. Augustjanów z w. XVI-go przerobiono na kościół garnizonowy. Miasto liczy około 50 000 mieszkańców i jest ośrodkiem administracyjnym, siedzibą wojewody, dowódcy Okręgu Korpusu, kuratora, dyrekcji dróg wodnych i węzłem kolejowym na





*Bląg. Andrzej Bobola — wg. rysunku L. Nowotnego*

zbiegu niezmiernie ważnych linii. Nowy Brześć powstał zaledwie po r. 1831 z rozkazu cara Mikołaja I, stary zaś częściowo przetrwał w granicach twierdzy, częściowo zniknął. Wysiłki Moskali na nic się zdały: miasto przechowywało charakter i tradycje polskie.





*W kościele w Wolczynie ochrzczono króla Stanisława Augusta*



Właściwą jednak stolicą — historyczną i duchową jest zawsze Pińsk, miasto liczące 30 000 mieszkańców, zbudowane na połączeniu Piny i Strumienia, na tak zwanem „Zahorodziu”. Pińsk — to stara włość Narymunta Gedyminowicza i Olelkowiczów, a potem — własność dożywotnia Bony Sforza, małżonki Zygmunta I-go, która założyła tu nowe osiedla i kazała ryc kanały odwadniające; wreszcie w naszych czasach miasto stało się głównym rynkiem Polesia i największym w Polsce portem rzeczynym, gdzie przy dobrze uregulowanych i umocnionych brzegach stoją statki parowe, bajdaki, duby, barki, łyżwy, dubasy, szuhaleje, obijaniki i zwykłe „duszehubki”, przybywające z różnych zakątków kraju i rozwożące po jego sieci wodnej wszystko, czego ludność

hałów, ostrowów i puszcz potrzebuje i co sprzedać może lub musi.

Stąd łatwo jest dostać się statkami lub łodziami do Horodyszcz

*Ks. Stanisław Naruszewicz*  
(ze sztychu wg. rysunku Norblina)



do Słonima, Prypecią i Horyniem — do Dawidgródka, Stochodem — do Lubieszowa, Styrem — do Łucka, kajakiem zaś wszędzie — do każdego niemal zakątka Polesia, gdzie tylko w promieniach słońca lub księżycy jarzy się i lśni smuga burej, mętnej wody, pełnej mułu, rdzy i niezwyklego piękna.

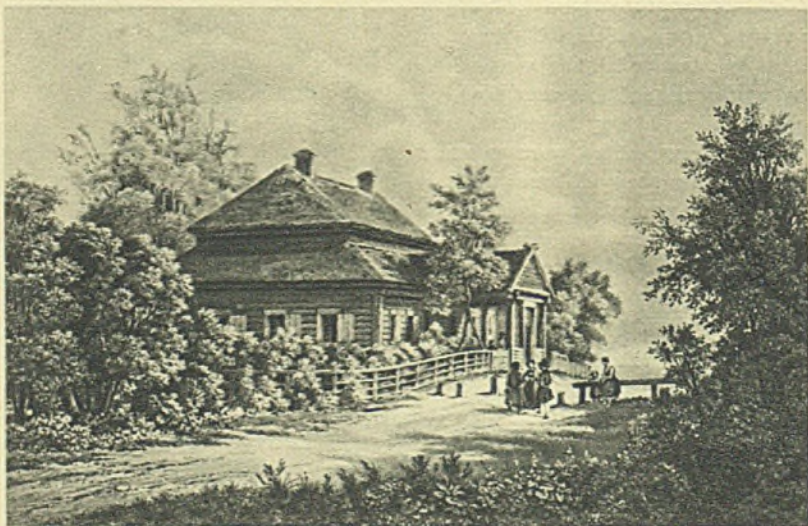
Piękne, porywające są te wycieczki po dzikim, nieznanym jeszcze kraju przyrubieżnym! Ileż wrażeń nowych, spostrzeżeń, odkryć



*Król Stanisław August Poniatowski*  
(ze sztychu wg. rysunku Vigée Lebrun)



i myśli mogą one dostarczyć amatorom tego sportu i uczonym badaczom! Doprawdy tylko podróż po jakimś kraju egzotycznym mogłaby współzawodniczyć z taką wycieczką wodną po Polesiu! A jakżeż wielkiej propagandy polskiej dokonałby mogła młodzież nasza wśród nieufnych zawsze Poleszuków, którzy, poznawszy Polaków lepiej i bliżej, oswoiliby się z nimi prędzej i poczuliby się pełnoprawnymi obywatelami Rzeczypospolitej, dbając o to, aby ludność tego kraju zrozumiała swoje prawa i obowiązki. Wyciecz-



*Dworek w Mereczowszczyźnie, gdzie urodził się Kościuszko  
(z albumu Wilczyńskiego)*

kowicze mają tu do swej dyspozycji przystań szkolną i schronisko. Piękne są w Pińsku kościół o. o. Jezuitów z wieku XVII-go i kolegium, gdzie się wychowywali błogosławiony Andrzej Bobola i Adam Naruszewicz; katedra, zbudowana przez o. o. Franciszkanów w ostatnich latach w. XIV-go, i niektóre stare gmachy. Tu też mieści się port wojenny i stacja radjowa; miasto posiada muzeum, fabrykę zapalek i dykty, tartaki i inne zakłady przemysłowe.

Niedaleko od Pińska leży Albrechtów, dawna siedziba Poniatowskich. Pałac ich stoi w ruinie, lecz można jeszcze odgadnąć





KOŚCIUSZKO.

*(wg. ryciny A. Oleszczyńskiego)*





*Aleksander Skirmuntt*  
(wg. rysunku A. Reguńskiego)

jego dawną wspaniałość i westchnąć nad przeszłością, gdy możni panowie, którzy doszli do tronu polskiego, gościli tu u siebie tak znakomitych cudzoziemców, jak na przykład — Bacciarellego, Lebruna, Voltaire'a, Monaldiego, Staggów i Sacco; sprowadzali lekarzy, stosujących w swych praktykach elektryczność i szczepienie ospy; naradzali się o rozwoju przemysłu i „pospolitego oświecenia umysłów“.

W okolicy Pińska, nad jeziorem Horodyskiem, pozostały jeszcze resztki klasztoru Benedyktynskiego i kościół, z fundacji Kopciów wzniesiony w wieku XVII-ym, obok — dzwonnica i lekka arkada, łącząca

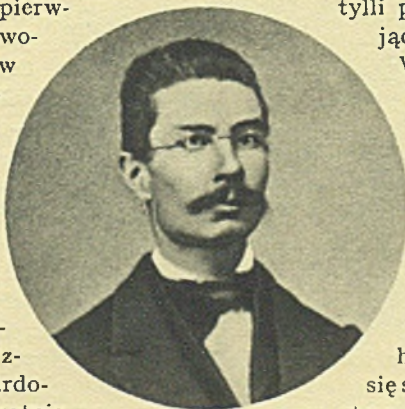
niegdyś Dom Boży z siedzibą zakonnych braci. W w. XVIII-ym kościół przebudowano w stylu barokowym, modnym naogół w Polsce, i ozdobiono wewnątrz bardzo udanymi freskami. W podziemiach leżą kości Benedyktynów. Szwedzi podczas „potopu“ oszczędzili ten kościół, lecz w nowszych czasach żołdacy armji ro-



*Pałac Skirmunttów w Mołodowie*



syjskiej podczas pierwszej i drugiej rewolucji urządzili w nim stajnię, a ohydny napadami zbezczeszcili miejsce poświęcone. Wojna r. 1920-go zmiotłaby zapewne z powierzchni ziemi kościół w Horodyszczu, gdyż bombardowano go kilkakrotnie. Od zagłady uratował go cudem oddział flo-

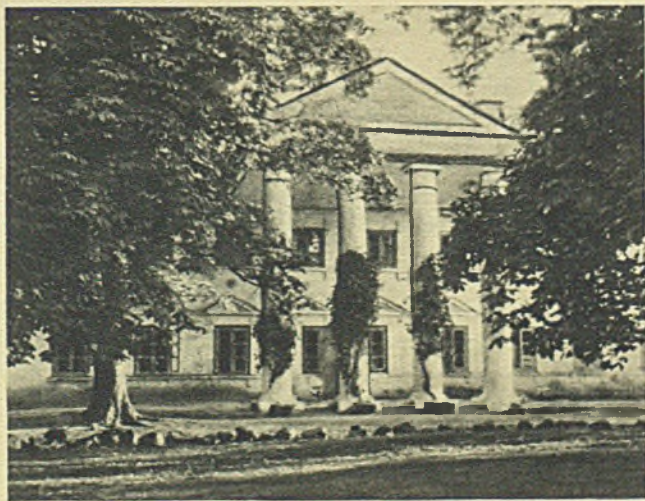


*Romuald Traugutt*

w roztoce jeziornej, nad którą połyskują krzyże i snują się wraz z mgłami wspomnienia o dawnych — dawnych czasach. Nad Horyniem między trzema jego odnogami króluje malowniczy, ożywiony, słynny z pięknych kobiet i starodawnych strojów z wieku XVIII-go, a także ze słodkich śliwek, tanich a dobrych butów juchtowych, z kolatek i zberkadelek dla krów, z handlu dobrem nasieniem, z ryb i z wędrownych fabrykantów łodów — Dawidgródek. Ongiś stolica księstwa udzielnego, ma jeszcze resztki dawnych wałów, fun-

tylli pińskiej, odpędzając czerwoną armję.

W pobliżu horodyskiego jeziora zachowały się wioski, gdzie mieszkają oddawna tu przybyli Polacy, którzy jednak wytrwali przy wierze ojców. Do wzgórza horodyskiego tuli się szkoła polska i meteorologiczna stacja. Pięknie wygląda ten ząątek w wieńcu lip,



*Dwór Marji Rodziewiczówny w Hruszowej*





*Dworek w powiecie pińskim*

damentów i wież. Jest to ośrodek Ordynacji Radziwiłłów poleskich, — rezydencją Man-kiewiczze. — Mieści się w niej rezerwat łośi; wśród myśliwych słynie też ze znakomitych, nigdzie nieprzewyższonych co do obfitości ptaictwa, kaczych „sądów” i tokowisk

głuszcowych. Z Pińska można dotrzeć do Dawidgródka Prypecia, statkiem przez uroczysko Nyrcza z pałacykiem myśliwskim Radziwiłłów nad Horyniem. Kajakowcy nie mogliby chyba nigdy zapomnieć tej drogi wodnej i gościnności szkolnego schroniska wycieczkowego w Dawidgródku, gdzie można oglądać znaczny ruch w halach targowych, malowniczą przystań i bulwar nadbrzeżny.

Włodawa, należąca niegdyś do Sanguszków i Leszczyńskich, była ośrodkiem kalwinizmu polskiego i oświaty. szerzonych pod kierownictwem sławnego Andrzeja Węgierskiego i Rafała Buczackiego.

Ludwik Pocię rozpędził zbór i sprowadził tu na początek w. XVIII-go o. o. Paulinów, którzy zbudowali wspaniałą kościół i zasłynęli wkrótce swem zbożnym życiem. Zwraca tu też na siebie uwagę interesująca architektonicznie synagoga z wieku XVII-go.

Pod Pińskiem, w Lubieszowie książę Dolski przy samym końcu w. XVII-go ufundował kościół i kolegium o. o. Pijarów. W tej szkole przez kilka lat przebywał Tadeusz Kościuszko. Kościół popijarski posiada piękną polichromję. Tam też wzniesiono



*Pałac w Wielkiej Hłuszy*



sumptem Czarneckiego klasztor Kapucynów w r. 1769-ym. Przez długie lata pozostawały te wspaniałe fundacje ośrodkami polskości, kultury zachodniej i katolicyzmu, ugruntowanych w samym sercu leśno-bagiennego Polesia, wpośród ciemnych potomków Drewlan. O dawniej wrącem tu życiu świadczy wspaniała brama wjazdowa i o niejednym szepce niejednen stary, zapuszczony park.

Kobryń leży na linii kolejowej Brześć-Baranowicze i Brześć-Pińsk-Mikaszewicze, w malowniczej części rzeki Muchawca. Była to niegdyś ojcowizna Olgierdowiczów, o której wspominają kroniki z wieku XIII-go. Zygmunt I-szy wcielił to miasto do Polski, a po powstaniu Kościuszkowskiem stało się ono własnością Suwarowa. 9000 mieszkańców stanowi ludność miasta. Od r. 1924-go wybudowano tu kilka nowych gmachów rządowych i prywatnych. Przy ul. Traugutta przechowano starannie utrzymany domek dyktatora, a w pobliżu miasta znajduje się Szostakowo, gdzie przyszedł na świat ostatni wódz powstania styczniowego.

Dalej, na wschód od Kobrynia, koło stacji kolejowej Horodec, w swej Hruszowej rezyduje, gospodarzy i tworzy najwybitniejsza pieśniarka Polesia — Marja Rodziewiczówna, sławna autorka „Lata leśnych ludzi“, „Gniazda Białozorów“ i innych.

Niedaleko od Pińska kolej przebiega koło Janowa. Jest to małe miasteczko, w pobliżu którego rozsiadły się w Mołodowie, Porzeczcu i innych kluczach familje Skirmunttów, dobrze zasłużonych ojczyźnie i tej ziemi bagiennej. Stuletni kościół posiada piękne wewnętrzne urządzenie i ornaty z pasów słuckich. Na gościńcu stoi tu pomnik, figura błogosławionego Andrzeja Boboli, uczonego Jezuita, „apostola Pińszczyzny“. Odbudował go p. H. Skirmuntt na miejscu, gdzie kozacy w parę lat po buncie atamana Nebaby, w r. 1657 napadli na żarliwego kapłana i, zadawszy mu straszliwe męki, ścięli. Niezmiernie ważne dokumenty, dotyczące życia i losu szczątków błogosławionego Andrzeja, zostały wywiezione do Holandji przez Jezuitów, uchodzących z Polesia, i złożone w tamtejszych archiwach Bractwa Jezusowego.

Apostół Polesia, o. Jezuita, błogosławiony Andrzej Bobola, urodził się w r. 1591-ym w województwie Sandomierskiem, w szlacheckiej rodzinie, pieczętującej się herbem Leliwa. W Sandomierzu też ukończył szkoły średnie w kolegium jezuickim, którego gmach stoi dotychczas na brzegu Wisły. Teologicznym i filozoficznym studjom oddawał się w Wilnie, kolegując między innymi ze sławnym Maciejem Sarbiewskim. 12-go marca 1622 roku otrzymał święcenia



kapłańskie, a w trzy lata potem wstąpił do zakonu. 35-letni okres pracy kapłańskiej błogosławionego Andrzeja Boboli przypada na całą Polskę (Płock i Warszawa), lecz w największej części — na jej kresy wschodnie: Nieśwież, Wilno, Bobrujsk i Pińsk, gdzie działał jako kaznodzieja, dyrektor szkół i jako gorący, wybitny misjonarz.

Pomiędzy r. 1647 a 1667-ym wojny moskiewsko-kozackie zagrażały nietylko kresom, lecz przedewszystkiem katolicyzmowi, gdyż około stu kapłanów zginęło w tym krwawym okresie z rąk kozackich. W r. 1657-ym o. Andrzej Bobola pracował jako misjonarz w Pińsku, wyjeżdżając do dalekich wiosek, niepomyślnie na grożące mu niebezpieczeństwo od grasujących w kraju dzikich i okrutnych band kozackich.

Będąc w Janowie 16-go maja 1657 r., odwiedził wioskę Pieredził, aby przygotować ludność do obchodu święta Wniebowstąpienia. Po mszy wpadli tu zbiegowie z Janowa, donosząc o przybyciu oddziału kozaków. Wieśniacy uprosili Błogosławionego, aby ratował się ucieczką, lecz we wsi Mogilno dopadli go kozacy i poddali pierwszemu torturom, bicząc go i ściskając mu głowę wieńcem z giętkich prętów; wybili zęby, wyrwali mu paznokcie a potem zdarli skórę aż do łokci.

Przywiązanego pomiędzy dwa konie prowadzono do Janowa przy czym w drodze kozacy poganiali go, bodąc spisami i siekąc szablami. W Janowie dowódca podjazdu, posłyszawszy nawoływania męczennika do powrotu schyzmatyków na łono jedynej wiary katolickiej, ciężko zranił go szablą w rękę i nogę, a inny wylupał mu oko. Wkrótce potem zawleczono go do rzeźni, gdzie zdzierano mu skórę z całego ciała i głowy, aż wreszcie ścięto, skracając straszne, przez dwie godziny trwające katusze.

Po męczeństwie Błogosławionego Andrzeja ciało jego, wyrzucone na pole przez uchodzących przed polskim wojskiem kozaków, zostało przewiezione do kościoła w Janowie, gdzie przybranc w kapłańskie szaty leżało dwa tygodnie, nie podlegając żadnym zmianom i gniciu. Wkrótce szczątki męczennika złożono w grobach o. o. Jezuitów w Pińsku. Po 40 latach Błogosławiony Andrzej, zjawił się przełożonemu Jezuitów, o. Marcinowi Gadebskiemu, poczem niezmiennie zupełnie zwłoki męczennika pochowano osobno w widocznym miejscu podziemi kościoła o. o. Jezuitów, gdzie przy jego grobie działały się liczne cuda. Po zniesieniu przez Moskali unji i oddaniu kościoła na klasztor prawosławny, trumna ze zwłokami została przewieziona przez Jezuitów do Połocka w r. 1808-ym



i ustawiona z czcią w janowskim kościele. W kilka lat potem Błogosławiony Andrzej Bobola zjawił się Dominikaninowi o. Korzeniowskiemu w Wilnie i pocieszył go prorocstwem o wskrzeszeniu niepodległej ojczyzny. W Połocku trumna, pomimo wielorakich przejść i wypadków, pozostawała do roku



*Dworek w Brześciu nad Bugiem*

1922-go, aż zabrali ją do Moskwy bolszewicy. Za wstawiennictwem papieża po długich i żmudnych pertraktacjach przewieziono szczątki apostoła poleskiego do Rzymu. Stąd przysłano do kościoła w Janowie relikwiarz z częścią kości błogosławionego męczennika.

W powiecie drohiczyńskim we wsi Zaber widoczne są wały i rowy po zburzonym przez Szwedów zamku ks. Wiśniowieckich. Mieścina Motol w tymże powiecie należała do królowej Bony. Ślad po tem pozostał w nazwiskach mieszczkańskich Marzan i Palto, co powstało z Marzani i Paltotini — tak się bowiem nazywali sprowadzeni wówczas koloniści włoscy. W pobliskim Mołodowie zachowała się cerkiew, ufundowana przez Woynów z dzwonem lanym w r. 1583. Zniknęły



*Pałacyk podmiejski w Brześciu nad Bugiem*

już dwory Bielin i Ludwinowo, w których mieszkała i tworzyła Eliza Orzeszkowa.

W starostwie kossowskiem leży ubogie miasto Różana. Gościł tu król Zygmunt I-szy i Władysław IV-ty z Cecylją Renatą, bywał tu też Sta-

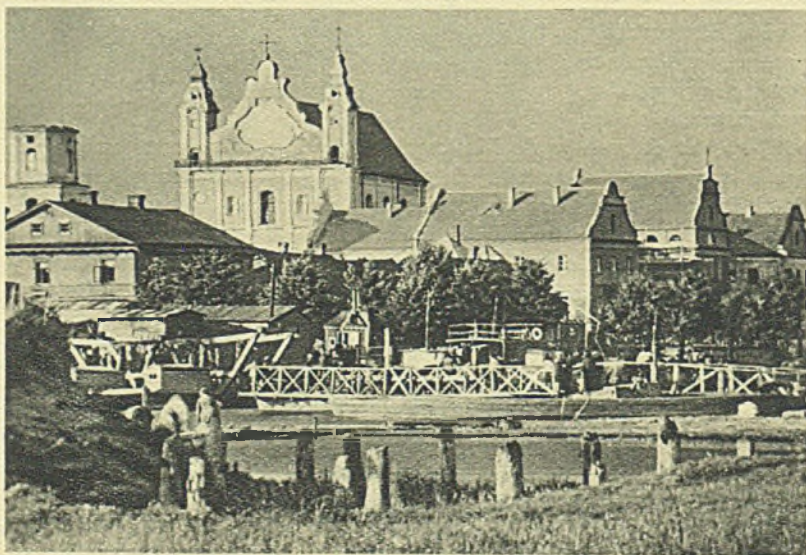


niśław August, podziwiając drogocenne księgozbiory Sapiehów. Tuż godne poznania Lubieszycy; dokonano tu największych w Europie prób osuszenia bagien; jest tu rezerwat bobrów.

Od Różany niedaleko do Merczowszczyzny, gdzie, dzięki pietyzmowi Pusłowskich, zachowuje się dworek Kościuszków, a w nim — małe muzeum z pamiątkami po wielkim wodzu narodu polskiego.

Nad Jasiołdą Bereza Kartuska. Kazimierz — Lew Sapicha, dyplomata ozdobił ją obwarowanym klasztorem o. o. Kartuzów.

Nad Horyniem Mankiewiczze, wspaniała rezydencja ordynata ks. Karola Radziwiła. Świadectwem trwania tradycji wielkiego nazwi-



*Katedra w Pińsku*

ska — wzorowe gospodarstwo rolne i leśne, a także łowieckie, w czem ordynacja pod każdym względem prym trzyma między innemi.

W pobliskim Stolynie przechowano pamięć o walce, którą tu stoczyli partyzanci polescy w r. 1863 z moskiewską piechotą.

Inne miasta i miściny, małe są, biedne, z trudem dźwigają się po rabunkowej gospodarce rosyjskiej i dwu wszystko niszczących wojnach, posiadają przytłaczającą liczebnie ludność żydowsko-białorusko-ukraińsko-poleszucką, z niewielkim zaledwie, chociaż





*Kościół Jezuitów w Pińsku*



stopniowo rosnącym odsetkiem Polaków. Wszędzie tam jednak znajdujemy ślady polskich dziejów przez wieki władania tą ziemią i obrony jej przez Rzeczpospolitą. Nawet w dobie niewoli rosyjskiej, wybił się tu na czoło twórczy element polski, zawsze kierowniczy i opiekuńczy w stosunku do poleskiego ludu.

Mimo, że rosyjska polityka niwelacyjna i prawosławie porobiły znaczne wyłomy, — państwowa myśl polska, dążenie do ożywienia tych kresów i związania ich z Rzeczpospolitą wspólnotą zagadnień wywiera już wpływ. Najlepszym tego dowodem jest przebudzony w tym kraju duch polski, z rokiem każdym coraz więcej udzielający się całej innoplemiennej i innowierczej ludności tego kraju.

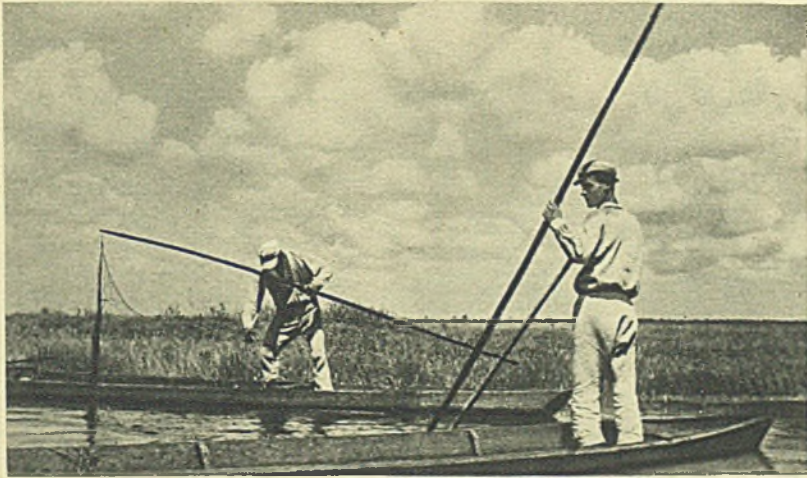
Nie z uroczyszcz drowlańskich, nie z ostępów leśnych i toni umierających jezior, gdzie dogorywają bogi i duchy pogańskie, lecz ze starych murów zamków, kolegiat i świątyń, wzniesionych rękami Polaków, rzucających tu oświatę, idee wolności obywatelskiej i dorobek kulturalny Zachodu, — płynie gorąca nuta zgody i pobudka do wspólnej pracy dla szczęścia i potęgi wielkiej Ojczyzny.

Na straży dawnych praw Rzeczypospolitej do tego kraju stanęły sławne postacie z cieniem „naczelnika w sukmanie“ — Kościuszki, naczele.



*Na poleskim szlaku*





*Kraj wód rybą żyć musi*

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

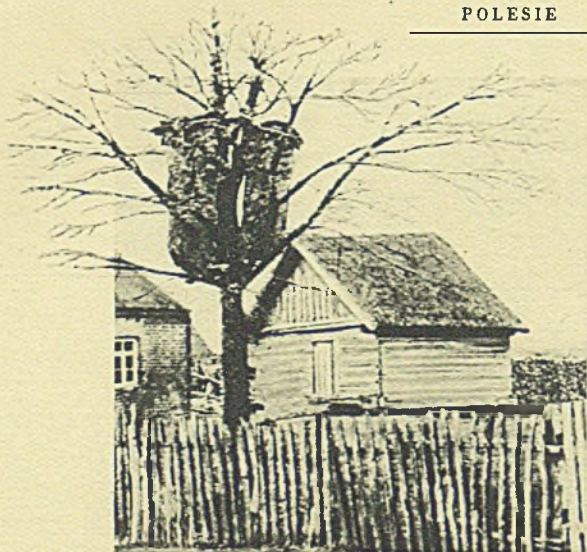
### ŻŁOBIENIE DUSZY



*„Młode Polesie” patrzy w świat*

Dawny urok polskości i nowe dowody myśli twórczej i demokratycznej żłobią duszę ludności poleskiej, tak długo trzymanej w ciemności przez urzędników rosyjskich i zatruwanej wrogą dla Polski propagandą carskiego systemu, a po nim — w równym, a może w większym jeszcze i aktywniejszym nawet stopniu — przez rząd sowiecki. — Na Polesiu po traktacie ryskim





*W barciach miody słodkie...*

działyły różne, skierowane przeciwko Polsce siły zewnętrzne i wewnętrzne. Pierwsze miały swe źródła w Moskwie, Mińsku i Kijowie, skąd napływały judzące, podstępne rady i podszepty, budzące nienawiść i chęć do działań szybkich i nieprzemysłanych, jak na przykład — kilkuletnia „działalność“ band dywersyjnych, złożonych z naiwnych chłopów poleskich, podburzanych przez komunistów.

Drugie czały się na samem Polesiu; one to po naszym zwycięstwie w polsko-bolszewickiej wojnie, chyłkiem weszły w granice Rzeczypospolitej. Składała się na nie nieuczciwa agitacja monarchistów rosyjskich — popów, nauczycieli i dawnych urzędników carskich.

Ta wywrotowa działalność budziła w Poleszuchach odwieczną żądę posiadania „całej ziemi“, żądę — najgorętszą a wspólną wszystkim oraczom świata. Żłudy i oszukańcze hasła, idące od wschodu, obliczone były na nieodporność Polaków. W Moskwie i Kijowie liczono na to, że ciągle zamieszki



*...gorzkim jednak bywa życie ludu błot i lasu*



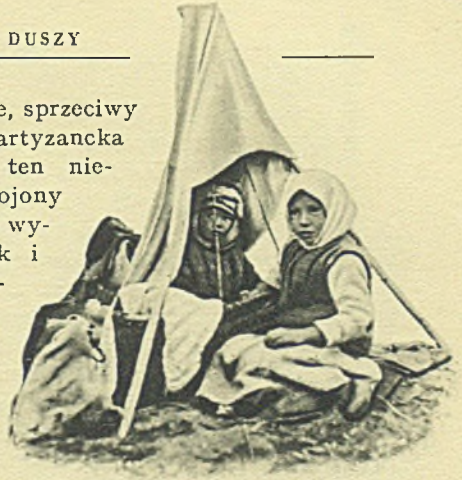
wewnątrz kraju, utarczki pograniczne, sprzeciwu rozkazom władz i nieustająca partyzancka wojna domowa zohydzą Polakom ten niepokojny, ubogi, anarchicznie nastrojony kraj i zmuszą ich do dobrowolnego wycofania się z jego moczarów, rzek i puszczy. Nie wiedzieli jednak komisarze Lenina, Trockiego i Stalina, że naczelnym wódcą, marszałek Józef Piłsudski, z całą ścisłością i rozważą stratega i męża stanu ocenił znaczenie Polesia dla obrony ojczyzny i jej dobrobytu. Polska przetrwała ciężki, drażniący okres dywersyjny, nie wycofała się z dorzecza

Prypeci, przeciwnie — wzmocniła tam swoje placówki na wszystkich polach odbudowy państwa, którego częścią składową pozostać musi Polesie — i rozpoczęła szeroką, planową pracę cywilizacyjną.

Do pierwszego wyłomu w stosunkach polsko-poleskich przyczyniła się poniekąd właściwość naszego charakteru narodowego, szczególnie jednak tolerancja i wrodzony demokratyzm w najszerszym tego pojęcia znaczeniu. Cechy te Poleszycy poznali, zrozumieli i odczuli.

Istotnie — ludność Polesia pozostaje niczem nieskrępowaną w dawnych tradycjach, swobodnie się oddając swemu kultowi religijnemu, władając temi samymi hałami, lasem i ziemią rolną, trudniąc się, jak to czyniła przed rokiem 1920-ym, rybolóstwem, łowiectwem,

bartnictwem i wyżywkami bogactw leśnych. Miejscowe władze polskie stopniowo tylko i bardzo ostrożnie stosują przepisy gospodarki racjonalnej w kraju, rozumiejąc, że lud poleski, utrzymywany przez urzędników rosyjskich i służalczych pópów w stanie pół-



*Kolyska w czas żniw*



*Wiejska zagroda*





*W ślepie tłucze się kaszę*

dzikiem, nie może nagle zmienić zwyczajów i planu życiowego ludzi niemal zupełnie pierwotnych. Po kilku latach niespokojnych, niezmiernie ciężkich, komplikujących sytuację, przyszło pierwsze otrzeźwienie, pierwsza zdrowa myśl o szkodliwości podszeptów i „nawietów“, płynących spoza kordonu. Cisza zaległa wkońcu leśno-bagienny kraj, nad którym kwilią setki jastrzębi drapieżnych, jęczą niezliczone rybitwy, a nad puszczą klekocą krążące pod szaremi chmurami orły potężne. Tę ciszę wykorzystwała Polska szybko i radykalnie, chociaż trudny był dostęp do Poleszuków. Nie znali oni jeszcze mowy polskiej, niepiśmienni byli i rozpaczliwie bierni. Ani żywe, ani też drukowane słowo nie mogło dotrzeć do ukrytych wśród „nietr“ chutorów i wiosek, zaczajonych w otoku topieli. W tak zawilej sprawie przyszło z pomocą wojsko i kształcące przeszkolenie wojskowe.

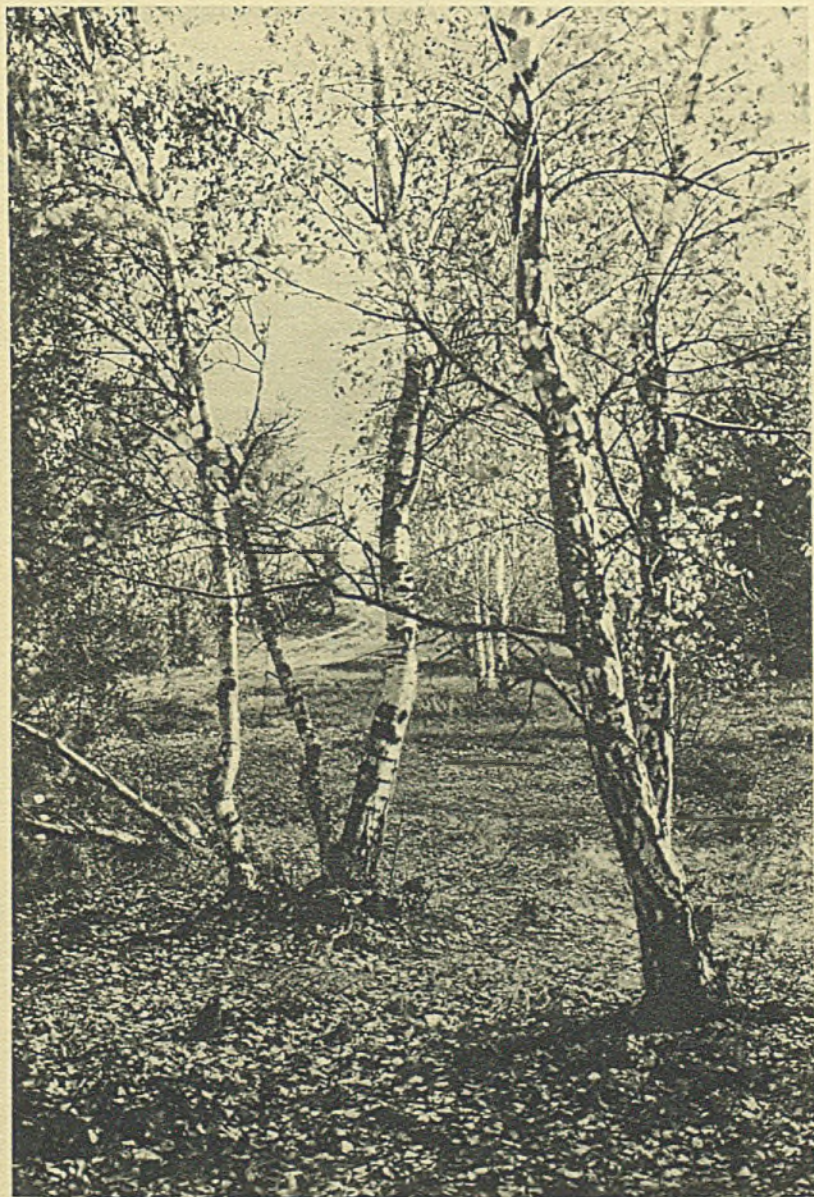
Już sama podróż z rodzimych podmokłych hałów i ołosów, z których nigdy przedtem Poleszuk się nie wynurzał, do pobliskiego miasta poborowego, a potem — do miejsca przydziału, wstrząsa całą istotą leśnego i wodnego człowieka. Pobyt w mieście polskiem, kipiącem nieznanym Poleszukowi ruchem i wytężoną a całkiem nową i nigdy niewidzianą pracą, pogłębia ten pierwszy wstrząs moralno-psychiczny i wychowawczy. Doskonale warunki służby i panujące w wojsku stosunki czynią, że Poleszuk prędzej od innych żołnierzy niepolskiej narodowości zupełnie się oswaja, zaczyna mówić po polsku, ze zdumieniem a nie raz ze szczerem oburzeniem spostrzega głębię nieczemności fałszywych pogłosek i oszczerstw, przeciwko Polsce przez jej wrogów skierowanych, pisze o tem do rodziny — podczas zaś urlopów twardym głosem żołnierskim rozpowiada zadumanym i ponuro milczącym sąsiadom, żłobiąc ostrym rylcem prawdy ich dusze ciemne, podejrzliwe, a w lęku skostniałe.

Gdy, skończywszy służbę, Poleszuk powraca uświadomiony i wyszkolony w objęcia swych mszarników i puszczy, nie patrzy już spodoba na urzędnika polskiego, nie płaszcy się przed nim, nie przysięga i nie



*Pastuszek — koszykarz*





*Szczególnym jest urok brzozowych lasów*



łże, bo wyniósł z wojska twarde zasady praw i obowiązków obywatela i żołnierza, całe skarby nieznanych mu przedtem wiadomości. Nie oszuka go już teraz i nie omami żaden agitator, ani wróżbita, ani „wołchw“ stary i ciemny, jak najczarniejsza noc jesienna! Nie wzbudzają w nim już lęku duchy rzeczne, leśne i bagicienne; drwi sobie z głupich babskich zaklęć; na „romatus“ nie chce przykładać „spirtu z muchomora“ ani okurzać się piórami rybitwy, — szuka raczej okazji, a choćby i na zwykłym „obijaniku“ płynie do miasta, aby się poradzić lekarza, którego wiedzy ufa.

Szczególnie potężną szkołą dla ludności poleskiej jest Korpus Ochrony Pogranicza — słynny K. O. P.

Nietyle sama służba — czujna, ofiarna i trudna, ile układ wewnętrzny tego wojska, do najwyższego stopnia doprowadzone poszanowanie prawa, niemal zupełna samowystarczalność gospodarza, własne rolnictwo, warsztaty rzemieślnicze, budownictwo, osuszanie niedostępnych nietr, przekładanie dróg i ścieżek, racjonalne sposoby rybołówstwa i hodowli bydła — stanowią najlepszą szkołę pokazową dla okolicznych Poleszucków. Przyglądając się temu karnemu w pracy i nieustannej ofiarności „bractwu“, a raczej „zakonowi“ wojskowemu, przychodzą oni po radę do koszar, na dalekie posterunki, uczą się i naśladować. Drugą potęgą, która skutecznie i coraz szybciej już rozprasza chmury nieufności poleszuckiej i żłobi



*Szkoła powszechna w Ładowiczach*





*Preparanda nauczycielska w Drohiczynie*

w duszy tego ludu drogę dla ideałów polskich, stała się szkoła powszechna i inne uczelnie, w duchu państwowym prowadzone bez żadnych odchyłeń i wahań, mimo, iż przestrzegana jest tolerancja i etyka polska, nie znosząca przymusu językowego i religijnego. Szkoła nasza uczy młodych Poleszuków mówić, czytać i pisać po polsku i wprowadza ich w świat wiedzy, prawa i moralności społecznej, oddziedziczywszy po Rosji Polesie w stanie przerażającym, gdyż ludność tego kraju posiadała 80% analfabetów, a w pewnych rejonach wschodnich — odsetek ten dochodził nawet do 100%!

Rząd odrodzonej Polski, nie zwlekając, przystąpił do szerzenia oświaty, uświadamiając sobie całą doniosłość zadania i trudność wykonania jego w kraju, przez wojnę straszliwie zniszczonym. Narazie niemożliwym było znalezienie nauczycieli na miejscu; kandydaci zaś z Polski i Litwy nie odważali się jechać na kresy, gdzie grasowały wtedy bandy dywersyjne, szalały epidemie i groził głód wśród podjudzanej przez agitatorów nieszczęśliwej ludności.

Obecnie po jedenastu zaledwie latach pracy oświatowej na Polesiu stan rzeczy zmienił się do niepoznania. Funkcjonuje już 1300 szkół powszechnych, w których pracuje około 2100 nauczycieli i uczy się 90 000 dzieci; czternaście gimnazjów państwowych i prywatnych daje ogólne wykształcenie średnie prawie 5000 uczniów i uczenic,



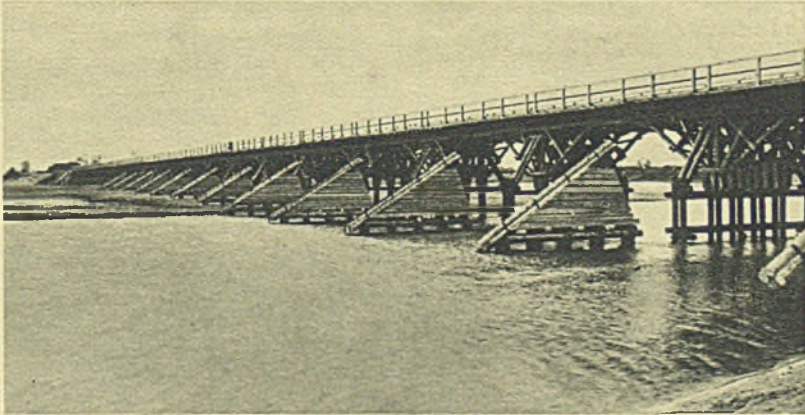
zawodowe zaś pobiera młodzież miejscowa na kursach dodatkowych, w seminarjach i kilku preparandach nauczycielskich, w szkołach technicznych i kolejowych w Brześciu i Łunińcu, handlowych w Brześciu i Kossowie, w rzemieślniczych i przemysłowych — w Brześciu, Pińsku, Prużanie, Kobryniu i Łunińcu, a również w rozrzuconych po kraju, niższych rolniczych szkołach w Duboju, Kołpinie, Torokaniach, Plancie i Dubicy, uwzględniających w swych programach na-



*Czwórka bałagulska na trakcie*

uczania — rolnictwo, leśnictwo, hodowlę bydła, maślarstwo, pszczelnictwo i gospodarkę rybną. Dodatkowo poza szkołami rolniczo-oświatową działalność rozwija energicznie Rada Wojewódzka Okręgowych Towarzystw Rolniczych i Macierz Szkolna. Oprócz szkół państwowych istnieją jeszcze białoruskie, rosyjskie, żydowskie żargonowe i hebrajskie. Szkolnictwo polskie wycisnęło już głęboki ślad na ogólnem nastawieniu psychicznem ludności, uświadamiającej

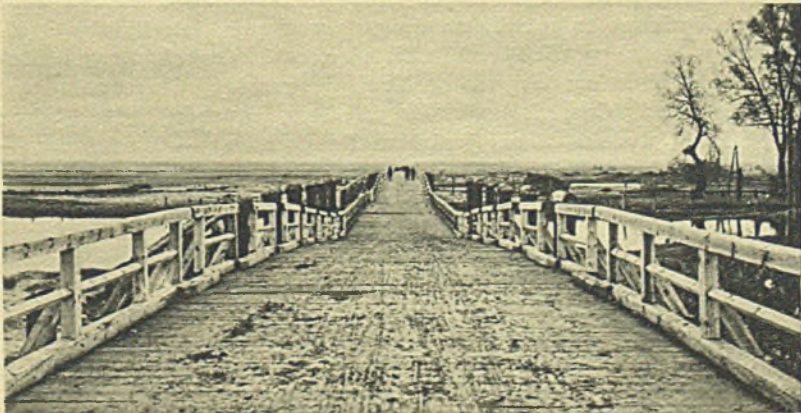




*Most na Słuczy pod Sarnami*

sobie wypływające z oświaty korzyści praktyczne. Młodzież, uczęszczająca do szkół i kończąca kurs nauk, stała się najlepszym środkiem agitacyjnym na wsi na rzecz Polski, która coraz bardziej dociera do umysłów i serc ludu z nad Prypeci, Uborci, Słuczy, Muchawca, Styru i Jasiołdy, z każdym rokiem bowiem coraz łatwiej już jest porozumiewać się z nim co do wspólnej pracy dla dobra całego państwa.

Wreszcie trzecia potęga, żłobiąca kształcąco duszę tego kraju. Jest nią władza miejscowa i wielka polityka rządu wewnątrz kraju.



*Most na Styrze pod Rajalówką Starą*



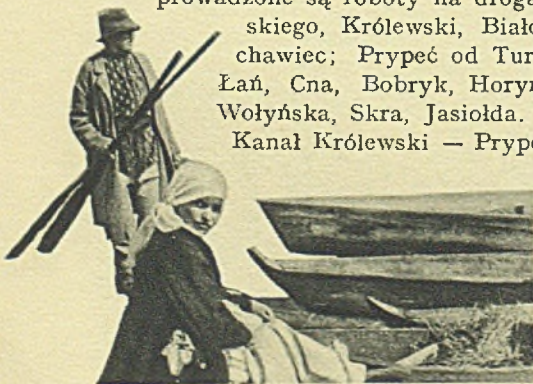


*Rybacy na Bobryku*

Najpierwszem jej zadaniem stało się dotarcie do trudno dostępnych części Polesia i związanie osiedli ludzkich z miastami i innymi punktami administracyjnymi. Zagadnienie komunikacji stanęło odrazu na porządku dziennym, wymagając olbrzymich środków pieniężnych i wysiłku pracy. Na Polesiu istnieje obecnie 2163 kilometrów dróg wodnych, zdatnych do żeglugi i spławu. W tym celu

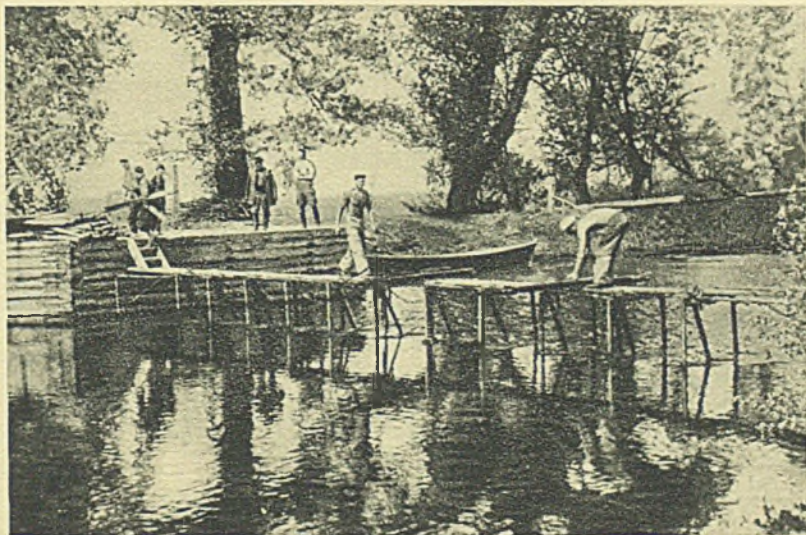
prowadzone są roboty na drogach wodnych, jak kanały Ogińskiego, Królewski, Białojezierski, Orzechowski i Muchawiec; Prypeć od Turji do granicy, Słucz północna, Łań, Cna, Bobryk, Horyń, Styr, Stochód, Pina, Słucz Wołyńska, Skra, Jasiółda. Na sieci Bug — Muchawiec — Kanał Królewski — Prypeć stale kursują statki parowe

o pojemności do 300 tonn. Celem jest uregulowanie tej arterji wodnej w ten sposób, aby mogły tu pływać parowce o tysiäcu tonn. Drugi system wodny: Prypeć — Jasiółda — Kanał Ogińskiego — Szczara — Niemen ucier-



*U przewozu nad Piną*

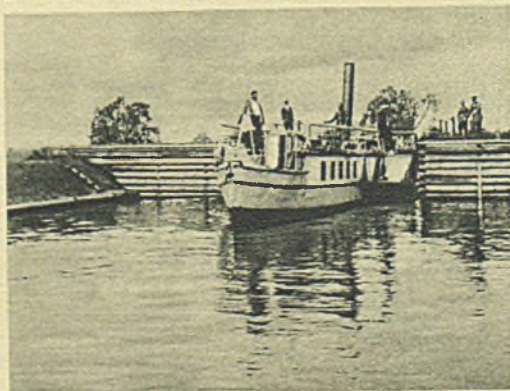




*K. O. P. stwarza komunikację*

biał bardzo za rządów rosyjskich i w dobie wojny. Wymagało to przystąpienia do odbudowy śluz i oczyszczenia kanału Ogińskiego.

Linje kolejowe są już ostatecznie uporządkowane i bieżą od Brześcia do Mikaszewicz na granicy rosyjskiej, do Czeremchy i Białegostoku; do Włodawy, łącząc Polesie z Lubelskiem; do Małoryty w stronę województwa Wołyńskiego; z Żabin-ki do Iwacewicz i Baranowicz przez województwo Nowogródzkie do granicy sowieckiej; wschodnia linja, idąca przez Łuniniec do Baranowicz na północy, do Sarn na południu; od Kamienia Koszyrskiego — do Kowla i inna przez Sarny — do Kowla i do Ostek,



*Na kanale*





*Pińskie przekupki*

znajdujących się już na granicy Sowietów. Ogólna długość wszystkich linii dróg żelaznych wynosi 1000 kilometrów poza uzupełniającymi sieć kolejową drogami wąskotorowymi: Prużany — Orańcyce, Kamień Koszyrski — Janów i Telechany — Iwacewicz.

Rozumiejąc, iż dobrobyt ludności w znacznej mierze zależy od rozwiniętej sieci komunikacyjnej, władze poczyniły szereg wysiłków do odbudowy dawnych dróg bitych i wytknięcia nowych — tak szos jak również i innych dróg kołowych, pobydowały nowe mosty i naprawiły zniszczone przez wojnę. W ten sposób powstała sieć bitych traktów państwowych i dróg samorządowych długa na 900 kilometrów i gruntowych — na 4000 kilometrów. Drogi te, biegnące w różnych kierunkach, przyłączyły już do ośrodków kulturalnych i handlowych kilka niedawno jeszcze niedostępnych miejscowości, jak najlepiej świadczy o tem sama nazwa leżącej na skrzyżowaniu szlaków Kobryń-Drohiczyn i Kamień-Koszyrski miejscowości „Wielka Hłusza“. Plan dalszego i głębszego przecięcia kraju nowymi linjami dróg żelaznych i gruntowych opracowany został przez Rząd i samorzady poleskie i postępuje w miarę, jak na to zezwalają warunki położenia ekonomicznego.



*Na targ*



Rząd i władze wojewódzkie zupełnie wyraźnie widzą przed sobą drogi, któremi należy zreformować Polesie, ten kraj o zaniedbanej lub skoszlawionej przez dawną Rosję gospodarce i kulturze ogólnej.

Zbadane już są pierwotne metody zdobywania przez Poleszuków terenów rolnych, uprawy przez nich pól, hodowli bydła i walki z bagnami. Obliczono też ściśle, jaką klęskę szczęłą wśród ludności wybuchające tu epidemie szkarlatyny, tyfusu, dyzenterji, dyfterytu, grypy i ospy; wiemy ile tu pada rocznie bydła i koni od różnych chorób, a szczególnie od gruźlicy i groźnego księgosusza zawlekanych często spoza wschodniej granicy.

Romantyzmem wieje od praktykowanych na Polesiu pogańskich sposobów walki z epidemjami zwi-



*Tranzakcje przy wozie*

rzęciami — od tych wszystkich „zawlekanja kiły“, nawarów „pięrestupu“ i „porchauki“, od „zahoworów“ na „zwichy“, dżumę płucną, świerzb i śliniak, lecz podkład tego romantyzmu i jego skutki powodują ustawicznie nieobliczalne dla państwa straty.

Uśmiech pobłażliwy lub zrozumiałe zaciekawienie „egzotyżinem“ wywołują czynione przez czarowników zamawiania i okadzania chorych ludzi dymem i „spryskiem“ z węgielka, aby odpędzić „trascę“, „udar“ i wszelką „bolaczkę“, leczenie anemicznych i skrofulicznych dzieci napojem z „podbiłu“ i „urłoszki“, a „hłuchą kropywą“ — dorosłych — od krwawej biegunki i duru brzuszego. Wszystko to wzbudza zwykle zainteresowanie ludzi światłych, lecz nie słyszą oni tego, co opowiadają najeżone czarnymi krzyżykami cmentarze o dramatach bezlicznych spowodowanych przez istniejących jeszcze w wieku dwudziestym prasłowiańskich znachorów.

Administracja polska w tym kraju ciemnych ludzi, „wołchwów“ i czarownic organizuje możliwie szeroką sieć pomocy lekarskiej i po-



radni weterynaryjnych, a że pod ich wpływem i urokiem pęka wreszcie lodowy pancierz nicufności Poleszuków do nowych ludzi, — rozwiewa się powolnie, jak mgła poranna nad moczarem, obojętność i fatalna bierność, budzi się już pęd do walki o lepszy byt, do czego dąży Polska, troskająca się o swoje dalekie kresy wschodnie.

Rada Wojewódzka Towarzystw Rolniczych pracuje planowo nad ulepszeniem metod gospodarki rolnej, hodowli bydła i innego inwentarza żywego, organizuje wystawy ziarna zasiewnego, roślin użytkownych, inwentarza i przemysłu domowego, szerzy oświatę wśród rolników, zakładając szkoły, pola pokazowe, punkty weterynaryjne, ułatwiając powstanie gospodarstw nabiałowych i rozpowszechniając literaturę fachową.

Rząd polski w przejściowym okresie powojennym dostarczał nasion, narzędzi rolniczych i bydła roboczego dla ludności poleskiej.



*Pierwsze zwierciadło*



*Grzyby! Grzyby poleskie!*

Bezpośrednim wynikiem organizacyjnej działalności administracji polskiej stały się powstające spółki spółdzielcze wytwórców masła i dążenie do stworzenia związków, kierowanych przez fachowców polskich, oraz projekty rzeźni eksportowej, chłodni dla jaj, masła i drobiu, zarządzenia, dotyczące planowego ulepszenia rasy bydła rogatego, koni, owiec i świń.

Troski o wzmożenie dobrobytu w kraju wznoszą się z roku na rok. Ogarnęły już nawet koła wojskowe, które odstąpiły od pierwotnych, zda się, niezłomnych poglądów swoich na Polesie. Uważały one bowiem te bagniste ziemie za nieprzełamaną



zaporę dla wdzierającego się od wschodu nieprzyjaciela, za przeszkodę do działań wojennych dla wielkich mas wojska, czem się tłumaczy niepowodzenia wodzów tej miary, co Napoleon i Karol XII-ty.

Głęboki, trudny do sforsowania poleski odcinek, „wielkiego pasa przedniego“, oddzielającego bezkresne obszary Rosji od Polski środkowej, ocenili w pełnej mierze Batory, Zamoyski, Żółkiewski, Prądyński, Mierosławski, marszałek Piłsudski, gen. Sikorski i inni polscy czy cudzoziemscy wodzowie i badacze wojen. Pewien odłam sfer wojskowych zamierzał jednak na tym odcinku oprzeć główny węzeł strategiczny, pozostawiając Polesie w jego stanie odwiecznym.

Narazie patrzone na Polesie, wyłącznie jako na naturalną barierę, o którą rozbiło się już niejedno wielkie zamierzenie wodzów i niejedno w przyszłości rozbić się miało, a więc chciano widzieć w tym terenie, równym szóstej części państwa, arenę dla biernych, obronnych działań wojennych. Jednak z biegiem czasu, po gruntownem przedstudjowaniu do-

świadczeń wielkiej wojny światowej i polsko-bolszewickiej, — gdy się toczyły boje wzdłuż linii Stochodu, Styru, i kanału Ogińskiego pomiędzy niemiecko-austriackimi a rosyjskimi dywizjami, a w roku 1919 i 1920-ym prowadzono z takim powodze-



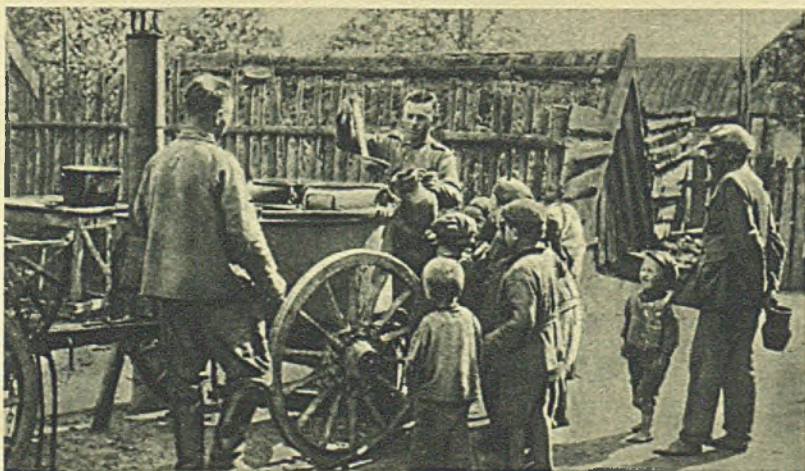
*Pińsk w dzień targowy*

niem operacje naszej 9-ej dywizji i grupy poleskiej, nakazane przez Naczelnego Wodza na linii Mozyrz i Kalinkowicz, — poddano rewizji pierwotne plany. Późniejsze zbadanie terenu poleskiego i wszechstronna ocena jego z punktu widzenia operacyjnego, wgląd wojska w ekonomiczny i polityczny stan kraju oraz żywe świadectwo tego, co czyni nasz sąsiad wschodni na przestrzeni należącego doń Polesia na linjach: Słuck, Bobrujsk, Mozyrz, Rzeczycza, Owrucz, Korosteń,



Zwiahel, — zmieniły do rdzenia te oddziedziczone po dawnych czasach poglądy i zmusiły do wyrobienia nowych. One zaś zażądały opracowania olbrzymiego planu o skali państwowego rozmachu.

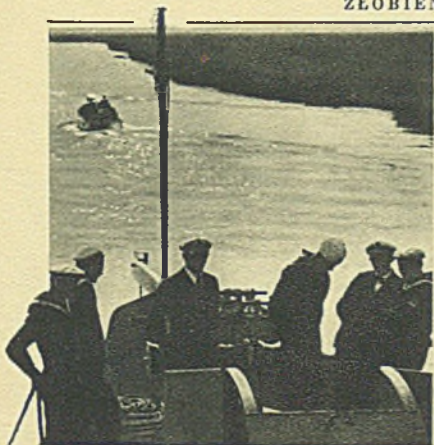
Ogarnia on to, co najbardziej pociąga ku Polsce ludność miejscową, a mianowicie — meljorację Polesia, w najszerszym i najgłębszym tego słowa znaczeniu, a więc nie tylko budowę dróg żelaznych, szosowych i szlaków podjazdowych o znaczeniu wewnętrznym, gospodarczym; nie tylko uporządkowanie 2000 kilometrów istniejących już kanałów żeglugowych, łączących Wisłę i Niemen z Dnieprem, czyli Bałtyk z Morzem Czarnym, oraz istniejących oddawna kanałów i rowów osuszających, ale i przeprowadzenie nowej ich sieci — odwadniającej bagniste obszary; uregulowanie i uszlawnienie kilku rzek, nadających się do tego celu i ważnych pod względem strategicznym i ekonomicznym; wyłonienie spod trzęsawisk i mszarników połaci użytkownych, zwiększających powierzchnię ziemi ornej i kośnej, oraz zdobycie jaknajobszerniejszych terenów, zdat-



*K. O. P. karmi ubogą dźiatwę wiejską*

nych do intensywnego osadnictwa wojskowego i cywilnego; podniesienie stopy życiowej Poleszuków i wreszcie przeprowadzenie w możliwie krótkim terminie ich przekształcenia w duchu moralno-psychicznym i społeczno-państwowym na świadomych obywateli.



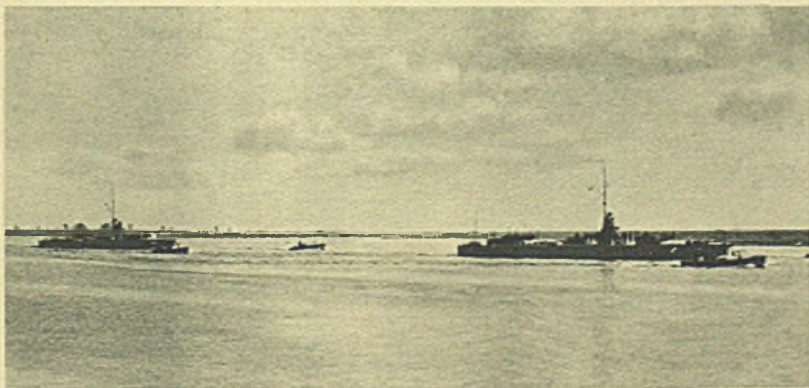


*Polescy marynarze*

Prace meljoracyjne są w toku; dzięki nim zwiększa się ilość ziem użytkownych, przez co podnosi się jakościowo i ilościowo hodowla bydła; ulepszona racjonalna eksploatacja lasów otwiera drogi dla jego eksportu na rynki wewnętrzne i zagraniczne, rozszerza się horyzont dla powstania współczesnych przemysłowych warsztatów pracy i wykorzystania ukrytych obecnie naturalnych bogactw kraju. Odbić się to musi na podwyższeniu poziomu dobrobytu i stanu zdrowotności Polesia, a w niezawodnym wyniku tego — na zmianie

charakteru i nastrojów ludności miejscowej. Jednocześnie bliskim urzeczywistnieniem jest projekt utworzenia „Poleskiego Parku Natury”, jedyne w swoim rodzaju na kontynencie Europy. Ma on powstać na obszarze ordynacji dawidgródzkiej, położonej między Horyniem, Prypecią a wschodnią granicą państwa. Park obejmie rezerwat zwierząt, roślin i przyrody nieożywionej. Ochrona ogarnie też krajobraz błotny, a więc torfowiska i olchową puszcę.

Nowe, rozległe, przez siebie wyłącznie stworzone przestrzenie Polska zaludnia wszędzie pierwiastkiem czysto polskim — kadrami byłych wojskowych, i pozbawionych ziemi włościan polskich.



*Flotylla pińska*



Przedsiębiorczy, energiczny, o żywej psychice żywioł polski, radykalnie odmienia fizjonomję tego kraju, dopomaga rządowi w ostatecznem jego zwycięstwie nad bagnami i gotów jest piersią swoją osłonić ojczyznę przed wrogiem, równolegle oswajając ludność rdzenną i przywiązując ją do Polski co już obecnie wyraźnie odczuć się daje w stosunkach ze zruszczoną, oddawna tu przebywającą drobną, „łapciową“ szlachtą polską.

Podniesienie stanu zamożności na Polesiu, jako niewątpliwy skutek projektów, opracowanych i wykonywanych przez rząd, pociąga ludność ku nowym gospodarzom tego kraju i niezawodnie — pewien odsetek krwi polskiej, płynącej w żyłach Poleszuków, obudził się już do współdziałania z władzami Rzeczypospolitej.

Polesie, do r. 1920-go duchowo — „niczyje“, stopniowo polskim przepaja się duchem, o czem marzyli życie swe tu pędzący Polacy.



*Tęsknota*





*Poleski przestwór*

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### WIELKA PRZEMIANA



*„Szczęść Boże“*

Po — macoszemu jednak odnoszono się częstokroć do Polesia! O kraju tym przypominano sobie czasem w dobie wojny, gdy chodziło o owe... „przegrody“ niezdołyte i owe „zapory“ niezłomne, zdolne każdej sile się oprzeć.

O ludzie, zaszytym w puszczech, borach i czorotach, rzadko kto wspomniał.

Jakgdyby żadna istota ludzka nie myślała, nie cierpiała i nie radowała się po swojemu wśród rozległych „halów“, lśniących tam i sam zwierciadłami swych „okien“ głąbinnych, smugami wody i „kałuhami“ niewsiąkającej nigdy wszędymoznej „niecieczy“.





*W krajobrazie tym horyzont czynnikiem najważniejszym*

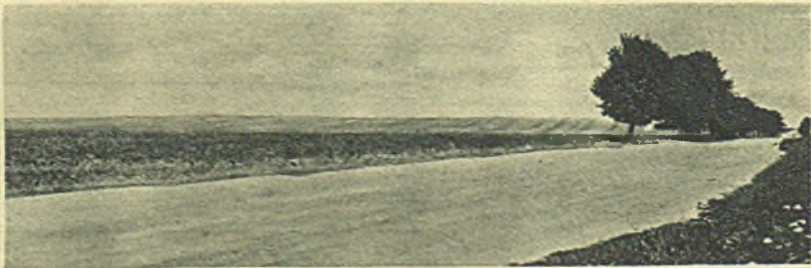
Jakby nikt nie pamiętał o tem, że dwa bezmała miliony ludzi od wieków trzebi te puszcze, wydeptuje ścieżki i toruje sobie drogi poprzez bagniste „łuchy” i olosy, że istnieją tam cisi ludzie, którzy wiosłem prują nieustannie ciemną, leniwą toń rzek i jezior.

Ludzie tej ziemi, jak rysie w kniei, nie lubią obcym na oczy się nawijać, wołają po uroczyszczach swoich, ostrowach i grzędach siedząc, głowy z haszczy i sitów nie wytykając, w odosobnieniu trwać.

Głęboko wżłobiły się w duszę ich ponure wspominki o losach dalekich pradziadów, pod niewiadomemi lęzających kurhanami, a najczęściej — wprost w „zybunie” lub w mule dennym, w oplocie śliskich pędów grążeli. Przybysze, — szło ich tu bezliku, — wszyscy na jedno urobieni byli kopyto. Łupieżcy, krzywdziciele, zbójce...

Gdy po długich latach gwałtów i zbrodni, zamierzali coś innego zrobić w tym kraju, aby zasnąć wreszcie spokoju, — Poleszacy wierzyć już im nie chcieli i wraz z rysiami i łosiami jeszcze głębiej uchodzili w rozwidliny „rieczyszczy”, kluczących po bagnach, do kniei, co stała, czarna, jak noc, za trzęsawiskiem i „nietrą”, którą nawet „sochaty” omijał, bojaźliwie szczecinę jeżąc na karku.

Z mateczników swych, kryjówek tajnych i bagien nieprzebytych nie wynurzali się nigdy, a, zdybani w nich, patrzyli wilkiem,



*Droga zda się w nieskończoność iść*





*Na Polesiu więcej nieba niż gdzieindziej*





*Człowiek leśny*

milczeli ponuro, lub mruzcili słowa rabie a zdradliwe niby torf, pływający na jeziorach, oczeretem zarostych. Nędzne było ich życie, ciemne, niepewne, zależne od Prypeci, Jariły, deszczu, ryby, trawy, wilków i nieznanych a mnogich „bolaczek“, co ludzkie istnienia kosiły niczem kosiarz wprawny, pod korzeń tnący wysoki „muroh“ na hale bogatem — nędzne było.

O Bożym świecie nie wiedząc, modlili się — jawnie do „Spasa“, Bogarodzicy, „świetych Martyna, Jurja, Simcona i Serafina“, bła-

galnym zaś głosem duszy pogańskiej — do Swarożycza, Lado i duchów wszelakich, aby nic nie wtargnęło do ich życia — nieruchomego, jak toń leśnych jezior, i ciemnego mrokiem z nich nasączonym.

Nie chcieli o niczem słyszeć i wieści nijakiej dawać o sobie.

Tak przetrwał ten lud najdziwniejszy w Europie dziesięć, a może i więcej, stuleci, wchłonał w siebie potoki obcej krwi, przerobił ją na swoją modłę, spoleszczył, zatruiwszy ją parnemi wyziewami mszarników, siwemi tumanami, wypełzającemi z mroku olszynników, pleśnią zbutwiałych wywrotów leśnych, rdzą i słodkawą zgnilizną ilów rzecznych, a najwięcej ciągląm łękiem swej duszy.

Ani legend, ściśle z krajem swoim związanych, nie przechował, ani pieśni własnej lub baśni nie stworzył, a te, jakie ma, od sąsiadów zapożyczył i po swojemu przerobił; nie zbudował nic trwalszego od życia dwóch pokoleń, stawiając cerkiew, chaty i krzyże z mokrego drzewa i trzcin nadbrzeżnych; nie czuł potrzeby zdobienia ubrania i sprzętów, żyjąc z dnia na dzień i nie umiejąc lub nie śmiejąc oczu podnieść ku dalszej piękniejszej przyszłości. Pod przymusem tylko brał udział w szalejących wokół burzach



*Kobieta w zawoju*



dziejowych, nie rozumiejąc ich znaczenia, ginął na polach bitew lub na dalekiem wygnaniu; gdy zaś powracał do chutoru ojczystego, — nic nie mówił, ino kłął ponuro lub milczał tajemniczo, ni to bór nasepiony, co widział krew, przelaną na ihryszczach



*W ślubnym stroju*

ani jednego imienia, budzącego w nim i w sąsiadach radosne lub dumne wspomnienia, a może, zaprawdę, imię takie nie przebrzmiało nigdy po osiedlach tych ludzi z lasów i bagien, tych prawnuków drewniańskich, Dadźboga, słonecznego Jariły i bladej Mary wyznawców żarliwych, odwiecznych, wiernych i niezmiennych?

Historja nie odżywa tu nigdy — nie było jej i niema jej!

Bohaterów nie znają w tych stronach zapadłych i milczących — a przecież musieli niegdyś żyć i tacy, co z duszy swej wykrzesali wybuch nieświadomego, lecz wspaniałego czynu? Dokonywali go jednak na obcym, obojętnym odcinku życia, a po dokonaniu — albo

tajemnych. A wszystko, co on przeżył, przeboleł, widział i słyszał, — wszystko dlań było „nikczomnoje” — niepotrzebne, zbyteczne, marne, a na myśl o tem uśmiechał się krzywo, ramionami wzruszał z pogardą. Nie potrafi Poleszuk wymienić



*Piękny rysunek cechuje poleską ceramikę*



nie powrócili, albo ujrawszy swoje moczary i podmokłą puszcę, umilkli na zawsze, z pogardą obejrawszy się na przeszłość nikczemną.

Poleszuk myśli i troska się tylko o dzień jutrzejszy, resztę swego losu poruczając opiece Boga — tego z cerkwi, lub innego,

który przemawia doń z błędnego nieba, z promieni słońca, księżycy i gwiazd, z mulistej toni, od pól i łąk, z cmokającego rozgłośnie trzęsawiska, z ponurego poszumu kniei, z groźnych poryków burzy.

Boi się, drży na myśl, że ktoś nieznanymi znużył go do zanurzenia się w wir niepojętego przezeń, budzącego niepokój życia. Drażni to człowieka leśnego i, jeszcze nic nie wiedząc, w przeczuciu zgrozy, nienawidzi już wicherzycieli jego odwiecznej potrzeby bezruchu.

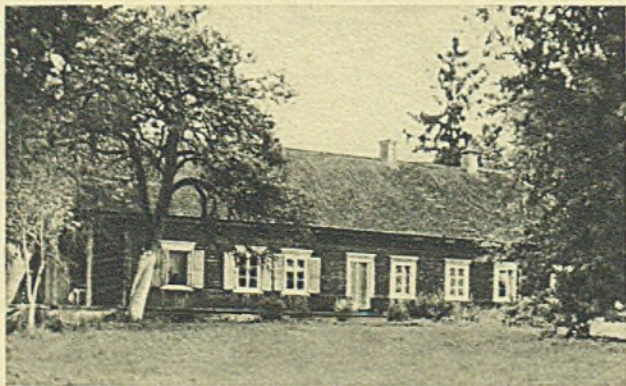
Od tysiącleci cmentarzyskiem stał się ten kraj dorzecza Prypeci.

Szalejące tu epidemie, przez nikogo nie zwalczane, rzucały hojną ręką ziarna śmierci, a tak obficie, że żyjący oswoili się już ze straszną wysłanką bladolicy Mary i śmierć za nowy, niewidzialny kształt

życia przyjęli, obcując i gwałżąc ze zmarłymi, obdarowując ich i uczując na ich grobach i narubach, wśród zielsk i chwastów na pohostach, gdzie wyrasta drewniana szczecina krzyży



*Dwór w Kuraszu*



*Stary dworek poleski*



ubogich, a na nich ni to spoza świata powiewają białe i żółte od pleśni smutne chusty ofiarne.

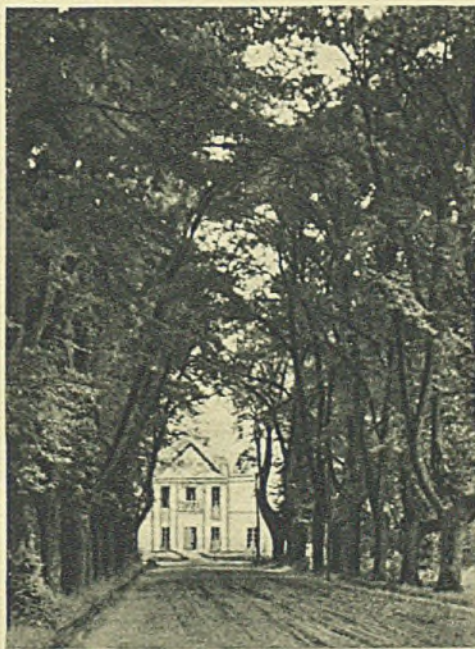
Na kwaśnych łąkach, na mokradłach i cuchnącej zgnilizną glebie ołosów schną i, okrywając się bladymi skorupami porostów i „jelenich mchów“, padają olbrzymy zielone, a potomstwo ich — koszlawe, scherłałe, poskręcane potwornie stoi nad ich trupami, za życia już butwiejąc i rozsypując się w zgniłki, świecące po nocach. Umierają jeziora, z rokiem każdym zarastając — od brzegów czorotem i wikliną, od dna — rzęsą, grzybieniami, ajerem i wodorostów buremi płachtami, od góry zaś — mchami, bobownikiem i „miecielicą“. Znika zwierz i ryby, tępione bezkarnie i drapieźnie.

Palą się chaty, cerkwie i bory, żarte jak szczapy smolne, przez płomień, co tu hula po zielonym bezkresie, — szkarłatny, wszechwładny pan, „czerwony kur“, Dadźbogowy pachoł swawolny i dziki.

Nawet surma poleszuckich pasterzy — ta z kory zwijana ligawka „truba“ — odzywa się dźwiękiem ponurym, przejmującym niby dalekie wołanie lutej Mary, czekającej ostatniego pokłosia.

Brzmi w jej żałośnym jęku utajone a nigdy niewypowiedziane przeczucie nieuniknionej zagłady i namiętne pragnienie, aby przysła w ukryciu przed okiem ludzkim, przed zgiełkiem gdzieś daleko wrącego i wichrzącego się życia, co nigdy tu dotrzeć nie miało sił.

I nagle... od dalekich, nieznanym Poleszucok miast i ludzi, od zgiełkowego, pracą i walką brzemiennego życia oderwały się jakieś burzliwe — nie zagładę, lecz życie niosące — potoki i niepowstrzymane wlały się do łożysk „rieczyszcz“ poleskich.



*Aleja parkowa w Zakozielu*



Płyną coraz dalej i głębiej, docierają do „nietr“ i „zybunów“ błot Hryczyńskich, biją w piachy zapadłych „ostrowów“, mkną, jak powódź, przez zadziwione mateczniki puszczańskie i wdzierają się do mroku olosów najdalszych — światła w nie wnosząc.

Rozstępują się przed ich nawałą zwarte haszcze, chylą się i padają ściany czorotów i „wiszu“; jakieś ogniki, błyski, światełka, coraz częściej wślizgują się przez mętne szybki do chat, przez szczeliny bierwion — do kleci i gumna, prą niepowstrzymanie, zaglądając do najciemniejszych zakątków odrzyn i sennych dusz poleszuckich.

Zwycięski to pęd! Nie mogli go rozpętać ani dawni Waregowie i Grecy, ani Awarowie i Litwini, ani tatarscy chanowie, ani Ruś kijowsko-bizantyńska i nowogrodzko-fińska, ani nawet przemysłna w swych sposobach, a bezwzględna niemiecka Rosja cesarska.

Bezsilne były te moce — gdyż do rdzenia obce ziemi poleskiej!

Lecz mknący od lat kilku zaledwie młody potok polski niesie w sobie ożywczą siłę, moc zmartwychwstania, a tę siłę i moc, choć długo się wzdrygał, — zwęszył już czujny Poleszucki i docenił.

Potok ten rozplywa się miljorami ożywczych strug, a wszystkie one uderzają w jedno najtajniejsze miejsce, gdzie pod siedmiu zamkami i siedmiu pieczęciami utajone — żywie nieśmiertelne echo.



*Kościół i klasztor Jezuitów w Pińsku*



Echo zrodzone w odległej epoce, w której różnymi drogami do żył ludu poleskiego miała dopływać krew polsko-litewska, tworząca ów świetny typ człowieka kresowego — który w wielu dobach życia państwa zajaśniał na wyżynach niemal niedostępnych. Późniejsze — smutne, tragiczne, gnębiące dzieje okryły duszę kresową, ni to stare dęby



*Kościółek w pow. drohiczyńskim*

i lipy — mchem, hubką i pleśnią, żarły ją rdzą i zgnilizną bagien i kwaśną torfową niecieczą, aż wyżarły, wyplenili, zda się, wszystko.

Jednak nie! Nie tknęły wspomnień ludu o dawnej świętości, oszczędziły stare pergaminy Jagiellonów, Batorego i Wazów, które budzą westchnienie i tęsknotę za tem, co może odżyć jeszcze.

Polska przyniosła tu niegdyś swe prawo, umiłowanie wolności, szacunek dla honoru ludzkiego; Polska, co szerzyła oświatę i dostatek, osuszała popławy, posyłała dorobek kraju na Bałtyk i Czarne Morze i coraz bardziej zacieśniała więzy pomiędzy trzęsawiskami, puszczą i siecią Prypeci a Warszawą, Krakowem i Gdańskiem, — ze światem całym.

Burzliwe dzieje sądzone były Polsce, więc nie zdołała wspaniałych pomysłów Jagiellonów wykonać doreszty.

Padła sama pod ciosami losu, a z nią razem runął do swych trzęsawisk lud poleski. Ugrzązł w nich, jak łoś, schwytany w stępicę, a dziki i ciemny najeźdźca dobijał go za wierność Rzeczypospolitej, za jej tradycje, co długo jeszcze żyły i świeciły po chutorach.

Aż zbudziła się Polska zmartwych i głąz niewoli odwaliała.

Sama, odbudowująca się jeszcze, mozolnie rozgrzebuje wiekowe grzyzy i zgłiszczca, — oczy swe zwróciła już ku Prypeci, już pracuje wśród jej bagien, już dąży do zmiany tego pustynnego,



ubogiego kraju w żyzne łany, myśli o nowych źródłach dobrobytu Poleszuków, uczy ich, oświeca i wychowuje na swych obywateli.

Taka bowiem jest woła Polski odrodzonej. Odpowiadają jej echa, odbite od głązów i wałów starych zamczysk, od wież i krużganków białych świątyń w dziesiątkach miast i mięscin; grzmią one w duszach panów kresowych i szlachty chodaczkowej, po zaściankach i siołach, jakgdyby prawosławnych i pozornie docna już zruszczonych.

Polesie odpowiada na brzmiaące zewsząd echa, bo w tym niezwykłym, zagadkowym kraju dziwnie głębokie zachodzą przemiany, dziwniejsze i głębsze, niż w owym szalonym czasie, gdy „klikana“ przez dziewczuchy wiosna, rozpierana nadmiarem sił, zdiera z borów i hałów biały całun śniegów i burzy lodowy grób Prypeci.

Odrodzona Polska — Polska narodu świadomego swej woli życia i mocarstwowej potęgi powołała Polesie do wspólnego wysiłku, do wielkiej pracy nad własnem szczęściem i światłą dolą.



*Takiem jest Polesie*





## S Ł O W N I K

- Ajer = aromatyczna, częściowo jadalna roślina błotna, tatarak — *Acorus calamus*.
- Basiur = wilk, przeważnie stary samiec.
- Biel = bagno, porośnięte mchem i wełnianką, która po odkwitnięciu okrywa się białym puchem.
- Blokot = trująca roślina — *Hyoscyamus niger*.
- Bolaczka = choroba.
- Bołonje = porośle trawą niskie brzegi rzek.
- Borodacznik = roślina lecznicza — *Vincetoxicum officinale*.
- Chody = nory raków.
- Chwoszczyk = roślina *Equisetum* sp.
- Ciecieruk = cietrzew kogut.
- Czemier = roślina lecznicza i trująca, — szczywół plamisty — *Conium maculatum*.
- Czereda = roślina — *Helichrysum arenarium*.
- Czermień = roślina wodna — *Caltha palustris*.
- Czerniec = rosyjska nazwa mniacha.
- Czorot = oczeret, trzcina.
- Czubarka = duszehubka, — mała, lekka łódka.
- Czynownik = rosyjska nazwa urzędnika.
- Dadźbog, syn Swaroga, — słowiańskie bóstwo słoneczne.
- Dub = drewniana krypa do przewożenia towarów wodą.
- Ducht = linja, wyrębana w lesie.
- Duszehubka, patrz — czubarka.
- Dwukrylec = więcierz z dwoma skrzydłami, idącemi od matni.
- Dywanna = roślina — *Verbascum thapsus*.
- Gabbro = rodzaj pokładów skalnych.
- Graż = przesmyk, którym chodzą zwierzęta w lesie.
- Grażęle = roślina wodna o żółtych, kulistych kwiatach.
- Grzybienie = biała lilja wodna — *nenufary*.
- Hało = mokra łąka, okryta kwaśnymi trawami.
- Hat = jaz — przegrody dla zatrzymania ryb w rzekach.
- Huska = roślina *Nymphaea alba*.
- Ihryszczce = naga polana w puszczy.
- Ihumen = rosyjska nazwa przeora klasztornego.
- Jariło = słowiańskie bóstwo słońca równe Dadźbogowi.
- Jaz, patrz — hat.
- Kaluha = kaluża, małe jeziorko.
- Kłobuczny = noszący „kłobuk“, ubranie głowy, oznaczające wyższy stopień mnicha.
- Leziwo = przyrząd do włożenia na drzewo, do barci.
- Lichij = lichy, djabeł.
- Łopaty = rogi łosia.
- Łuh = łąka.
- Łyżki = uszy łosia.
- Majna = roślina *Glyceria fluitans*; miejscowi Polacy nazywają ją „manną“.



- Mara = słowiańskie bóstwo śmierci i zimy.
- Monestrel = wędrowny śpiewak średniowieczny, bard, trubadur.
- Monastery = rosyjska nazwa klasztoru.
- Mszarnik = bagna, porośnięte mchem.
- Muroh = dobra, pożywna trawa.
- Murożne siano = siano z trawy „muroh“.
- Nanoś = zniesione przez wodę rośliny, mułi różne przedmioty.
- Nawiet = oszczerstwo — podszepty.
- Nieciecz = woda, okrywająca błota i łąki poleskie.
- Nietry = niedostępne uroczyszcza, porośnięte łoża, trzcinami, otchą i zielskiem.
- Nikczomny = zbytyczny, marny.
- Obijanik = czółno, wydrążone z pnia dębu lub sosny.
- Ogniewica = gorączka.
- Okno = małe głębokie jeziorko na trzęsawisku.
- Olos = las olszynowy bez podszycia, rosnący na grząskiej glebie.
- Oskoła = sok z brzozy.
- Ostrów = wyżynne miejsce na bagnistej równinie.
- Pał = pożar leśny lub stepowy.
- Pariko = roślina — Filipendula hemaria.
- Ploso = zatoka rzeczna lub jeziorna albo ślepa odnoga rzeki.
- Plawy } mokre niziny na  
 Popławy } = skraju błot, zarosnięte dobrą trawą („murohem“).
- Podbiu = roślina — Achillea millefolium.
- Podjazdka = lekkie, małe czółno.
- Pohost = cmentarz. Istnieje też osiedle tej nazwy.
- Postoły = łapcie, pantofle z kory lipowej lub wiązowej.
- Pustać = hało, pozbawione trawy.
- Pyrej = roślina, posiadająca kolce.
- Rieczyszczce = wogóle rzeka, lecz szczególnie — dopływ Prypeci.
- Rieka = rzeka, lecz przeważnie Prypcć.
- Rogacz = kozioł sarni.
- Rozsochaty = łoś.
- Sita = trzciny.
- Stradny czas = czas orki i żniw.
- Strielec = strzelec.
- Stwołak = belka.
- Szatr = szałas.
- Szuhaleja = duża kłodz.
- Sochaty = łoś.
- Truba = ligawka, trąba, zwijana z kory, a używana przez pastuchów.
- Uołoszka = roślina — Centaurea cyanus.
- Uriadnik = niższy funkcjonariusz policji.
- Wisz = zielska.
- Wołchw = wróżbita, czarownik, znachor.
- Zahon = zbudowana z drągów i prętów pułapka na wilki i mniejsze na kaczki.
- Zawiska = ofiarny ręcznik, wieszany na krzyżach przydrożnych i cmentarnych.
- Zawodź = zatoka.
- Zybun = trzęsawisko, niewytrzymałe ciężaru człowieka.
- Żabry = warstwy suchych trzcin i sitowia.



## SPIS RZECZY

	Str.
I: NIEZNANY KRAJ . . . . .	7
II: DAWNE ECHA . . . . .	21
III: W ZIMOWEJ SZACIE . . . . .	29
IV: W ROZLEWIE WÓD . . . . .	41
V: LATO POLESKIE . . . . .	55
VI: POLESZUK W SWOIM ŻYWIOLE . . . . .	73
VII: KACZE PAŃSTWO . . . . .	105
VIII: CHUTOR, ROLA, PASTWISKO I RZEMIOSŁO . . . . .	113
IX: WIARA I WIERZENIA . . . . .	129
X: RUŚ, POGOŃ I ORZEŁ BIAŁY . . . . .	147
XI: ŻŁOBIENIE DUSZY . . . . .	177
XII: WIELKA PRZEMIANA . . . . .	195
SŁOWNIK . . . . .	205

B I  
Państw.

K A  
icznego

~~No. \_\_\_\_\_~~





## MATERJAŁU ILUSTRACYJNEGO DOSTARCZYLI:

- prof. A. AUGUSTYNOWICZ w Poznaniu (str. 115),  
prof. JAN BUEHAK w Wilnie (str. 6, 74, 75, 87),  
C. B. I. MINISTERSTWA W. R. i O. P. w Warszawie (str. 56, 62, 85, 106, 116, 117, 129, 130, 131, 138, 139, 144, 170, 200),  
ZOFJA Z KS. DRUCKICH-LUBECKICH CHOMĘTOWSKA w Porochońsku (str. 1, 7, 8, 10, 11, 13, 13, 17, 20, 21, 25, 27, 31, 32, 41, 43, 45, 46, 47, 48, 49, 52, 55; 57, 57, 60, 60, 69, 73, 86, 96, 102, 103, 105, 105, 108, 109, 110, 111, 118, 119, 122, 126, 128, 130, 141, 144, 177, 186, 198, 199),  
STEFAN DOMARADZKI w Warszawie (str. 145, 179),  
D. O. K. IX w Brześciu nad Bugiem (str. 192),  
ROMAN HOROSZKIEWICZ w Tarnopolu (str. 7, 12, 15, 44, 50, 62, 63, 90, 113, 113, 129, 131, 147, 150, 165, 170, 173, 173, 200, 201),  
JADWIGA NAŁĘC KORZENIOWSKA w Warszawie (str. 120, 121, 146),  
prof. JAN KILARSKI w Poznaniu (str. 48, 58, 84, 156, 169, 194),  
STANISŁAW LATANOWICZ w Poznaniu (str. 21, 41, 68/69, 154/155),  
WŁADYSŁAW MRÓZEK w Poznaniu (str. 29, 72, 73, 81, 125),  
MUZEUM WIELKOPOLSKIE w Poznaniu (str. 159),  
LEONARD NOWAKOWSKI w Pińsku (str. 9, 19, 30, 31, 50, 55, 63, 77, 116, 126, 132, 132, 134, 143, 176, 181, 188, 195, 197),  
FERDYNDAND ANTONI OSSENDOWSKI w Warszawie (str. 40, 100, 100, 101, 107, 110, 111, 142, 169, 193, 193),  
PHOTO-PLAT w Warszawie (str. 13, 18, 22, 23, 28, 32, 34, 35, 37, 37, 39, 42, 42, 51, 54, 59, 65, 66, 66, 68, 70, 77, 78, 79, 80, 82, 84, 90, 94/95, 94, 95, 114, 114, 122, 123, 124, 124, 125, 127, 133, 135, 136, 137, 140, 147, 168, 174, 175, 177, 179, 180, 180, 182, 183, 188, 189, 190, 190, 191, 195, 198, 202, 203),  
HENRYK PODDĘBSKI w Warszawie (str. 24, 67, 99, 136, 178, 184, 185, 185, 192, 196),  
IZABELLA KS. RADZIWIŁŁOWA w Mankiewiczach (str. 29, 38, 43, 61, 83, 83, 88, 88, 89, 89, 93, 96, 104, 107, 112),  
MARJA RODZIEWICZÓWNA w Hruszowej (str. 3, 26, 26),  
TOMASZ RYBOTYCKI w Tarnopolu (str. 178, 187, 187),  
TOWARZYSTWO DLA POPIERANIA PRZEMYSŁU LUDOWEGO w Warszawie (str. 120, 121, 199),  
TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK w Poznaniu (str. 64, 70, 71, 148, 153, 156, 160, 160, 163, 164, 166, 167),  
DR. ANTONI WIECZOREK w Zakopanem (str. 76, 140),  
WYDAWNICTWO POLSKIE w Poznaniu (str. 16, 33, 38, 148, 149, 168),  
prof. LEON WYCZÓŁKOWSKI w Poznaniu (str. 204),  
i POLITECHNIKA WARSZAWSKA (str. 14, 118, 150)







STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
w GLIWICACH

K. 18758